ANALIZA „DO RZECZY”

Czy Konfederacja jest zdolna do koalicji?

Drastyczne kary więzienia dla obrońców życia w USA

TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 26/584 24–30 CZERWCA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ESEJ PIOTRA SEMKI

CASPAR DAVID FRIEDRICH – MALARZ BOŻEGO ŁADU

Uwaga rodzice! Pornografia dla dziewczynek

# GENERAŁOWIE IDĄ NA WOJNĘ

Od lewej: generałowie Wiesław Kukuła, Waldemar Skrzypczak, Ben Hodges, Roman Polko

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 26 >

Nakład: 51 500 egzemplarzy

# O odnajdywaniu Boga wśród cierpienia, przemocy i zła

Jesteś Joy, podobnie jak wiele kobiet, których historie zostały tu spisane, ale przede wszystkim „jesteś Joy” – wyjątkowa, upragniona i bardzo ukochana. Dziękujemy, że dałaś nam szansę dołączyć do Twojego doświadczenia absolutnej odwagi

**PAPIEŻ FRANCISZEK**

w|drodze

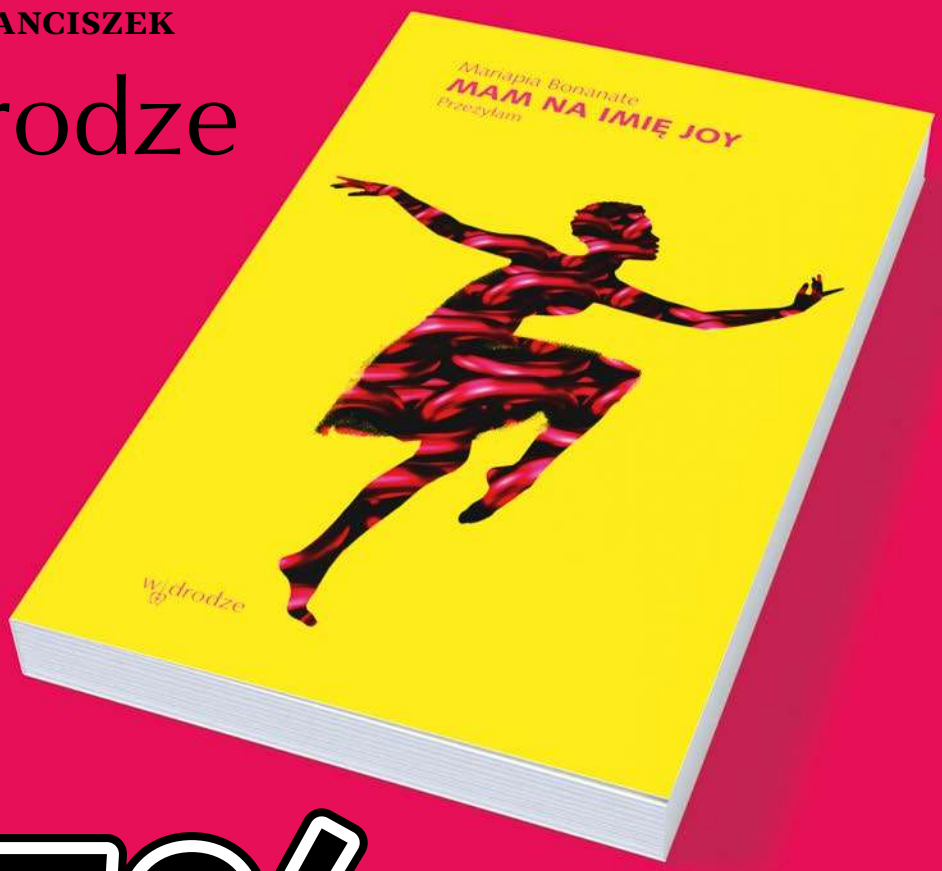


# 25% rabat!

Przy zakupie na **wdrodze.pl**, wpisz kod rabatowy: **Joy**

sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 694 480 625

* oferta ważna do 30.06.2024 r.

eprasa.pl 669016c73d

W RZECZY SAMEJ

# Prezydent ucina łeb smokowi

PAWEŁ LISICKI

Charakterystyczną cechą działalności polskich polityków, co się tyczy wojny na Ukrainie, jest niedające się wręcz opanować kłapanie dziobem. Użyłem celowo takiego, nieco frywolnego określenia, bo żadne inne, poważniejsze, nie pasuje. Nie mieści mi się w głowie, jak ludzie znający polską, tragiczną historię mogą z taką łatwością, nonszalancją i lekkomyślnością wypowiadać sądy, które, gdyby je traktować dosłownie, należałoby traktować jako formę wypowiedzenia Rosji wojny.

Nic nie jest ich w stanie powstrzymać. Tak jakby całkowicie wyparli ze świadomości dość podstawowy fakt, że im bliżej dane państwo znajduje się potencjalnego teatru wojny, im bardziej jego obywatele mogą być narażeni na śmierć i katastrofę, tym bardziej polityk powinien ważyć słowa i trzymać język za zębami.

Nie jest to żadne wielkie odkrycie: dokładnie w taki sposób postępowali politycy Zachodu w czasie zimnej wojny z Sowietami. Jednak okazuje się, że ta najbardziej podstawowa wiedza do obecnych przywódców Polski – tak z prawicy, jak lewicy – nie jest w stanie dotrzeć. Ważniejsze jest zdobycie kilku przychylnych komentarzy liberalnej, zachodniej prasy albo, co wydaje się nie mniej istotne, pognębienie na tym polu – kto głośniej i bardziej dobitnie rozprawi się (retorycznie) z Moskwą i Władimirem Putinem – wewnętrznego oponenta politycznego.

Z tego punktu widzenia prezydent Andrzej Duda idzie o lepsze w wyścigu z marszałkiem Szymonem Hołownią, ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim czy innymi zagończykami. Oto co mówiła głowa polskiego państwa w Szwajcarii, na szczycie, który formalnie był poświęcony pokojowi: „Rosyjski imperializm nie może zostać zaspokojony. Jego pazerność, jego brutalna żarłoczność, nie może zostać zaspokojona terytoriami Ukrainy. Rosyjski imperializm musi zostać skarcony. Temu smokowi musi zostać łeb obcięty". Brzmi nieźle i jestem przekonany, że wielu odbiorcom taki przekaz odpowiada. Pewnie, „temu smokowi (imperializmowi Rosji) musi zostać odcięty łeb". Tylko o ile tego rodzaju frazesy mogą spokojnie wypowiadać publicyści, o tyle słowa prezydenta Polski mają inne wagę i rangę.

Otóż pytanie brzmi: Jak? W jaki sposób Andrzej Duda będzie odcinał łeb smokowi? Jak konkretnie wyobraża on sobie owo „odcinanie"? Czy sugeruje wejście Polski do bezpośredniej wojny z Rosją? Ale znowu: Jak można składać takie deklaracje o odcinaniu rosyjskiemu smokowi łba, dysponując takimi siłami, jakimi obecnie dysponuje Polska? Więcej: Jak można tak łatwo szafować groźbami – bo chyba zapowiedź obcięcia łba jest groźbą – wobec co najmniej regionalnego imperium, wyposażonego również w broń atomową?

Nie mniej osobliwe było inne stwierdzenie prezydenta: „Skoro Putin chce, żeby rosyjscy żołnierze ginęli na Ukrainie masowo, to trzeba czynić wszystko, żeby te oczekiwania zostały spełnione". Jeszcze raz powtórzę: według człowieka reprezentującego polskie państwo „trzeba zrobić wszystko, żeby na Ukrainie masowo ginęli rosyjscy żołnierze". Dlaczego? Bo, jak sugerował polski prezydent, doprowadzi to do buntu społecznego w Rosji i obalenia rządów Putina. Dokładnie taką samą tezę – Rosja lada moment się rozpadnie – głoszą politycy PO. Wypowiedź prezydenta była, co najmniej z kilku powodów, nieodpowiedzialna.

Po pierwsze, nawet jeśli prezydent Duda tak uważa, jak mówi, to nie wolno mu było, sądzę, wypowiadać tych myśli na głos. Przekaz jest prosty: Polska chce, żeby na Ukrainie ginęło jak najwięcej rosyjskich żołnierzy, i jest to oficjalna polityka państwa polskiego. W oczywisty sposób, wygłaszając publicznie takie deklaracje, prezydent naraża Polskę na odwet i pobudza jednie pragnienie zemsty u Rosjan. Jeśli wy chcecie, żeby nas ginęło jak najwięcej, to musicie się spodziewać, że przy pierwszej dogodnej okazji czeka was to samo – rozumują.

Po drugie, od odpowiedzialnego polskiego polityka zamiast słów o odcinaniu łba i zachęt do masowego ginięcia żołnierzy, nawet rosyjskich, oczekiwałbym wezwania do otrzeźwienia.

Po trzecie, prezydent Andrzej Duda musi sobie zdawać sprawę, że masowej śmierci żołnierzy rosyjskich odpowiada równie masowa, a może, biorąc pod uwagę dysproporcję potencjału zbrojnego, bardziej masowa śmierć żołnierzy ukraińskich. Czy polski prezydent nie wie o tym, jak wyglądają ulice ukraińskich miast, przeczesywane przez specjalne jednostki polujące na rekrutów?

Po czwarte i najważniejsze: Skąd polski prezydent czerpie swoje przeświadczenie, że obecna wojna osłabiła poparcie dla Putina? Wszystkie dostępne dane pokazują, że w Rosji mamy do czynienia, przeciwnie, z ogromnym wzrostem nastrojów nacjonalistycznych. Jeśli Putin musi się czegoś obawiać, to nie nieistniejących ruchów pacyfistycznych, ale zwolenników bardziej radykalnych działań militarnych.

Wiem, że te wątpliwości nie przebijają się (albo przebijają w bardzo ograniczonym stopniu) do opinii publicznej. Kult frazesu, umiłowanie pustych gestów, moralizatorstwo, ciągłe posługiwanie się manichejską wizją świata – wydaje się, że to stały rys świadomości polskiego społeczeństwa i jego elit politycznych. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

## TEMAT TYGODNIA


**14** WOJCIECH GOLONKA
**USTA GENERAŁÓW**
Polska wobec wojny

**18** ŁUKASZ WARZECHA
**KOMU NA RĘKĘ ESKALACJA**


## KRAJ


**22** PIOTR SEMKA
**LEWICA (PRAWIE) DLA NIKOGO**
Sztandar wyprowadzić?

**25** JAN FIEDORCZUK
**KONFEDERACJA. TRZECIA SIŁA W POLSCE**

**28** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**POWRÓT „KRÓLA"**

**31** ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
**PORNO DLA DZIEWCZYNEK**

**34** ŁUKASZ ZBORALSKI
**PIGUŁKI ŚMIERCI**


## KULTURA


**36** PIOTR SEMKA
**MALARZ BOŻEGO ŁADU**
Wtul się w naturę, czyli Caspar David Friedrich

**40** PIOTR GOCIEK
**AMERYKAŃSKA ELEGIA**

## NIE PRZEGAP


**42** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA**


## OPINIE


**48** PIOTR WŁOCZYK
**CELA DLA PRO-LIFERA**
Skazani za obronę życia

**50** PIOTR CIOMPA
**DYLEMAT JĄDROWY**

**54** PAWEŁ CHMIELEWSKI
**„TĘCZOWIENIE" KOŚCIOŁA W POLSCE**


## HISTORIA


**56** JAN HLEBOWICZ
**KSIĘŻA W SŁUŻBIE TOTALITARYZMÓW**
Z Bogiem na ustach


## ŚWIAT


**62** MACIEJ PIECZYŃSKI
**MIGRACYJNA BROŃ PUTINA**
Granica w ogniu

**64** TERESA STYLIŃSKA
**KŁOPOTY Z PANIĄ URSULĄ**

**66** JAN BOGATKO
**KAC PO WYBORACH**


## EKONOMIA


**68** JACEK PRZYBYLSKI
**EUROPA MADE IN CHINA**
Chińskie marki chcą podbić serca Europejczyków


## SPORT


**72** ROZMOWA Z GRZEGORZEM LATO
**GUBIMY TALENTY**
Polska na Euro 2024


## WAKACJE Z „DO RZECZY"


**74** JACEK PAŁKIEWICZ
**MASOWA TURYSTYKA**
Miejsca zadeptane przez turystów


## FELIETONY:


SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)




eprasa.pl 669016c73d

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Radek Pietruszka/PAP, Artur Hojny/SE/East News, Leszek Szymański/PAP, Albert Zawada/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

**Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.**

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Adam Borzęcki,** a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
**Joanna Gosek, Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
**Kolporter sp. z o.o.** (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
**Garmond** tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
**GLM sp. z o.o.** tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
**Poczta Polska** https://prenumerata.poczta-polska.pl/

**ISSN nakładu podstawowego 2299-8500**
**Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 500 egzemplarzy**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

**Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.**
**© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin**

## *Drodzy Czytelnicy!*

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## *Nie uchodźcy, a najeźdźcy. Mieliście rację*

*Doskonale pamiętam moment, kiedy pierwszy raz wzięłam do ręki „Do Rzeczy". Niby błaha wizyta w sklepie, półka z prasą i okładka, która lekko schowana za innymi tytułami i tak przykuła moją uwagę. Wzięłam do ręki tygodnik, którego nie znałam (był rok 2015, ja miałam wtedy 19 lat), i przeczytałam tytuł: „To najeźdźcy, nie uchodźcy". Z podtytułem: „Zamknijmy przed nimi granice Polski". Kupiłam. Od tego czasu kupuję regularnie.*

*Wracam do tego momentu z kilku powodów. Między innymi po to, by powiedzieć Wam, że przez te lata często szliście w poprzek wszystkim. Często się na Was wkurzałam, często się z Wami nie zgadzałam (choćby wtedy, gdy na początku pandemii, gdy wszyscy byli spanikowani i skłonni godzić się na wszystko, podważaliście zasadność niektórych restrykcji czy przyglądaliście się Big Pharmie). I często, po czasie, okazywało się, że jednak mieliście rację. Dziś wyraźnie widzimy, jak wiele racji mieliście, gdy już przed prawie 10 laty ostrzegaliście: „Zamknijmy przed nimi granice Polski".*

*Na szczęście po drodze trafił się rząd prawicowy, który postawił tamę napływowi obcych kulturowo i niebezpiecznych migrantów, otwierając się jednocześnie na ludzi, którzy chcą u nas żyć, pracować, współtworzyć Polskę. Boli mnie, gdy mówi się o nas „rasiści". Odmawia się nam prawa do decydowania o naszym kraju, odmawia się nam prawa do bezpieczeństwa. Żołnierz nie może strzelać. Boli mnie, gdy służby innego państwa traktują nas jak wasala, wyrzucając, co chcą i kogo chcą (biedni ludzie podrzucani jak śmieci) na naszym terenie, a premier Polaków tak „się wścieka", że nic z tego nie wynika. Boli mnie, kiedy premier mówi: „Uzyskałem ze wszystkich stron zapewnienie, że Polska będzie miała jeden z rozstrzygających głosów, jeśli chodzi o kwestie związane z bezpieczeństwem naszych granic". Jeden z rozstrzygających? Z bezpieczeństwem Polski? Serio?*

*I kiedy zastanawiam się, jak można zagłosować na takich ludzi, przypomina mi się, że „syci niewolnicy są najzacieklejszymi wrogami wolności".*

***Imię i nazwisko do wiadomości redakcji***

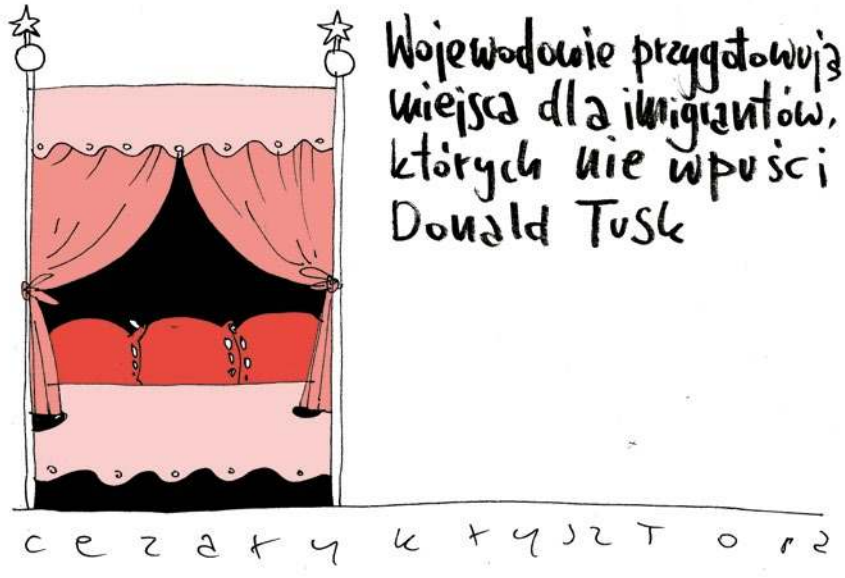




eprasa.pl 669016c73d

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Meloni al dente

Włoskie gospodynie latami uczą się, jak ugotować makaron o twardości zwanej „al dente", czyli „na ząb". Chodzi o to, żeby makaronowa rurka czy nitka nie była ani za twarda, ani za miękka. Ot, idealnie sprężysta, ale nie rozlazła.

Podobnej sztuki, tyle że w dziedzinie polityki, uczy się włoska premier Giorgia Meloni. Walczy o „dopchanie się do stołu" w grze o najważniejsze stanowiska unijne. I nie chce być ani zbyt pryncypialna, by nie odrzucili jej najwięksi unijni gracze, ani zbyt miękka, by nie odwróciła się od niej europejska prawica, w której pani Giorgia bardzo chciałaby przewodzić.

Teraz Włoszka walczy o wpływ na rozdanie czołowych stanowisk w Unii Europejskiej. Niektóre media sugerują, że Meloni, która ma spory wpływ na konserwatywną grupę ECR (w której jest też PiS), może przyłączyć się do sojuszu chadeckiej EPP, liberałów pod wodzą Emmanuela Macrona i socjalistów w celu ponownej intronizacji Ursuli von der Leyen na stanowisku szefowej KE. Kuszą ją Niemcy obietnicami unijnych dotacji, których bardzo potrzebuje włoska gospodarka. Ponadto lewicowy włoski dziennik „La Repubblica" głosi, że w Brukseli nikt wsparcia ze strony Meloni już nie potrzebuje. Według tej wersji wpływ na negocjacje zyskał Donald Tusk, który zmontował już wystarczająco dużą koalicję do reelekcji von der Leyen. Według „La Repubbliki" Tusk osobiście zadbał, aby Meloni wypadła z gry, bo uważa włoską premier za „piątą kolumnę PiS".

Sama Meloni niewiele się wypowiada. 17 czerwca spotkała się w Brukseli z Mateuszem Morawieckim, ale nasz były premier unika komentarzy. Skąd wstrzemięźliwość Morawieckiego? Sprawa chyba jest prosta. W Brukseli trwa wielka gra wobec najważniejszych stanowisk i na razie Meloni nie chce palić żadnych mostów. A PiS raczej nie poprze kolejny raz Frau Ursuli, bo nieraz srodze się już na niej zawiódł. Na dodatek włoska premier nie kryje, że jest przeciw nominacji Estonki Kai Kallas na szefową unijnej dyplomacji, skupionej na problemach państw wschodniej flanki UE przy lekceważeniu rejonu Morza Śródziemnego. Ponadto Meloni wspiera system redystrybucji do krajów Europy Wschodniej uchodźców trafiających do Włoch, co Polska odrzuca. A Niemcy konsekwentnie grają na skłócenie partii Fratelli d'Italia z PiS.

Jeśli włoska premier wyżej postawi swoje własne interesy i poprze von der Leyen, to może pęknąć frakcja UCR, w której są zarówno PiS, jak i macierzysta partia Meloni – Fratelli d'Italia. Tyle że PiS specjalnie nie ma dobrej alternatywy. Nie pali się, by przechodzić do bloku ID, w którym pierwsze skrzypce gra Marine Le Pen. Tusk w takim wypadku na pewno użyłby tego do powtarzania swego sloganu – PiS to ukryci putinowcy. Jednakże jeśli Meloni pójdzie na zbyt daleko idący kompromis z Olafem Scholzem, Manfredem Weberem, Emmanuelem Macronem i socjalistami – to trudno będzie PiS udawać, że nadal jest mu z panią Meloni po drodze.

Na razie partykularne gry interesów rozbijają szanse prawicy na wspólną grę na unijnym boisku. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

## NIEMCY WWOŻĄ NAM MIGRANTÓW

Niemiecka policja przywiozła do Polski nielegalnych migrantów i taką rodzinę pozostawiła w Osinowie Dolnym (Zachodniopomorskie). Z powodu tego „incydentu" publicznie oburzył się premier Donald Tusk. Niedługo potem niemiecki dziennik „Süddeutsche Zeitung" opisał jednak kolejny przypadek – niemieccy policjanci wypakowali z samochodu migrantów i kazali im przejść przez granicę do Polski. Nikt nie wie, ile takich osób niemieckie służby do nas już przerzuciły. ***(luz)*** ©℗



eprasa.pl 669016c73d

# dwaj panowie g

Gadaliśmy w minionym tygodniu z kilkoma posłami PiS ze ściany wschodniej i wszyscy, niezależnie od siebie, opowiadali o dziwnym zjawisku. Chodzi o zaloty ze strony posłów Peezelu. Niby nic, ale jakieś takie zaproszenia na wspólną wódeczkę, podchwytliwe pytania: „A co by było, gdyby…". Chodzi o takie „gdyby", w którego wyniku odsunięto by od władzy w Peezelu Władka Kosiniaka-Kamasza. Niby robi się ciekawie, ale to przecież ludowcy ukuli przysłowie o krowie, która dużo ryczy, ale mało mleka daje.

W minionym tygodniu w Dużym Pałacu, znaczy u prezydenta Andrzeja Sebastiana, odbyła się narada w sprawie ambasadorów. Obradujący zaproponowali, by nie wchodzić w tej kwestii w niepotrzebne konflikty z Radkiem Sikorskim. Nie oznacza to jednak żadnych ustępstw w rzeczach najważniejszych. W praktyce oznacza to, że nie do ruszenia są wszyscy ambasadorzy związani z Dużym Pałacem. Czekamy na naradę u Radka, gdzie zapewne uradzi się wszystko wręcz przeciwnie.

Poszczególne przypadki wskazywania nowych kandydatów na ambasadorów zostały też przez Duży Pałac objęte specjalnym nadzorem. Oznacza to, że Ryszard Schnepf wybierający się do Rzymu nie ma najmniejszych szans na podpis prezydenta. Pewnie i tak wyjedzie, jako kierownik placówki, ale nie będzie miał szans na złożenie listów uwierzytelniających. Gdyż takich nie dostanie. No i nie ukrywajmy, premier Włoch Giorgia Meloni też nie będzie go traktowała poważnie.

À propos zmian na placówkach. Ławka kadrowa nowej Lepszej Zmiany okazała się tak krótka, że trzeba ściągać ludzi z emerytury. Ot, np. taki Tomasz Orłowski, weteran placówek we Francji i Włoszech, czekał sobie spokojnie na nadchodzące za dwa lata 70. urodziny, a tu nagle się okazało, że będzie pilnie potrzebny w Maroku. Z ambasadą żegna się bowiem Krzysztof Karwowski.

Nowa Zmiana najbardziej lubi piosenki, które już zna, i ambasadorów też. Do Armenii ma w związku z tym powędrować Jerzy Marek Nowakowski, który już kiedyś tam był ambasadorem (lata 2014–2017). W sumie słusznie, jesteśmy za tym, żeby zrobić z tego nową świecką tradycję: każdy dyplomata z okazji 10. rocznicy jakiejś nominacji dostawałby drugą, taką samą.

Najbardziej dyplomatycznie zachowuje się jednak nie żadna ambasador, lecz niejaka minister edukacji nijaka Nowacka, która ogłosiła depisizację programu lektur szkolnych poprzez usunięcie „niejakiego Rymkiewicza" oraz „pana Dukaja". Nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że obaj są twórcami wybitnymi, ale wreszcie mamy oficjalne potwierdzenie. Innego pisowca, Adama Mickiewicza, usunięto jedynie częściowo, ale przecież w kolejnych latach władza też musi mieć co robić.

W prokuraturach i sądach strzelają korki od szampanów i innych trunków. Wznoszone są toasty na cześć Adama Bodnara. I bynajmniej nie chodzi o nagły przypływ uczuć do rzeźnika praw obywatelskich. Otóż stopniowo zaczynają spływać wyroki w sprawach o zaległe wynagrodzenia, które trzeba w trybie natychmiastowym wypłacić z budżetu Ministerstwa Sprawiedliwości. Wprawdzie ludzie Bodnara skarżą wyroki, ale cóż, dwie trzecie z nich mają rygor natychmiastowej wypłacalności. W praktyce oznacza to, że trzeba nagle w połowie roku wypłacić sumy podobne do trzynastek czy czternastek. Żyć nie umierać. Zważywszy na sezon, wczasy pod gruszą wyjdą praktycznie za darmo. Choć biorąc pod uwagę sumy, powinno się mówić: wczasy pod palmami.

Reminiscencje z eurokampanii. Otóż na finiszu karczemną awanturę miał urządzić poseł Bartłomiej Wróblewski, który nie dostał zaproszenia do pałacu arcybiskupiego na Ostrowie Tumskim w Poznaniu, gdzie miejscowy metropolita podejmował zupełnie prywatnie i bez mediów kilku kandydatów. Panie Bartku, przestrzegamy: wydzieranie się na proboszcza najważniejszej świątyni w Poznaniu nie jest dobrym pomysłem. Owszem, udało się panu posunąć Wojtka Wybranowskiego z funkcji naczelnego „Głosu Wielkopolskiego", ale ten sam numer z arcybiskupem czy nawet ze zwykłym proboszczem jest jednak poza pana zasięgiem.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Poznań – dziwne miasto. Rocznicę wyborów 1989 r. uczczono tam wręczeniem Nagrody za Odwagę. Otrzymał ją – uwaga – niejaki Lech Wałęsa. Długo dumaliśmy. Na laur za zniknięcie z UOP własnych akt na temat współpracy z SB – za późno. Na laur pośmiertny – za wcześnie. Wreszcie rozwiązaliśmy zagadkę: chodzi o opowiadanie publicznie, że skończyły mu się piniądze. To jednak wymaga odwagi, zwykle ludziska się tym nie chwalą.

Skoro o pieniądzach – spełniły się nasze zapowiedzi sprzed paru tygodni o tym, że Komisja Europejska obejmie Polskę procedurą nadmiernego deficytu. Zły Donald z Sopotu, znany też jako Król Europy, okazał się bezradny. Cóż, na bajerze można wygrywać jakieś tam wybory, ale kiedy w grę wchodzą poważne interesy dużych misiów, to misie robią, co chcą. Na przykład mogą zabierać małym misiom nie tylko te pieniądze, na które się umówiono, lecz także te, na które się nie umawiano. Gdyż – jak mówi stare porzekadło – gdzie w lesie śpi miś? Tam, gdzie chce.

Na zakończenie piłka nożna. W cieniu Euro w piłce kopanej toczą się przygotowania do rozgrywek naszej rodzimej ekstraklapy oraz pierwszej ligi. A jak przygotowania, to transfery. Jak transfery, to test. Jeden z portali dał więc taki oto nagłówek: „Wisła Kraków testuje Niemca?!". Jesteśmy w kropce. Nie wiemy, czy chodzi o wykwit patriotyzmu czy wręcz przeciwnie. W końcu polski klub ośmielający się testować Niemca, zamiast od razu dać mu robotę, to w dzisiejszych czasach rzecz bardzo nieładna. Gdyż – jak mówi stare piłkarskie porzekadło – gdzie kopie piłkę miś? Tam, gdzie chce. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# Barbarzyńca w szkole

Wszyscy już pewnie te słowa znają na pamięć, ale warte są one przecież, by je wyryć w złocie. Barbara Nowacka, minister („ministra", jak każe sama o sobie niegramatycznie mówić) edukacji, o swojej nowej liście lektur szkolnych: „Lista lektur była gigantyczna i niestety nieczytana. Były pewne pomysły indoktrynacyjne, na przykład w ostatnich latach powkładano poezję niejakiego Rymkiewicza. Eksperci bardzo rekomendowali usunięcie. Podpisałam dokument, gdzie pan Rymkiewicz czy pan Dukaj się nie pojawiają".

Już po tym, jak pani Nowacka popisała się idiotycznym pomysłem likwidacji prac domowych, który nie spodobał się ani uczniom, ani rodzicom, ani nauczycielom, nic nie rozwiązał, nikomu nie ulżył, a narobił zamieszania, wiadomo było, że Donald Tusk z sobie znanych powodów powierzył kluczowy dla przyszłości kraju resort osobie skrajnie niekompetentnej, u której wiedzę i zdrowy rozsądek zastępuje ideologiczne zacietrzewienie.

Po tych lekceważących słowach o jednym z najwybitniejszych poetów i eseistów i jednym z najwybitniejszych pisarzy polskiej fantastyki, uznawanym powszechnie za następcę Lema, widzimy, że także – nie można tego ująć delikatniej – skrajnej ignorantce. Inna sprawa, że wykształcenie „ministry" to osobna komedia, i trudno się dziwić, że nie wie, iż za swe „indoktrynacyjne" poezje Jarosław Marek Rymkiewicz nagrodzony był także Michnikową „Nike". A Jacek Dukaj? Czym, na litość Boską, podpadł ciemnej lewaczce pisarz tak odległy od bieżącej polityki i jakkolwiek pojmowanej partyjności? Zapewne tym, że jego książki są przeważnie długie. Długie i pełne trudnych słów, które ludzi tak światłych, jak pani Nowacka, napełniają niepokojem, czy aby autor się nie wywyższa.

Co wpisała „ministra" na listę lektur zamiast wybitnych pisarzy, ale jednego o wrażliwości patriotycznej i wielkiej wiedzy historycznej, a drugiego zbyt dla niej trudnego? Strach myśleć. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że przy takiej szefowej resortu uczniowie zaczną czytać dobre książki sami z siebie, dla przekory. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

# Zanim wybiorą Ursulę II

Brutalny cynizm, łatwo odwołujący się do politycznego obskurantyzmu, to najbardziej charakterystyczny rys polityki Donalda Tuska. Najlepszy przykład to kampania przedstawiająca Jarosława Kaczyńskiego jako przeciwnika Unii Europejskiej. A przecież gdyby nie skromność, prezes Prawa i Sprawiedliwości miałby prawo domagać się miejsca wśród grona ojców dzisiejszej Europy. Nie chodzi tylko o to, że 20 lat temu, orędując za Unią Europejską, zapewniał, że nie grozi nam z jej strony żaden atak na naszą katolicką kulturę. I nie o to, że najpierw parafował traktat lizboński, a potem przesądził o jego ratyfikacji.

Dziś ważniejsze są ostatnia unijna pięciolatka i zgoda Polski na nakładanie podatków na państwa przez Parlament Europejski, na zaciąganie przez Unię długów w imieniu Polski (i innych państw), na mechanizm „nadzoru demokracji", posługujący się sankcjami ekonomicznymi wobec rządów (czyli osławiona „warunkowość" w korzystaniu z przysługujących państwom traktatowych praw). I piękna wisienka na torcie, również skromnie nieeksponowana: przesądzające o wyborze poparcie PiS dla Ursuli von der Leyen, realizatorki całej opisanej wyżej polityki. Niczego z tego wszystkiego bez zgody prezesa PiS Unia Europejska by nie osiągnęła.

Ale zostawmy przeszłość historykom. Wkrótce znowu nasi posłowie będą zatwierdzać przewodniczącego Komisji Europejskiej i to dziś jest ważne. Już słychać w obozie PiS głosy, że – jak było w wypadku wstrzymania się od głosu przy wyborze Junckera i w wypadku poparcia von der Leyen – PiS będzie chciał udzielić kredytu kolejnemu kierownictwu Unii. Przypomnieć więc trzeba im jedno: kształt Unii Europejskiej wyznacza kształt geopolitycznego otoczenia Polski i to się naprawdę liczy! Marzenia o „miejscu przy stole" to za mało, tym bardziej że możemy się spodziewać tylko najgorszego, gdy myślimy, o czym przy tym „stole" będzie się rozmawiać. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# Z życia parlamentu włoskiego

12 czerwca w Izbie Deputowanych dyskutowano o projekcie ustawy regulującej legislacyjne uprawnienia i finansowanie regionów. Zdaniem lewicy faworyzuje on bogatą północ kosztem biednego południa. I naturalnie godzi w demokrację.

Obnosząca się ostatnio z palestyńskimi flagami lewica tym razem zrobiła wyjątek. W ramach protestu pojawiła się w Izbie z flagami włoskimi i zaintonowała hymn włoski. Co więcej, postępowi posłowie rozpoczęli okupowanie ław rządowych, pokrzykując „hańba!". Gdy przewodniczący Izby przerwał obrady i nakazał opuszczenie sali, lewa strona zaintonowała „Bella ciao", powszechnie uważaną za piosenkę antyfaszystowskich partyzantów, choć powstała dopiero po wojnie. Naturalnie wszystko po to, by pokazać, że postępowcy to ideowi spadkobiercy ruchu oporu, a obecna większość parlamentarna i rząd to pogrobowcy Mussoliniego.

W odpowiedzi deputowany prawicowo-populistycznej Ligi prowokował postępowców, pokazując dwoma skrzyżowanymi palcami wskazującymi znak „X". To aluzja do X Flotylli MAS, elitarnej jednostki włoskiej marynarki, która po zawieszeniu broni we wrześniu 1943 r. zignorowała rozkaz poddania się aliantom i walczyła po stronie republiki Salò Mussoliniego, dopuszczając się zbrodni wojennych.

Wówczas deputowany Ruchu Pięciu Gwiazd Leonardo Donno usiłował zawiesić na szyi ministra Calderolego włoską flagę. Doszło do przepychanki. Z odsieczą ministrowi ruszyli koledzy partyjni, a chwilę później na środku Izby Deputowanych po pyskach lało się kilkudziesięciu posłów wszystkich ugrupowań. Interweniowała straż parlamentarna. Jeden strażnik został poszkodowany, dostało się także strażniczce. Prowokator Donno otrzymał kilka ciosów. Padł na podłogę i wywieziono go z auli na wózku inwalidzkim. Oskarżony o zadanie nokautującego sierpowego Igor Iezzi z Ligi twierdzi, że Donno symulował. Po szczegółowej analizie zapisu kamer Iezzi został zawieszony na 15 posiedzeń, a Donno na cztery. W sumie ukarano 11 wybrańców narodu. Dzieje się! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



eprasa.pl 669016c73d

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

# HEJTOWANY ZA PASJĘ

Pewnie w zamyśle miało być szlachetnie, ale wyszło, no cóż, gorzej niż zwykle. Stały bywalec tej rubryki, Filip Chajzer, nie daje o sobie zapomnieć. Podzielił się historią chorego Wiktora. „Wiktor ma 17 lat i wygrał walkę o życie. Zapalenie płuc, ostre zapalenie osierdzia oraz zapalenie mięśnia sercowego… w Dzień Dziecka. Dzięki błyskawicznej reakcji mamy i za……ści lekarzy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego Wiktor żyje. Dajcie mu wsparcie, każde dobre słowo to dobra energia – a ona jest turbo ważna!" – zaczął swój wpis Filip Chajzer. „Mama napisała w komentarzu pod jednym z moich postów, że marzenie Wiktora to spróbować kebsa z Kreuzberg, a dostaw jeszcze nie ma… Oficjalnie są od wtorku. Nieoficjalnie prezes wsiadł w auto i zrobił dziś pierwszą dostawę, prosto na oddział kardiologii dziecięcej" – chwali się prezenter i dumny właściciel budki z kebabem. Zapewnia, że stworzył swój biznes „nie dla Excela, ale żeby sprawiać radość", i dodaje, że cokolwiek by w życiu zrobił, i tak spadnie na niego niezasłużony hejt. „Aktualnie za to, ile serca wkładam w tę budę. To mega głupie, bo żaden biznes nie osiągnie sukcesu, jeśli jego założyciel nie będzie mieć pier.olca na jego punkcie" – analizuje dalej Chajzer. Zgodnie z przewidywaniami samego zainteresowanego wielu internautów zniesmaczonych jest promowaniem się na plecach chorego dziecka. „Miało już nie być zbiórek i podreperowania swojego wizerunku po wtopach. I oto jednak znowu – reklama biznesu, ocieplanie wizerunku i biedny człowiek w tle. Ten celebryta nigdy się nie nauczy, jak być porządnym, bez wykorzystywania innych" – komentuje jeden z obserwatorów. Co na to Chajzer? Na jeden z wielu krytycznych komentarzy odpisał: „Pozdrawiam konkurencję. Wasze kebsy też są super". Filip, skończ już.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

## CHRZEST FAJNY, RESZTA NIE

Dziennikarz Andrzej Sołtysik i jego żona Patrycja Sołtysik oczekują narodzin drugiego dziecka (gratulacje!). Jak to w przypadku celebrytów bywa, ciąża to idealna okazja do medialnego tournée. „U nas to marzenie było skoncentrowane po prostu na tym, żeby Staszek miał rodzeństwo. Pati bardzo chciała tego dziecka, ja trochę mniej, bo jestem trochę starszy i bardziej racjonalnie myślę, ale Pati mnie przekonała… i oczekujemy" – powiedział Sołtysik. We wspólnym wywiadzie dla Jastrząb Post para zapowiedziała, że w przeciwieństwie do pierwszego potomka, który został ochrzczony „trochę z rozpędu", drugi nie zostanie podany do sakramentu, choć – co ciekawe – rodzice „czują potrzebę". „Potrzebę czujemy, tylko instytucja, udzielająca tego sakramentu, nie daje nam żadnych szans" – wskazują Sołtysikowie. „Ta instytucja uważa, że dziecko poczęte według procedury in vitro nie jest dzieckiem boskim, nie przychodzi na świat zgodnie z wolą Boga, według porządku ustalonego w Biblii i aksjomatach. Więc jeżeli ta instytucja tak nas nazywa, to my też się odwracamy plecami do tej instytucji i nie podejmujemy tych rytuałów katolickich" – oburzają się. „Nawet nie jest nam przykro, tylko jesteśmy zdziwieni, że ten świat tak wygląda i że taka ideologia może decydować o czymś takim. Tak nie powinno być" – podkreślają. Kościół decyduje o zasadach, które w nim obowiązują. Doprawdy oburzające!

## WHAT A PRETTY GIRL!

No to teraz trochę rytualnego narzekania na Polaków, bo bez tego ani rusz. Tym razem w repertuarze przysłowiowe już „polska żółć i zawiść". „Zauważyłam, że Polacy wspierają rodaków na drodze do sukcesu, ale gdy ktoś już go osiągnie, nagle wszyscy się odwracają. »Ale dlaczego ona, a nie ja? Nie zasłużyła. Udało jej się po znajomości«" – stwierdziła Julia Wieniawa w rozmowie z magazynem „Viva!". „Nie rozumiem tego. Dopóki nie odniesiesz sukcesu, nikomu nie wadzisz, nie dajesz powodów do zazdrości. Żartuję, że miarą mojego sukcesu jest ilość moich hejterów" – stwierdza aktorkopiosenkarka, przywołując przykład jednej ze swoich współprac reklamowych. „Loréal Paris wrzucił mnie ostatnio na swój globalny Instagram, gdzie jest ponad 10 mln obserwatorów. Ludzie z zagranicy pisali: »Oh, what a pretty girl, fantastic, congratulations«. Od Polaków też było dużo pozytywnych komentarzy, ale jedna dziewczyna napisała po angielsku: »This is a wrong decision, we hate her, she's the worst actress, worst singer in Poland«. Zastanawiałam się, skąd w tej dziewczynie tyle nienawiści. Jaka frustracja i niespełnienie ją zżera, skoro, zamiast poczytać książkę, pogadać z mamą albo spotkać się z przyjaciółką, poświęciła swój drogocenny czas na napisanie tego hejterskiego komentarza" – dywaguje Wieniawa. Podsumowując, stwierdza, że po latach w rodzimym show-biznesie „ma grubszą skórę". „Oczywiście wciąż zdarzają mi się momenty słabości. Wkurza mnie, że jesteśmy krajem zawistnych ludzi" – zaznacza Julia. Ech, ci Polacy… ©℗



eprasa.pl 669016c73d

# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, straszna dyskryminacja. Otósh wchodzi przepis, iż kierowcy taksówek obowiązkowo muszą mieć polskie prawo jazdy. Zupełnie jakby posiadanie polskiego prawa jazdy było jakimś standardem i wyznacznikiem umiejętności. Zobaczcie sami, jak blachosmrodziarze jeżdżą tymi swoimi trującymi dieslami.

Of kors, żebyście nas nie zrozumieli źle, generalnie jesteśmy za regulacjami, ale takimi, które nam mają ułatwić życie. A to wygląda na regulację, która życie nam zdereguluje, a więc będzie to regulacja deregulacyjna.

Obawiamy się bowiem, iż gwałtownie może przez to spaść dostępność kierowców bolta czy ubera, a przeciesh ktoś nas musi w weekendowe noce wozić z Kazimierza na obrzeża, że tak sobie zrymujemy, po cotygodniowych resetujących wyjściach na piwerka kraftowe (swoją drogą, teraz takie cuda na kiju można kupić jako piwo, iż nie trzeba do tego dolewać sprajta, serio, serio).

W dodatku może się okazać, iż większość dostępnych kierowców będą stanowili etniczni Polacy, co sprawi, że nasza codzienność stanie się jeszcze nudniejsza, jeszcze bardziej monoetniczna i sfashysowana.

Selekcjoner piłkarskiej reprezentacji tego kraju Michał Probierz robi zawrotną karierę w social mediach na całym świecie. Jak myślicie – dlaczego? Czy może założył tęczową opaskę? Albo odważnie wypowiadał się w tematach mniejszości? Albo zabrał odważny głos w dyskusji na temat zmian klimatycznych?

Nic z tych rzeczy. Probierz po prostu założył na mecz jakiś staroświecki outfit, jaki tradycyjnie przypisany jest do osób identyfikujących się jako mężczyźni. Wiecie: marynarka, spodnie, kamizelka w kratkę, jakiś dziwny krawat. I o to wielkie halo.

Po tak postępowej imprezie jak Euro spodziewalibyśmy się jednak, iż głosy zachwytu dotyczyłyby czegoś innego. Jakiejś odważnej negacji tradycyjnych ról, zamiast ich podkreślania. No, ale wiecie, Probierz największe sukcesy do tej pory odnosił na Podlasiu, a potem w Krakówku… Jakie on może mieć wzorce.

Jesteśmy rozczarowani, iż aż dwie trzecie badanych Polaków są zdania, iż nie powinniśmy przyjmować migrantów, a tych, którzy już przyjechali, należy odesłać z powrotem na Białoruś. W ogóle dlaczego ktoś miałby się zdaniem tych Polaków przejmować?

Przeciesh to nie jest tylko wewnętrzna sprawa tego kraju, ale nasza wewnętrzna – unijna. Zresztą pewnie słyszeliście, iż Niemcy nam ostatnio przywieźli i zostawili kilkuosobową grupę migrantów, a więc w Europie najwyraźniej istnieje stanowisko, iż ten kraj powinien ich przyjmować.

Zresztą wszyscy nasi znajomi i my też nie zgadzają się z wynikami tego sondażu. Kto w ogóle dobierał tych Polaków do badania i uznał, że jest to grupa reprezentatywna? Jakby czytał nas ktoś decydujący z Zachodu – prosimy nie zwracać uwagi na to badanie, ono nie było autoryzowane i my na pewno nie dajemy zgody, iżby ci Polacy wypowiadali się w naszym imieniu. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

## PODSŁUCHANE

# Lud jest ciemny

**Mati, ty może tak nie wyskakuj w sprawie tego nadmiernego deficytu, że to przez Donka.**
Ale czemu, Mariusz?

**A to nie jest tak, że ta procedura to jest za nasz ostatni rok?**
No jest tak. No i co?

**A jak się ktoś zorientuje?**
Właśnie się zorientowałeś. No i co?

**No dobrze, ale my tu sobie rozmawiamy sami, a ja mówię o tym, że ktoś to gdzieś napisze…**
Już napisali. No i co?

**No to już nie wiem. I co ty wtedy robisz, jak to piszą albo mówią?**
Nic.

**I co?**
I nic. I tak nikt z tego nic nie rozumie. Lud jest ciemny. ©℗

***Łukasz Warzecha***

## OD RZECZY

**„Samorządy, lekarze, a przede wszystkim pacjenci cieszą się, że odsunęliśmy PiS od władzy".**

***IZABELA LESZCZYNA,*** *minister zdrowia (PO), na portalu X*



eprasa.pl 669016c73d

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

## Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

**Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"**
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

**Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.**

**Konserwatywnym,** bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

**Michał M. Lisiecki**
Wydawca

**Paweł Lisicki**
Redaktor Naczelny

eprasa.pl 669016c73d

# Wolność to Konkret!

## Przejdźmy DoRzeczy

## ZAINWESTUJ

**Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.**

**Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882,** a my wyślemy Ci informację zwrotną.

**Gwarancja Prywatności:**
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

## KORZYŚCI DLA CIEBIE:

**Bądź na bieżąco:**
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

**Dostęp do ekskluzywnych treści:**
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

**Wspieraj wolne media:**
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

## INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 669016c73d

Generał Wiesław Kukuła (z prawej) i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

# Usta generałów

*Wojciech Golonka*

**Czy Polska zakłada utratę połowy żołnierzy w przypadku konfliktu z Rosją? Czy opłaca nam się eskalować konflikt w Europie? Wypowiedzi naszych wojskowych nie pozwalają zrozumieć, jaka jest nasza strategia**

Niedawna wypowiedź gen. Wiesława Kukuły na temat perspektywy konfrontacji militarnej z Federacją Rosyjską, jakże drakońska w swych założeniach dotyczących strat ludzkich po stronie polskiej, powinna była wywołać solidną debatę polityczną z jednej strony, a z drugiej – poruszenie społeczne. Generał Kukuła jest bowiem, bądź co bądź, pierwszym żołnierzem Rzeczypospolitej – obecnym szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a także wskazanym przez prezydenta Andrzeja Dudę Naczelnym Dowódcą Sił Zbrojnych na czas wojny.

W przeciwieństwie zatem do wybrzmiewającej w mediach od początku wojny na Ukrainie permanentnej litanii mądrości generalskich, intensywnie oscylujących między osobistymi wynurzeniami popadającymi wręcz w fanaberię a faktycznymi przejawami militarnego kunsztu, wypowiedź gen. Kukuły, z racji jego stanowiska, siłą rzeczy odzwierciedlała aktualną wizję polskich sztabowców co do potencjalnego wykorzystania polskiego żołnierza, które należałoby podsumować zwięzłym, acz niestety trafnym określeniem „mięsa armatniego".

I nie chodzi tu, w pierwszym rzędzie, o rozstrzygnięcie, czy perspektywa gen. Kukuły jest strategicznie sensowna bądź aberracyjna, moralnie dopuszczalna czy zbrodnicza. Chociaż prowokacyjnie, ale słusznie, można by skwitować, w duchu dokonywanych przez polityków nieco prymitywnych uproszczeń, że jeśli wojsko pod pierwszymi rządami Platformy Obywatelskiej nie miało lepszego pomysłu na ewentualną wojnę rosyjsko-polską, jak poświęcenie połowy naszego terytorium, broniąc się na linii Wisły, to za rządów Prawa i Sprawiedliwości wypracowaną dlań osobliwą alternatywą jest najwyraźniej gotowość poświęcenia ponad połowy ludzkich zasobów naszej zawodowej armii, innymi słowy – hekatomba.

Temat zasadności i dopuszczalnej skali daniny z ludzkiej krwi jest oczywiście sam w sobie pierwszorzędny, jednak na wstępie warto zauważyć, że jeśli słowa gen. Kukuły nie spotkały się z należytą reakcją w postaci właśnie społecznego poruszenia albo żarliwej politycznej debaty, to właśnie m.in. dlatego, że problematyka ta wydaje się nam jeśli nie zupełnie nieistotna (choć kto wie, być może dla wielu jest rzeczywiście nieistotna), to przynajmniej mocno abstrakcyjna, jak gdyby wizje polskich sztabowców nie uwzględniały rzeczywistych danych lub przybliżonych rachunków strat ukraińskiej armii w konfrontacji z siłami zbrojnymi Federacji Rosyjskiej, do których NATO, zważywszy na swe całkowite zaangażowanie po stronie Ukrainy, ma z pewnością na bieżąco dostęp.

Za podobny stan społecznej inercji i bierności z pewnością po części odpo-



eprasa.pl 669016c73d

wiada wspomniane już zjawisko ochoczo rozsiewanych przez media notorycznych wynurzeń eksperckich, które w swej tendencji do odrealniającej propagandy po prostu znieczulają na krytyczne postrzeganie w ogóle wypowiedzi autoryzowanych generalskimi szlifami.

Innymi słowy – inherentne dla tego zjawiska niebezpieczeństwo jest podwójne: albo traktujemy najróżniejsze wypowiedzi eksperckie z największą powagą, choćby były one sprzeczne między sobą, choćby ten sam ekspert raz po raz przeczył sam sobie, przyjmując je za dobrą monetę, a tym samym poświęcając logikę dla naszych podświadomych potrzeb emocjonalnego zaangażowania „dla dobra sprawy" i poczucia spełnienia jakiegoś moralnego obowiązku przez słuchanie medialnych wyroczni, albo ratując logikę, znieczulamy się na cały ten ekspercki harmider, dla zdrowia mentalnego i świętego spokoju odcinamy się od niego i przestajemy traktować poważnie (co osobiście uważam za zrozumiałą tendencję), w konsekwencji czego odmawiamy mu (znów podświadomie) zdolności sprawczej, a trzeba pamiętać, że przecież nawet pustosłowie nie jest jej pozbawione, choćby w znaczeniu propagandowego oddziaływania na masy.

Dlatego też warto dokonać przeglądu co bardziej znaczących wypowiedzi generalskich i parageneralskich, bo to właśnie one albo formułują w odbiorcy spojrzenie na wojnę (i tę bieżącą, i tę potencjalną), dzieląc się wiedzą z zakresu autentycznego kunsztu militarnego, albo ten osąd odbiorcy po prostu wypaczają, serwując jako opinię ekspercką w gruncie rzeczy prywatne poglądy, przejawy niespełnionych wojennych ambicji lub – co byłoby najgorsze i moralnie najohydniejsze (choć i najtrudniejsze do udowodnienia) – odpłatną propagandę.

## PRZYPADEK HODGESA

W przypadku niezwykle taniej i żenującej wręcz propagandy najbardziej, zdaje się, przykrym upadkiem okazał się zagraniczny casus gen. Bena Hodgesa, dowódcy NATO-wskich sił lądowych w latach 2012–2014 oraz dowódcy amerykańskich sił zbrojnych w Europie w latach 2014–2017. To właśnie za jego dowództwa rozpoczęła się największa od czasów zimnej wojny rozbudowa sił NATO w Europie – George Friedman twierdził, że była to rola nieprzypadkowa, Hodges miał wziąć na siebie pretensje Rosjan – i był to bezsprzecznie najlepiej postawiony człowiek, by rozumieć realia militarne na styku NATO-Rosja, w tym odstraszająco-defensywną, a nie ofensywną rolę sojuszu. Otóż udawszy się na emeryturę, zasłużony generał stał się głównym ekspertem studiów strategicznych think tanku Globsec (finansowanego przeszło w połowie ze strony międzynarodowych instytucji i rządów), a wraz z agresją rosyjską na Ukrainę zaczął opowiadać rzeczy wręcz niesamowite z punktu widzenia jego fachowej wiedzy z najwyższej półki i zawodowego doświadczenia.

Otóż, obok zrozumiałego poparcia dla Ukrainy, generał bezapelacyjnie wieścił nieuchronną klęskę Federacji Rosyjskiej i jej dezintegracji, a także zapowiadał rychłe odbicie Krymu przez siły zbrojne Ukrainy. 13 września 2022 r. rozpoczynał swój felieton na łamach brytyjskiego „The Telegraph": „Staje się coraz bardziej jasne, że Ukraina wygra tę wojnę, a Kreml mierzy się z historycznym kryzysem zaufania. W rzeczy samej, myślę, że zachodzi autentyczna możliwość, że wobec tak mocnych obnażonych słabości Władimira Putina być może będziemy świadkami nie tylko końca jego reżimu, lecz także samej Federacji Rosyjskiej".

Kilka miesięcy później obecny dowódca amerykańskich sił zbrojnych w Europie, gen. Christopher Cavoli, głosił, że zarówno skala, natężenie, jak i straty wojny na Ukrainie wykraczają poza dotychczasowe ramy myślenia NATO, i nawoływał do przebudzenia przemysłu zbrojeniowego w Europie, bez którego Ukraina nigdy nie dorówna możliwościom produkcyjnym Federacji Rosyjskiej. Te słowa rozwagi następcy nie przeszkadzały Hodgesowi w czerwcu 2023 r., w ramach osławionej ukraińskiej kontrofensywy ukraińskiej (jak dziś dobrze wiadomo, kontrofensywy przede wszystkim natury medialnej), zapowiadać wyzwolenia Krymu pod koniec lata tego samego roku. Niespełna dwa lata po proroctwach gen. Hodgesa ukraińskiej wiktorii przywódcy europejscy dyskutują, czy wysyłać swe wojska na Ukrainę celem niedopuszczenia jej dezintegracji, a wielki entuzjasta wspierania Ukrainy aż do wyzwolenia Krymu, prezydent Andrzej Duda, w przypływie realizmu przyznaje, że prawdopodobnie nie będzie ono możliwe.

Zresztą mająca się w wizjach Hodgesa rozpaść na kawałki Rosja okazała się odporna na zachodnie sankcje, wystarczająco spójna wewnętrznie i niewątpliwie przejawia obecnie taktyczną inicjatywę, która równie dobrze może spowodować przełamanie frontu – takie są przynajmniej żywe obawy – a w konsekwencji znaczne zepchnięcie jego linii w kierunku Dniepru. Zresztą sam generał dostosowuje się do mądrości etapu i grzmi obecnie, co Zachód powinien zrobić, aby nie dopuścić do upadku Ukrainy. Ma się rozumieć, panaceum na wszystko jest więcej broni, eskalacji i gotówki z zagranicy (również dla lobbystów), pomijając może bardziej skomplikowany fakt, że Ukrainie przede wszystkim wyczerpują się rezerwy ludzkie, a ich uzupełnienie nie jest oczywiste – ani faktycznie, ani moralnie. Przy czym w ostateczności można by nawet zrozumieć, że generał kompromituje swój autorytet dla sprawy (i nie za darmo), celem podtrzymania na Zachodzie wiary w sens wspierania militarnego Ukrainy. Sęk jednak w tym, że biorąc skalę dysproporcji między jego karierą a oderwanymi od rzeczywistości proroctwami, traktujące go nadal poważnie media raczej kompromitują się wraz z nim.

## POTRZEBA SUMIENIA

Generał Hodges nie jest, ma się rozumieć, przypadkiem odizolowanym. Na gruncie polskim niezmiernie kuriozalnym przypadkiem mieszania osobistych wynurzeń chwili z przejawami realizmu jest gen. Waldemar Skrzypczak, dowódca wojsk lądowych w latach 2006–2009. Otóż na wstępie trzeba przyznać generałowi odwagę w konfrontacji z politykami, kiedy uważa, że w grę wchodzi dobro wojska polskiego – publicznie protestował, gdy wysyłane do Afganistanu jednostki były niedoposażone, co narażało życie żołnierzy, a także od początku stał po stronie żołnierzy, którzy brali udział w ostrzale Nangar Khel, a zostali w czambuł przez polityków i media potępieni jako zbrodniarze wojenni, podczas gdy sąd ostatecznie uniewinnił ich od tego zarzutu. Jak też wiadomo, to jego krytyka próby wymuszania poddaństwa wobec rzecznika MON Bartłomieja Misiewicza spowodowała



eprasa.pl 669016c73d

jego politycznie umotywowane zwolnienie z funkcji doradcy Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia w Zielonce w 2017 r.
Przy tej okazji Skrzypczak żalił się, zdawałoby się słusznie: „Mam wyrzuty sumienia, bo nie korzysta się z mojej wiedzy. Takich jak ja traktuje się jak trędowatych, a przecież mamy olbrzymi potencjał".

Sęk w tym, że drugą stroną medalu pewnego siebie generała, który wraz z wojną na Ukrainie stał się popularnym w mediach ekspertem, jest brak autokrytycyzmu, tym bardziej jeśli jego wypowiedzi są przede wszystkim nakierowane na ukojenie sumienia, co być może należałoby właściwej rozumieć przez samozadowolenie.

Otóż to gen. Skrzypczak wraz z początkiem inwazji Ukrainy sugerował atak (ba! – odbicie!) Królewca, tłumacząc się później, że była to jedynie retoryka, do której miał zresztą prawo na zasadzie swobody wypowiedzi. Swobody nad wyraz płodnej. Śledząc wypowiedzi generała na przestrzeni dwóch lat, nie trzeba się wyzłośliwiać, aby kwestionować ich spójność i zgodność z rzeczywistością. W sierpniu 2022 r. generał ogłosił zwycięsko, że armia rosyjska została pobita i przez wiele lat nie będzie zdolna do jakichkolwiek operacji, którymi do tej pory straszono NATO, by półtora roku później, w styczniu 2024 r., ocenić, „że w połowie tego roku Rosjanie będą mieli taki potencjał, że to, co zdobyli na Ukrainie, Ukraina nie odzyska nigdy, a na pewno nie w wyniku działań zbrojnych [...]. Ukraińcy powinni się obawiać, że Rosjanie mogą pójść jeszcze dalej". W styczniu 2023 r. generał uważał, że zagrożenie trzecią wojną światową nie istnieje, bo Rosja nie ma potencjału militarnego, w czerwcu tego samego roku popierał pomysł Andersa Rasmussena wysłania zachodnich wojsk na Ukrainę, pod warunkiem że będzie to solidarnościowe działanie całego sojuszu, i nawoływał do zamknięcia przez NATO nieba nad Ukrainą dla rosyjskich samolotów, by w lutym 2024 r. stwierdzić, że wejście NATO na Ukrainę oznaczałoby wybuch trzeciej wojny światowej.

Generał najpierw twierdził, że Ukraina nie jest gotowa do kontrofensywy, ale post factum uznał, że dostała to, co było możliwe i wystarczające, a błędem było, że kontrofensywy de facto nie dokonała.

Przypierany do muru gen. Skrzypczak potrafi nawet przekonująco uzasadniać zmianę swojego punktu widzenia. Tłumaczył np., że w kwestii określenia potencjału zbrojeniowego Rosji wierzył, iż sankcje rzeczywiście zablokują jej zdolności produkcyjne – jakże naiwnie, wbrew sceptycznym głosom bynajmniej nie ekspertów, które okazały się trafniejsze (Rosja, wbrew zachodniej propagandzie, bynajmniej nie jest odizolowanym krajem na świecie, a część państw nie tyle kibicuje jej wbrew Ukrainie, ile oczekuje możliwego przełamania amerykańskiej hegemonii). Przede wszystkim zachodzi pytanie, czy wyzbywając się swego kompleksu trędowatego, pewny siebie generał nie popadł przypadkiem w przywarę, którą skądinąd, po dwóch latach wojny, trafnie zdiagnozował u innych: „Panowie z NATO uzurpują sobie prawo do wszechwiedzy".

## ZACIERANIE GRANICY

Pomijając działania ściśle propagandowe pokroju Hodgesa, choćby najbardziej absurdalne, główną bolączką najróżniejszych wypowiedzi ekspercko-generalskich jest w zasadzie zacieranie granicy, a czasem jej wprost bardzo daleko idące przekraczanie, między ekspertyzą, choćby zwięzłą, a publicystyką, w której potrzeba zaspokojenia oczekiwań publiki bierze górę nad merytoryką, poczucie własnej kompetencji nad czujnością i pokorą.

Drugim, istotnym problemem jest kaganiec cenzury moralnej narzuconej przez polityków i media, wedle której kto nie krzyczy razem z hałastrą, ten ruska onuca i agent Putina. Wprawdzie z biegiem rozwoju wojny rzeczywistość na

# Jak wojskowi eksperci szli na wojnę

***GEN. MIECZYSŁAW RÓŻAŃSKI, 19 stycznia 2022 r., Businessinsider.pl***

„W szeroki konflikt zbrojny raczej wątpię. Rosja nie wytrzymałaby gospodarczej blokady, która byłaby tego efektem. Nie zrównoważyłby tego alians z Chinami, co najwyżej Rosja zostałaby państwem lennym Chin. A na pewno nie o to chodzi Putinowi".

„Również inne kwestie sprawiają, że w wielką wojnę można wątpić. Rosja gromadzi wojska od wielu tygodni, przez co przy ewentualnym ataku nie byłoby właściwie żadnego zaskoczenia. Ukraina zdążyła przez ten czas ruszyć z dyplomatyczną ofensywą, do kraju trafił zachodni sprzęt, a nawet żołnierze. Wielu ekspertów uważa więc, że gdyby Putin naprawdę chciał zająć Kijów, starałby się uderzyć względnie szybko i niespodziewanie".

***GEN. DAVID PETRAEUS, były szef CIA, 12 lutego 2023 r., RedaktionsNetzwerk Deutschland***

„Myślę, że wojna ostatecznie zakończy się wynegocjowaną ugodą. Nastąpi to, gdy przywódcy Rosji zdadzą sobie sprawę, że z jednej strony wojny nie da się utrzymać na terenie Ukrainy, a z drugiej, że po prostu nie opłaca się jej prowadzić".

***GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK, 7 marca 2022 r., Radio Zet***

„Rosjanie gonią resztkami sił. Pododdziały rosyjskie już prawie utraciły zdolność bojową. Ich straty są na poziomie 30–40 proc. Zajęte obszary przez Rosjan są tylko zajęte tam, gdzie wojsko stoi. Strategicznie, kiedy załamało się pierwsze natarcie Rosjan, trzeciego dnia operacji, to już wtedy powiedziałem, że Ukraińcy tę wojnę wygrali".

„Nie ma szans na to, by na Ukrainę przybyły nowe siły rosyjskie".

„Putin będzie wycofywał się, strasząc nas bombą atomową. My też mamy jakieś możliwości i wymiana ciosów jądrowych spowodowałaby to, że Rosja zniknęłaby z mapy świata".

***GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK, 5 maja 2022 r., Ukrinform.pl***

„Teraz jest dobry czas, by Ukraina odzyskała to, co straciła. Teraz to nie Putin ma decydować o losach wojny, ale prezydent Zełenski. Prezydent Ukrainy teraz wygrywa, więc musi ustalić, kiedy to się skończy. Chodzi mi o to, że Ukraina ma szansę wyzwolić wszystkie okupowane terytoria Donbasu, a kwestia Krymu powinna być później rozstrzygnięta na arenie międzynarodowej – być może z innym prezydentem Rosji".


eprasa.pl 669016c73d

froncie zweryfikowała mit zwyciężającej Ukrainy, wraz z czym pojawiły się głosy krytyczne wśród polskiej generalicji odnośnie do ukraińskiej strategii prowadzenia wojny, jednakże podobny knebel jest dla nas po prostu niebezpieczny.

Dla przykładu: praktycznie żaden z generałów nie podniesie w dyskusji konceptu Polski jako państwa na styku Wschód-Zachód nastawianego na bycie bezpieczną strefą buforową dla obu bloków, bo w obecnym „klimacie" polityczno-medialnym jest to herezja nie tylko niemająca racji bytu, lecz także niedozwolona w dyskusji. Zamiast tego generałowie – czy im się to podoba czy nie – służą do firmowania a priori wyścigu zbrojeń, w którym równie dobrze można sobie pozwolić na fantazje atomowe, jak w przypadku gen. Polko, który wskazał, że wraz z bronią atomową Polska byłaby nieatakowalna, jak Iran czy Korea Północna, zapominając dodać, że są to państwa przez to wystawione do zupełnej anihilacji przez amerykańskie głowice jądrowe na wypadek W.

Podobnie zebrani niedawno u Bogdana Rymanowskiego renomowani eksperci wojskowi i geopolityczni z jednej strony chwalili kolejny, od dawna wyczekiwany pakiet pomocy zbrojeniowej USA dla Ukrainy, z drugiej niezwykle otwarcie dawali do zrozumienia, że w przypadku eskalacji wojny Polska mogłaby znaleźć się na polu walki osamotniona, jednak żaden z nich nie pozwolił sobie na spostrzeżenie pewnej komplikacji, a mianowicie, że to wysyłanie coraz bardziej zaawansowanej broni na Ukrainę, przerzucanie jej doń przez terytorium Polski i udzielanie zielonego światła, jak zrobiła to ostatnio Wielka Brytania, na uderzanie tą bronią w cele wewnątrz terytorium Federacji Rosyjskiej, jest ze swej natury działaniem eskalującym wojnę, działaniem angażującym także Polskę.

Te sprzeczności generalskie, sprzeczności między generałami, wynikający z nich chaos zmiennej, gdyż za mało spójnej narracji o surrealistycznym zabarwieniu, byłyby bez znaczenia, gdyby nie to, że nie tylko nie budzą one zaufania do wojska polskiego, lecz także je podważają.

Wracając do wstępnego casusu gen. Kukuły, trzeba oddać mu sprawiedliwość, że w swej wypowiedzi nie tyle szukał zaspokojenia potrzeb medialnych, ile prostodusznie wyjawił strategię naszych sił zbrojnych: w potencjalnym konflikcie zbrojnym z Federacją Rosyjską większość (czyli ponad połowa!) żołnierzy zawodowych zostanie wyeliminowana, stąd wojnę dokończą rezerwiści, których należy w tym celu wyszkolić. Zostaną oni powołani na zasadzie zachęty, choć nie sposób sobie wyobrazić, co ma ich właściwie zachęcić, jeśli zakładane straty wojenne mają być hekatombą.

Przełożony gen. Kukuły, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, kilka dni później uspokajał, że Polsce nic nie grozi, ale i on dobrodusznie dodał, że na wszelki wypadek on sam ma spakowany plecak do ewakuacji – szkoda, że przy okazji nie dodał, gdzie przewidziana jest ewakuacja ministra obrony narodowej.

Otóż złożenie własnego życia, panowie, w ręce dowódców różnego szczebla to naprawdę poważna sprawa, wymagająca największego i autentycznego zaufania, którego nie da się tak po prostu zbudować wraz z ogłoszeniem mobilizacji. Niespokojni generałowie oscylujący, w imię swobody wypowiedzi, między kunsztem wojennym a fantazją, sztab szukający ochotników do zastąpienia mających masowo polec w walce zawodowców, minister na pierwszy rzut oka bardziej gotowy do ewakuacji niż na samą wojnę – pomijając i tak zniechęcającą do poświęceń wojnę polsko-polską, jeśli rzeczywiście grozi nam wojna, to na gruncie narracji potrzebnej do zmobilizowania populacji, a zwłaszcza potencjalnych poborowych, politycy, eksperci i media wstępną bitwę już przegrywają, i nic nie zanosi się na to, aby byli gotowi postawić na bardziej jednoczącą i konstruktywną strategię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***GEN. BEN HODGES, były dowódca sił USA w Europie, 16 września 2022 r., „The Telegraph"***
„Straty Kremla na Ukrainie mogą doprowadzić Federację Rosyjską do upadku".
„Coraz wyraźniej widać, że Ukraina wygra tę wojnę, a Kreml staje w obliczu historycznego kryzysu zaufania".

***GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK, 23 marca 2023 r., Wp.pl***
„Jest szansa, aby okrążyć i rozbić zgromadzone tam siły rosyjskie [chodzi o łuk donbaski – przyp. red.]. Rosjan trzeba podzielić i bić oddzielnie. Jeśli Ukraina to zrobi, to będzie koniec wojny. Niczym w 1917 r. żołnierzom odechce się walczyć za cara".

***GEN. MIECZYSŁAW BIENIEK, 30 marca 2023 r., TVS.pl***
„Dzisiaj mamy ten element wojny statycznej, natomiast Ukraina wyraża taką nadzieję, że zbierze i siły, i obwody i będzie w stanie w okresie przedletnim wykonać kontrofensywy i odzyskać ziemię, którą utraciła po 24".

***GEN. ROMAN POLKO, 24 kwietnia 2023 r., Radio Gdańsk***
„Rosja w istocie przegrywa tę wojnę i nie wygra jej, bo jedyne, na co w tej chwili ją stać, to utrzymanie korytarza lądowego do Krymu, który udało się zdobyć, i części Donbasu".

***GEN. MARK MILLEY, najwyższy rangą amerykański dowódca wojskowy, 25 maja 2023 r., podczas konferencji po wirtualnym spotkaniu Grupy Kontaktowej do spraw Obrony Ukrainy***
„Ta wojna nie zakończy się militarnym zwycięstwem Rosji. Ukraina może być w stanie wyprzeć Rosjan z okupowanych terytoriów, ale prawdopodobnie nie w krótkiej perspektywie".

***RIHO TERRAS, dowódca Estońskich Sił Obronnych, 25 listopada 2023 r., Wprost.pl***
„Mówimy o rosyjskiej armii. Dużo o jej potędze nasłuchaliśmy się przed wybuchem wojny na Ukrainie, że jest silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, a gdy wojna się zaczęła, rzeczywistość się okazała kompletnie inna".

***GEN. PHILIP BREEDLOVE, generał Sił Powietrznych USA i Naczelny Dowódca Sił Sojuszniczych w Europie w latach 2013–2016, 20 marca 2024 r., Sestry.eu***
„Ta wojna zakończy się dokładnie tak, jak zdecydują zachodni politycy. Jeśli damy Ukrainie to, czego potrzebuje, aby wygrać, to wygra. Pod względem strategicznym Ukraińcy zwyciężyli nad Rosją na północ od Kijowa oraz na północny zachód od Charkowa. Odbili ponadto wiele terytoriów na południu". ©℗ ***(oprac. luz)***



eprasa.pl 669016c73d

Szczyt w sprawie pokoju na Ukrainie odbył się w Szwajcarii 16 czerwca. Komunikat po nim był dużo bardziej stonowany niż wypowiedzi polskich polityków FOT. URS FLUEELER/KEYSTONE/AP/EAST NEWS

# Komu na rękę eskalacja

*Łukasz Warzecha*

## Polska jest stale popychana do wojny z Rosją. I w końcu to się niestety może wydarzyć

Szczyt „pokojowy" w Szwajcarii (15–16 czerwca) był wydarzeniem nieco dziwacznym, wziąwszy pod uwagę jego nazwę. Wygląda to trochę jak gry z językiem, prowadzone przez obóz komunistyczny w czasach zimnej wojny. Jak wiadomo, kraje z obozu socjalistycznego zaciekle i nieustannie walczyły o pokój, przy czym była to walka jak z „Roku 1984", gdzie ministerstwo wojny nazwano ministerstwem pokoju.

Gdyby bowiem szczyt faktycznie miał się zajmować realnymi propozycjami pokojowymi, musiałyby w nim uczestniczyć obie walczące strony. Rosji jednak nie zaproszono, a jej najważniejszy globalny sojusznik, Chiny, nie wziął w nim udziału. Przed szczytem Władimir Putin zaproponował warunki zakończenia działań zbrojnych: wycofanie się ukraińskich wojsk z terytoriów zajętych przez Rosję i przez nią – bezprawnie – anektowanych oraz wyrzeczenie się przez Ukrainę dążenia do członkostwa w NATO. Te żądania zostały oczywiście przez uczestników szczytu odrzucone.

„Nie wydaje mi się, żeby szczególnie efektywną propozycją pokojową było oczekiwanie wycofania się Ukrainy z Ukrainy" – powiedziała na szczycie Giorgia Meloni, premier Włoch i liderka Braci Włochów. Meloni wydaje się z dużą konsekwencją, a nawet zapamiętaniem neofity, odcinać od swojego niegdysiejszego wizerunku polityka sceptycznego wobec Ukrainy i oskarżanego o przychylność wobec Rosji. Trzeba to umieszczać w kontekście polityki europejskiej, gdzie w tej chwili toczy się gra o podział unijnego tortu po wyborach do Parlamentu Europejskiego, a partia Meloni jest kuszona, aby powrócić po jednej kadencji przerwy do Europejskiej Partii Ludowej. Inny scenariusz to ten, w którym przejmuje kontrolę nad grupą Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (jest w niej PiS) i wprowadza ją w sojusz z głównym nurtem, być może zajmując miejsce liberałów z Renew, którzy są mniej liczni w nowym rozdaniu.

Wypowiedź Meloni jest oczywiście częścią politycznego teatru. Jasne jest przecież, że każdy, kto przystępuje do negocjacji, stawia na początku jak najdalej idące żądania. Nie wiemy oczywiście, czy słowa Władimira Putina były autentycznym punktem wyjścia do czegokolwiek czy również jedynie zagraniem propagandowym, jednak gdyby miały być stanowiskiem wyjściowym do rokowań, jak najbardziej miały z rosyjskiego punktu widzenia sens. Wszak chyba nikt patrzący realistycznie na sytuację na Ukrainie nie może sądzić, że Kijowowi uda się w możliwej do przewidzenia perspektywie czasowej odzyskać wszystkie zagarnięte przez Rosjan terytoria. Jest całkowicie jasne, że z czegoś trzeba



eprasa.pl 669016c73d

będzie ustąpić. Pytanie brzmi tylko: Z czego?

## KOMUNIKAT KOŃCOWY

Media – szczególnie polskie, które z zasady nastawione są na skrajnie proukraiński propagandowy ton – skupiły się na tym, że członkowie grupy G7 zgodzili się przed szczytem wykorzystać zamrożone rosyjskie aktywa do udzielenia Ukrainie pożyczki na poczet wojny z Rosją w wysokości 50 mld dol. Mowa była także o tym, że w szczycie wzięła udział wyjątkowo duża liczba krajów – aż 93. Niespecjalnie jednak zajęły się tym, jak brzmi podpisany przez przedstawicieli 78 państw komunikat końcowy (spośród uczestników podpisów nie złożyły m.in. Arabia Saudyjska i RPA). A jest to ogromnie interesujące.

Już na samym początku mamy odejście od używanego w Polsce bez wyjątku, a na Zachodzie na ogół, zwrotu „agresja Rosji przeciwko Ukrainie". Komunikat używa neutralnego sformułowania „wojna Federacji Rosyjskiej przeciwko Ukrainie". Podkreślono oczywiście znaczenie prawa międzynarodowego i integralności terytorialnej każdego państwa, z Ukrainą włącznie. Główne trzy punkty komunikatu są jednak zaskakująco wstrzemięźliwe.

Po pierwsze – mowa jest o zaporoskiej elektrowni jądrowej i o konieczności zwrócenia jej pod ukraińską kontrolę. Po drugie – o bezpieczeństwie żywnościowym i o tym, że niedopuszczalne są ataki na statki handlowe, a ukraińska żywność powinna bez przeszkód docierać do kupujących. Po trzecie – o konieczności dokonania pełnej wymiany jeńców oraz odesłania na Ukrainę ukraińskich dzieci i cywilów przetrzymywanych w Rosji.

Wreszcie w komunikacie pojawia się fragment: „Uważamy, że osiągnięcie pokoju wymaga zaangażowania i dialogu wszystkich stron. W związku z tym zdecydowaliśmy się podjąć konkretne kroki w przyszłości w opisanych kwestiach z zaangażowaniem przedstawicieli wszystkich stron". Te dwa zdania należy traktować jako sygnał wysyłany do Moskwy. Ostrożny i zachowawczy ton komunikatu stoi w głębokiej sprzeczności z wojowniczym tonem wypowiedzi większości zachodnich przywódców, a szczególnie z tym, co możemy usłyszeć od polskich polityków, dla których słowo „pokój" w kontekście wojny na Ukrainie nadal brzmi jak obelga.

Wciąż jedną z opcji dyskutowanych oficjalnie jest wysłanie zachodnich wojsk na Ukrainę. W jakiej formie, roli czy pod jaką flagą – pozostaje niejasne. Gdyby jednak miało to nastąpić i gdyby zachodni żołnierze znaleźli się na Ukrainie, radykalnie wzrosłoby prawdopodobieństwo rozszerzenia się konfliktu na kraje NATO. Zwolennicy takich rozwiązań wydają się zapominać o prawidłowości dotyczącej każdego konfliktu militarnego o wysokiej dynamice: im dłużej on trwa, tym bardziej rośnie możliwość choćby przypadkowego wymknięcia się sytuacji spod kontroli, a obecność żołnierzy krajów NATO na Ukrainie – nawet nie pod flagą sojuszu –wzmagałaby to prawdopodobieństwo radykalnie.

W polskiej debacie całkowicie nieobecny jest temat ewentualnych konsekwencji nawet jednorazowego, punktowego uderzenia Rosji w polskie terytorium. Nie ma w tym logiki ani spójności, bo z jednej strony zasadnicza część retoryki polskiej klasy politycznej opiera się na przekonaniu, że Rosja nie tylko może, lecz także zamierza nas zaatakować – z drugiej nie są kompletnie brane pod uwagę konsekwencje ataku nie pełnoskalowego, ale ograniczonego i pojedynczego ciosu.

## NIEBEZPIECZEŃSTWO DLA POLSKI

Oczywistym dla niego celem jest lotnisko w Jasionce pod Rzeszowem. Gdyby uderzyła w nie – lub tylko została wycelowana i wystrzelona, nawet gdyby została strącona – choćby jedna rosyjska rakieta, sytuacja Polski zmieniłaby się z godziny na godzinę. Stalibyśmy się krajem będącym nie potencjalnym, ale faktycznym celem rosyjskiego ataku, a to natychmiast spowodowałoby radykalny spadek wartości polskiej waluty z gigantycznymi konsekwencjami dla całej gospodarki i dla każdego obywatela, z błyskawiczną dewaluacją wartości naszych oszczędności włącznie. Rozpoczęłaby się ucieczka inwestorów – która zresztą trwa już teraz, przy czym obecnie główną przyczyną są rosnące koszty pracy i energii. Prawdopodobnie duża część Polaków – ci, którzy mieliby środki i możliwości – błyskawicznie postanowiłaby uciekać z kraju. Kwestia malejącej motywacji obywateli, również tych o konserwatywnych poglądach, do obrony Polski szczególnie w tym konflikcie, gdzie sami ustawiamy się na pierwszej linii, to zresztą temat na osobne rozważania.

Najważniejszym animatorem spekulacji o wysłaniu wojsk państwa NATO na Ukrainę jest prezydent Francji Emmanuel Macron, a polski rząd wydaje się ich chętnym rezonatorem. Niewiele ponad miesiąc temu w wywiadzie dla trzech lewicowych gazet – „Gazety Wyborczej", hiszpańskiego „El Pais" oraz włoskiej „La Reppublica" – minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, pytany o tę kwestię, odparł: „Nie powinniśmy wykluczać żadnej opcji. Niech Putin zgaduje, co zrobimy".

Poproszony o komentarz Paweł Wroński, rzecznik MSZ, stwierdził: „Pan minister powtarza wielokrotnie, że my nie wysyłamy wojsk na Ukrainę, natomiast nie można wykluczyć takiej sytuacji w przyszłości, bo nie wiemy, jak się tam sytuacja potoczy". Niczego to oczywiście nie wyjaśnia ani nie precyzuje.

Taka opcja ma jednak wśród Polaków śladowe poparcie. W najnowszym wydaniu cyklicznego badania stosunku do migrantów oraz uchodźców z Ukrainy, prowadzonego przez zespół dr. Roberta Staniszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, zapytano, czy poza dotychczas podejmowanymi działaniami Polska powinna udzielić sąsiadowi ze wschodu jakiegoś dodatkowego wsparcia. „Zdecydowanie nie" i „raczej nie" odpowiedziało w sumie 61 proc., „nie wiem" – 14 proc., a „zdecydowanie tak" i „raczej tak" – zaledwie 26 proc. (w kwietniu/maju 2022 r. było to w sumie 51 proc.). Wśród opowiadających się za dodatkowym wsparciem najwięcej osób wskazało na wsparcie materialne – 62 proc. – i humanitarne – 61 proc. Na opcję wsparcia poprzez wysłanie Wojska Polskiego na Ukrainę wskazało najmniej – zaledwie 14 proc. badanych. Ten wskaźnik nie zmienił się od pierwszych badań – jego największa wartość wynosiła raptem 17 proc.

W co gra francuski prezydent Emmanuel Macron, wciąż wskazując na możliwość wysłania zachodnich żołnierzy na Ukrainę? Najbardziej prawdopodobne wydają się trzy motywacje, które mogą zachodzić łącznie. Pierwsza to motywacja europejska. Wobec



eprasa.pl 669016c73d

prawdopodobieństwa wygranej Donalda Trumpa w listopadowych wyborach prezydenckich w USA (w zagregowanych sondażach republikański kandydat ma obecnie minimalną przewagę na poziomie jednego punktu) Macron chce forsować wizję autonomii strategicznej Unii Europejskiej. Wojna na Ukrainie jest świetną ku temu okazją. Mówiąc w skrócie – skoro Trump mówi o ograniczeniu pomocy dla Ukrainy i o konieczności zakończenia wojny, to Europa musi sama zadbać o swoje bezpieczeństwo. Prowojenne pohukiwania są częścią tej strategii, sprzyjając też dążeniu do ściślejszej integracji. Macron realizuje w ten sposób strategię dominacji swojego kraju i stawia go na czele europejskiej krucjaty.

Druga przyczyna to francuski przemysł obronny, dla którego wojna na Ukrainie jest okazją równie wielką co dla przemysłu amerykańskiego. Prowojenna atmosfera oraz przeświadczenie o nieuchronnym rosyjskim ataku sprzyjają szybkim i mniej przemyślanym zakupom zbrojeniowym, na czym Francuzi mogą zarobić.

Trzecia przyczyna to wewnętrzna francuska polityka. Pozycjonując się jako niezłomny sojusznik Ukrainy i wróg Władimira Putina, Emmanuel Macron liczył na postawienie w trudnej sytuacji swojej największej rywalki, Marine Le Pen. To nie całkiem mu się udało – w wyborach do Parlamentu Europejskiego Zjednoczenie Narodowe zdobyło aż 30 mandatów, podczas gdy sojusz, któremu przewodzi Odrodzenie – partia Macrona – jedynie 13. Marine Le Pen zaczęła zresztą schodzić z „rosyjskiej" linii strzału swojego rywala – Zjednoczeniu Narodowemu coraz trudniej przypiąć łatkę ugrupowania prorosyjskiego (co w Polsce nadal próbują robić politycy koalicji rządzącej, oczywiście w celu przedstawienia w takim świetle PiS). Jednym z elementów takiej taktyki było pozbycie się niedługo przed wyborami do PE z grupy Tożsamość i Demokracja (ID) – w której członkowie Zjednoczenia Narodowego są najliczniejszym ugrupowaniem – niemieckiej AfD. Pretekstem była wypowiedź jednego z kandydatów tej partii, Maximiliana Kraha, który stwierdził, że nie wszystkich członków Waffen-SS (nie mylić z SS) należy traktować a priori jako zbrodniarzy. Krah do PE się dostał, ale został przez AfD wyrzucony. W ten sposób reprezentacja tego ugrupowania zmalała z 16 do 15 osób. Niemcy chcieliby teraz powrotu do grupy ID, jednak jest to mało prawdopodobne przed zakończeniem wyborów we Francji. Interes Le Pen jest ważniejszy.

**Nastawienie Europy do wojny i wspieranie jej kontynuacji zależy w dużej mierze od głosowania we Francji**

Wynik głosowania we Francji spowodował, że francuski prezydent postanowił ogłosić przyspieszone wybory, które odbędą się 30 czerwca i 7 lipca (ze względu na ordynację we Francji wybory do Zgromadzenia Narodowego są dwuturowe). Można założyć, że jednym z istotnych wątków kampanii – trochę na podobieństwo Polski – będzie w nich próba przedstawiania partii pani Le Pen jako ugrupowania sprzyjającego Moskwie. Prowojenna postawa Macrona jest tu ważnym instrumentem.

## POLSKA REALIZUJE PLAN BIDENA?

Nastawienie Europy do wojny i wspieranie jej kontynuacji – co jest również w interesie obecnej amerykańskiej administracji – zależy w dużej mierze od wyników francuskiego głosowania. W tej chwili w większości sondaży Zjednoczenie Narodowe jest zdecydowanie na prowadzeniu, mając od 26 do nawet 35 proc. wskazań. Sojusz, którego członkiem jest Odrodzenie, macierzysta partia pana Macrona, wybiera od 18 do 27 proc., a sojusz czterech partii lewicowych – od 22 do 28 proc. Ciekawa jest sytuacja Republikanów – postgaullistowskiej partii, kierowanej przez Érica Ciottiego. Jego własne ugrupowanie postanowiło go wyrzucić po tym, jak ogłosił przedwyborczy sojusz ze Zjednoczeniem Narodowym, nie jest jednak jasne, czy ta decyzja ma moc. Republikanie zyskują w sondażach od 7 do 10 proc. Pozostałe siły mają znacznie mniejsze poparcie.

Komentując wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego, premier Węgier Viktor Orbán zwrócił uwagę, że choć ogólnie w Europie wygrały lub wzmocniły się siły, które skłonne są uwzględniać pokojowy wariant zakończenia lub przynajmniej zamrożenia ukraińsko-rosyjskiego konfliktu, to w Polsce najwięcej głosów zdobyły dwa ugrupowania prowojenne. Orbán miał rację – przynajmniej na poziomie retoryki zarówno Koalicja Obywatelska, jak i PiS opowiadają się za kontynuacją wojny, a za jedyną możliwość jej zakończenia uznają wariant nieprawdopodobny – całkowite wycofanie się Rosjan z zajętych terytoriów.

To również realizacja planu administracji Joe Bidena, która – po ponad dwóch latach konfliktu widać to jak na dłoni – uważa wojnę na Ukrainie za klasyczny konflikt zastępczy, w ramach którego Waszyngton może systematycznie osłabiać swojego rywala, Rosję, przy okazji zarabiając ogromne pieniądze na zbrojeniach. W tym kontekście interesująca jest informacja o powołaniu w polskim MSZ Ukraińskiej Grupy Łączności, inicjatywy firmowanej przez Departament Stanu. Jej zadaniem ma być „wspieranie niepodległości, suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy poprzez wspólną walkę z dezinformacją", czyli – przekładając na polski – robienie proukraińskiej propagandy. W projekt zaangażowane jest Global Engagement Center – komórka Departamentu Stanu, we własnym kraju wielokrotnie oskarżana o próby wprowadzania cenzury i walkę z niezależnym przekazem.

Czy to wszystko oznacza, że Polska jest w tej chwili intensywnie popychana do wejścia do wojny? Tezę można sformułować inaczej: Polska nigdy nie przestała być do tego popychana. To oczywiście nie znaczy, że tak się stanie. Może to jednak nastąpić nawet przypadkiem, w wyniku splotu niekorzystnych okoliczności i wydarzeń losowych. W tej chwili łączą się dwie podobne tendencje: amerykańska do podtrzymania konfliktu i francuska do jego zdyskontowania na polityczne potrzeby Emmanuela Macrona (tu w grę wchodzi również jego osobista ambicja, aby stać się drugim de Gaulle'em). Polska nie była w tej sprawie samodzielnym graczem za poprzedniego rządu i nie jest nim teraz.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

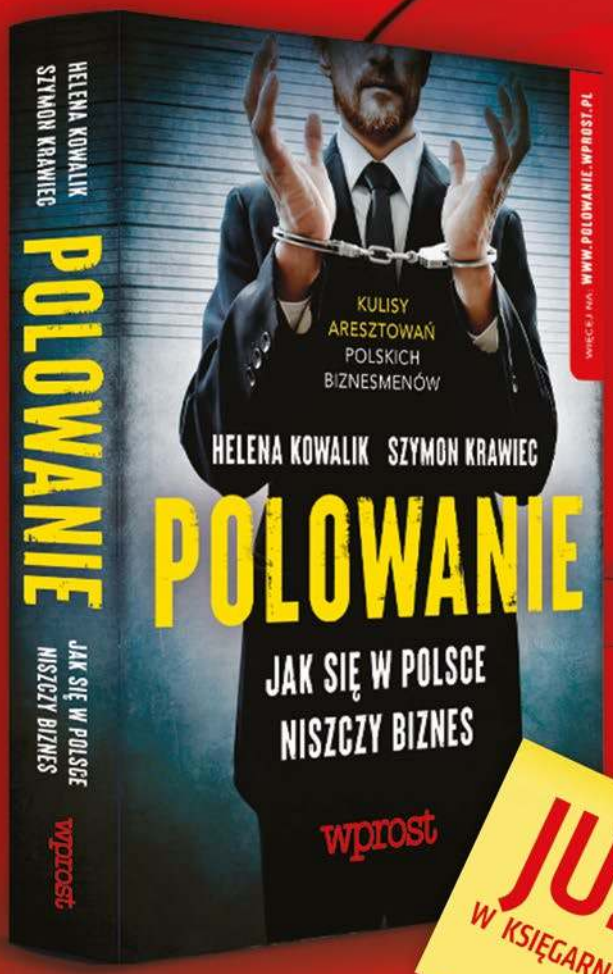


KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

**KSIAZKA.WPROST.PL**

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 669016c73d

# Lewica (prawie) dla nikogo

*Piotr Semka*

**Lewica kojarzy się dzisiaj z wydelikaconymi dziećmi rodziców z establishmentu, troszczącymi się bardziej o mieszkańców Gazy niż o polskich emerytów, którym niedługo Tusk może obciąć dotacje. To rozchodzenie się odczuć zwykłych ludzi i lewicy wzmocni jeszcze ewentualny napływ uchodźców z krajów Trzeciego Świata**

Wynik 6,3 proc. w wyborach do europarlamentu to kolejny, już nie wiadomo który, dzwonek ostrzegawczy zanurzania się polskiej Lewicy pod taflę mętnych wód naszej polityki. Formalnie jak zwykle powtórzył się stary scenariusz. Liderzy lewicowych ugrupowań uderzyli się w piersi, zadeklarowali, że są gotowi ustąpić, ale gdy po paru dniach osłabło wrażenie szoku – znów przypominają, że do kongresu ich partii jest jeszcze trochę czasu i dopiero wtedy może dojść do rozliczeń. Ale ci z publicystów sprzyjających lewej stronie, którzy nie chcą się samooszukiwać, formułują różne pomysły na to, co robić dalej. To ciekawa lektura i skłaniająca do rozważań o przyszłości obozu progresywnego w Polsce.

## STACZANIE SIĘ

Wyobraźmy sobie wehikuł czasu, którym udajemy się w podróż po ostatnim ćwierćwieczu. Na początku rok 2001. SLD w wyborach do Sejmu zdobywa pierwszą lokatę z wynikiem 41,04 proc. i elektoratem 5 342 519 wyborców. A teraz przenosimy się do 2007 r. Komitet Lewica i Demokraci zdobywa 13,15 proc., czyli uzyskuje zaufanie 2 122 981 uczestników elekcji. A teraz przenosimy się do roku 2015. Lewica się dzieli na obóz dawnego SLD, czyli Zjednoczonej Lewicy, i rywalizuje z nią debiutująca Partia Razem Adriana Zandberga. Blok starych komuchów zdobywa 7,55 proc. i nie wchodzi do Sejmu (nie przekracza ośmioprocentowego progu dla koalicji). Z kolei Razem Adriana Zandberga ze swym wynikiem 3,62 proc. nie przekracza pięcioprocentowego progu dla pojedynczych partii. W rezultacie lewicy nie ma w Sejmie przez kolejne cztery lata. Gdy w 2019 r. wraca na salę sejmową – przepustką do tego jest wynik 12,56 proc. z elektoratem 2 319 946 wyborców. A teraz porównajmy to z wynikiem połączonej Lewicy w wyborach 9 czerwca br. do europarlamentu. 6,3 proc., czyli 741 071 osób, które zaufały lewicowym ideom.

Pisarz Ziemowit Szczerek na łamach „GW" pisze: „Dlaczego Lewica ma kilka procent? Bo zajmuje się jakością kotletów sojowych i winem dla kobiet w ciąży".

To oczywiście styl pisarza, który nie stroni od satyrycznej przesady. O wiele ciekawszy był tekst „Anatomia klęski: dlaczego Lewica została zdemolowana w wyborach?" autorstwa Jakuba Majmurka na łamach „Krytyki Politycznej". Majmurek pisze, że wybory do europarlamentu „to kolejne, w których lewicowa koalicja traci – od wyborów w 2019 r., w których wróciła do Sejmu, straciła już prawie połowę procentowego poparcia".

Jak wskazuje autor – od 2019 r. narasta problem z „wyspowością" poparcia Lewicy. Zasadniczo obóz ten niemal



eprasa.pl 669016c73d

Konwencja programowa Lewicy pod hasłem „Europa Dla Ciebie", Warszawa, 19 maja 2024 r.
FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

ostatecznie utracił już wschód Polski. „W 2023 r. z trzech województw wschodnich Lewica wprowadziła dosłownie jednego posła. W okręgu obejmującym województwo podlaskie oraz w dwóch okręgach województwa podkarpackiego (krośnieńskim i rzeszowskim) nie przekroczyła progu 5 proc.".

Dodatkowym zjawiskiem jest niezdolność Lewicy do przebicia progu wyboru w tych województwach, w których jeszcze w październiku 2023 r. miała zagwarantowane pewne mandaty – jak w śląskim czy kujawsko-pomorskim. Prysł mit o Zagłębiu Dąbrowskim jako mateczniku lewych sił. W ostatnich wyborach głosy z Sosnowca czy Dąbrowy Górniczej nie przyczyniły się do zdobycia przez Lewicę miejsca poselskiego w województwie śląskim.

Ciekawe są też obserwacje Majmurka na temat rosnącej elitarności wyborców Lewicy.

**Od 2019 r. narasta problem z „wyspowością" poparcia Lewicy. Zasadniczo obóz ten niemal ostatecznie utracił już wschód Polski**

„Jedynym okręgiem, gdzie Lewica w wyborach europejskich zrobiła dwucyfrowy wynik, był jedyny okręg wielkomiejski, Warszawa, gdzie koalicja zdobyła 10,41 proc. głosów. Wybory europejskie potwierdzają wielkomiejski charakter Lewicy, barierę 10 proc. udało się jej przebić we wszystkich miastach powyżej 500 tys. mieszkańców. I to właśnie taka wielkość miasta wydaje się dla niej w tych wyborach granicą przyzwoitego poparcia, poza takimi wyjątkami jak Szczecin czy Jelenia Góra, nie jest w stanie zdobyć gdziekolwiek indziej większego poparcia niż jednocyfrowe. Niestety, miast powyżej 500 tys. mieszkańców jest w Polsce dokładnie pięć. I trudno budować stabilną pozycję polityczną, gdy nie radzi się sobie poza ich granicami [...]".

Jakub Majmurek dosyć bezlitośnie rozlicza się też z dominującym w ostatniej dekadzie przekonaniem, że niepopularność Lewicy to wynik zdominowania jej przez dinozaury z dawnej PZPR. Nawiązując do porażki numeru jeden w województwie śląskim, Macieja Koniecznego z Razem, Majmurek bezlitośnie puentuje: „Klęska Koniecznego w śląskim kończy [...] popularną na części Lewicy po wyborach z października opowieść, że Lewica Razem radzi sobie lepiej niż nowa Lewica, lepiej rozumie potrzeby wyborców, robi lepsze kampanie i przy nieporównanie mniejszych zasobach jest w stanie dowieźć pożądane wyniki". Podsumowując, publicysta stawia diagnozę: „Dobrze, że Lewica ma (w starszym pokoleniu) elektorat, problem polega na tym, że on będzie się kurczył, a tymczasem młody elektorat, jaki udało się jeszcze nieźle zmobilizować w październiku 2023 r., mimo ogólnie progresywnych poglądów – wcale nie musi zdyscyplinowanie głosować na nią w następnych wyborach".

## KŁOPOTY? NO TO TRZEBA JESZCZE MOCNIEJ!

Cytowany powyżej Jakub Majmurek to 41-latek i można utożsamiać go z pokoleniem partii Razem 44-latka Adriana Zandberga. W zupełnie innym nastroju utrzymana jest powyborcza analiza innego publicysty „Krytyki Politycznej" Łukasza Łacheckiego (36 lat). Już sam tytuł zapowiada nastrój bezlitosnych rozliczeń: „Sztandar Lewicy Razem wyprowadzić. Ale na serio". Łachecki jako antidotum na porażkę proponuje jeszcze więcej radykalizmu. Głosi, że nie interesują go „obietnice wyciągnięcia wniosków, wezwania do ciężkiej pracy". Wskazuje, że ma dosyć zarówno Czarzastego, jak i Zandberga.

„Słynne »nowe otwarcie«, czyli recepta starszyzny polskiej lewicy na każdą wyborczą klęskę, to już niestety zbyt mało, żeby rozpalić ogień w sercach młodych socjalistów. Liderzy Razem mają ponad 40 lat, w polityce parlamentarnej są od dekady i nie udało im się ugrać zupełnie nic".

W opiniach Łacheckiego jest sporo racji, tyle że natychmiast przechodzi on do snucia dramatycznych wizji przypominających gorączkę umysłową Lewicy w latach 30. zeszłego wieku. „Każdy, kto ma poglądy bardziej prospołeczne niż umiłowany przez Polaków centryzm i prawdopośrodkizm – obecnie dość powoli, lecz konsekwentnie i zgodnie z europejskimi trendami dryfujący w stronę miłego Rosji katoendeckiego faszyzmu – musi zdawać sobie sprawę, że pilnie potrzebujemy lewicowych partii znacznie radykalniejszych niż Platforma light".

Z kogo chce Łukasz Łachecki tworzyć tę alternatywę dla Czarzastego i Zandberga? Publicysta wspomina o anarchistach, syndykalistach, marksistach i piketty-stach – to ostatnie określenie stworzył od nazwiska francuskiego ekonomisty lewicowego Thomasa Piketty'ego. Pierwsze jaskółki nowej rewolucyjnej lewicy widzi w studentach walczących o prawa do akademików i w związkowcach. Co więcej – twierdzi, że owi nowi radykałowie powinni zostać usłyszani w przestrzeni lewicowej jako „nieidący na kompromisy z wyśmiewanymi przez siebie konformistami, lipkami czy Kościołem, przed którym trzęsie się ze strachu cały Sejm".

Jak można podejrzewać, jutrzenką nadziei dla publicystów typu Łukasza Łacheckiego może być niedawny protest solidarnościowy z Palestyńczykami z Gazy na terenie Uniwersytetu Warszawskiego. Młodzi kontestatorzy najpierw ustalili z rektorem, że stworzą miasteczko namiotowe na jednym z trawników campusu głównego UW, ale potem złamali te ustalenia.



eprasa.pl 669016c73d

Samowolnie obsadzili bramy wjazdowe do Uniwersytetu, a następnie zaczęli blokadę Pałacu Kazimierzowskiego, w którym znajduje się rektorat uczelni. Sytuację musiała opanować policja.

W specjalnym oświadczeniu pracownicy rektoratu tak opisali to, co przeżyli: „My, pracownicy Pałacu Kazimierzowskiego, będący 12 czerwca bezpośrednimi świadkami agresji protestujących, a nawet zakładnikami i ofiarami ich fizycznej i słownej napaści na nas, wyrażamy pełne poparcie dla działań przywracających porządek na Uniwersytecie Warszawskim. Do tej pory uniwersytet był miejscem przyjaznym, bezpiecznym, był po prostu dobrym miejscem pracy [...]. Strach, przerażenie, obawa, łzy, pytania o to, co się jeszcze może stać i kiedy w końcu nas wypuszczą, my to przeżyliśmy i dziś wyrażamy zdziwienie, że ktokolwiek może usprawiedliwiać zachowania agresywne". To oświadczenie nie zainteresowało specjalnie mediów. Wiele z nich oburza się za to tym, że rektor UW wezwał na teren uniwersytetu policjantów.

Jest w marzeniach Łacheckiego o pojawieniu się radykalnej lewicy coś z myślenia ideologów rewolty 1968 r. Tyle że tamten wybuch, gdy już wygasł, wyłonił z siebie sfrustrowaną kastę, która z czasem sięgnęła po terror zbrojny. Czerwone Brygady czy grupa Baader Meinhof to właśnie efekt tamtego rozgoryczenia nieudolnością politycznej lewicy. Publicysta „Krytyki Politycznej" wydaje się nie zastanawiać nad tym, czy nie przyczynia się do wypuszczenia z lewicowej butelki bardzo niebezpiecznych dżinów.

## BIEDRONIOWA RODZINA NA SWOIM

Lewica dla nikogo? Prawie dla nikogo. Niektórzy nie narzekają. Miarą frustracji na lewicy po niedawnej porażce w eurowyborach jest pęknięcie tabu wokół Roberta Biedronia i jego partnera Krzysztofa Śmiszka. W swoim internetowym programie Tomasz Lis otwarcie kpi, że Lewica to dziś najbardziej prorodzinna partia w Polsce, bo wprowadziła całą rodzinę (Biedroń – Śmiszek) do europarlamentu. Z kolei wywiadowany przez Lisa Łukasz Kohut, który przed wyborami uciekł z tonącej lewicowej łodzi na pokład listy Koalicji Obywatelskiej, wprost mówi, że czuł się w Nowej Lewicy szykanowany przez Biedronia. Wyraźnie deklaruje, że przyczyną tej niechęci było to, że jako kandydat ówczesnej Wiosny w 2018 r. zrobił lepszy wynik niż partner Biedronia Krzysztof Śmiszek w okręgu dolnośląskim. W związku z tym Biedroń miał się obawiać że siła głosów Kohuta w okręgu śląskim może spowodować, iż jego partner nie dostanie się do Brukseli. Czy to spiskowa teoria, nawiązująca do stawiania wyżej osobistych uczuć wobec interesów partii, podszyta jest homofobicznymi uprzedzeniami? Chyba nie, skoro sama Dominika Wielowieyska na łamach „Gazety Wyborczej" cytuje wypowiedzi, że Biedroń tak ustawił listy wyborcze Lewicy, by szanse na wyjazd do Brukseli mieli tylko on, jego partner i Joanna Scheuring-Wielgus.

Co ciekawe jednak, przed samymi wyborami nikt w obozie Lewicy nie miał odwagi, by na głos zaprotestować przeciwko polityce Biedronia. Nikt nie odważył się powiedzieć na głos, że obecność dwóch osób pozostających w bliskim związku na jedynkach wyborczych to polityczny nepotyzm. Za swą bojaźliwość politycy płacą dziś poczuciem wystawienia do wiatru.

**Dla lewicowców mających jeszcze jakieś atuty fachowe wybór Platformy to akces do realnej siły politycznej, która w ich opinii będzie wpływowa jeszcze długi czas**

Jeden z twitterowiczów, Mirek Lewandowski, pisze z brutalną szczerością: „Wychodzi na to, że Lewica ze swoich pieniędzy sfinansowała kochankom nowy pięcioletni pobyt w Brukseli, dostatnie życie, wysoką emeryturę. W żadnej innej, tradycyjnej partii sytuacja, w której na jedynkach w okręgach biorących wystawiono by kandydatury małżonków czy konkubentów, byłaby nie do pomyślenia [...]. A lewica na takie cwaniactwo nie może nawet pisnąć, aby nikt nie oskarżył ich o homofobię".

## OSTATNI GASI ŚWIATŁO

Coraz częstsze są przypadki przesuwania się dawnych ideowych lewicowców do obozu Platformy jako pewnego portu. To casus wspomnianego już Łukasza Kohuta, a także przypadek Przemysława Szubartowicza, który niegdyś był pryncypialnym heroldem lewicy w dzienniku „Trybuna", a dziś jest medialnym obrońcą Tuska.

Dla lewicowców mających jeszcze jakieś atuty fachowe wybór Platformy to akces do realnej siły politycznej, która w ich opinii będzie wpływowa jeszcze długi czas. Trudno co bardziej bystrym politykom z lewicowego obozu nie zauważać takich tytułów jak ten z „Gazety Wyborczej": „Tusk skorzysta z okazji. Wpływy koalicjantów w spółkach Skarbu Państwa zostaną mocno ograniczone".

Ilu aparatczyków zagrożonych redukcją z państwowych posad odepchnie od siebie zagrożenie poprzez zapukanie do drzwi kolegów z PO? Co ma ich przed tym powstrzymać? Lojalność wobec tonącej jak „Titanic" Lewicy czy może osobista sympatia do Włodzimierza Czarzastego?

To bardzo charakterystyczne, że Sławomir Sierakowski, niegdysiejszy guru Nowej Lewicy, dziś pojawia się już stosunkowo rzadko na łamach „Krytyki Politycznej", którą sam wykreował.

Elektorat socjalny przejął PiS, a lewica kojarzy się dzisiaj z wydelikaconymi dziećmi rodziców z establishmentu troszczącymi się bardziej o mieszkańców Gazy niż o polskich emerytów, którym niedługo Tusk może obciąć dotacje. To rozchodzenie się odczuć zwykłych ludzi i Lewicy wzmocni jeszcze ewentualny napływ uchodźców z krajów Trzeciego Świata. Barbara Nowacka czy Magdalena Biejat, żyjące same w bezpiecznych i dobrych dzielnicach, zapewne będą pouczać ludzi z Nowogardu, Rudy Śląskiej czy Złotoryi, że muszą nauczyć się akceptować inność przybyszów z Afganistanu czy Somalii. Ludzi, którzy mogą zacząć w coraz większej liczbie pojawiać się na ulicach polskich miast. I dopiero wtedy Lewica zdziwi się, jak bardzo ich ukochany lud nie jest w stanie zrozumieć jej światłych idei. Co wtedy pozostanie? Zrewoltowane uczelnie, które wyłonią młodych lewicowych liderów ze skłonnością do rosnącego radykalizmu. Ponura wizja? Być może, ale całkiem realna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Konfederacja. Trzecia siła w Polsce

*Jan Fiedorczuk*

**Po eurowyborach Konfederacja wyrosła na trzecią siłę polityczną w Polsce. Czy sojusz narodowców i liberałów może niedługo współrządzić państwem? Czy jest do tego w ogóle zdolny?**

Konfederacja wyszła z wyborów do europarlamentu na tyle wzmocniona, że jej politycy powinni powoli zacząć myśleć o współrządzeniu krajem, gdyż w perspektywie kolejnych kilku lat jest to już całkiem realny scenariusz. Czy jednak ugrupowanie złożone z trzech oddzielnych bytów, wstrząsane co chwila kolejnymi kontrowersjami i nieustannie doświadczające zmian personalnych, będzie w stanie wziąć na swe barki odpowiedzialność za losy państwa? I czy będzie potrafiło utrzymać tak wysokie poparcie przez kolejne lata aż do wyborów w 2027 r.? Historia konfederatów dowodzi, że może być z tym poważny problem.

## NA POCZĄTKU BYŁ CHAOS

Skoro już mowa o historii Konfederacji, to sięga ona roku 2019, gdy doszło do zawiązania sojuszu liberałów Janusza Korwin-Mikkego oraz narodowców Krzysztofa Bosaka i Roberta Winnickiego. Obie formacje w teorii różniło wszystko. Z jednej strony korwiniści, którzy określali się mianem „konserwatywnych liberałów", ale w rzeczywistości odbijali się od darwinizmu społecznego do libertarianizmu; z drugiej strony polscy nacjonaliści, epigoni dawnej endecji, których medialny obraz zdawał się mieć więcej wspólnego z przedwojennym ONR niż profesorską „starą" Narodową Demokracją. Na polu idei dzieliło ich zatem niemal wszystko, łączyło tylko i aż jedno – poczucie wykluczenia przez mainstream III RP. Obie formacje rosły więc na tej antysystemowej emocji.

Przełomem okazały się wybory do Parlamentu Europejskiego w 2019 r., gdy obie partie postanowiły połączyć siły. W skład nowo powołanego komitetu wyborczego weszło wiele znanych postaci utożsamianych czy to z prawicą, czy też z szeroko rozumianym antysystemem. Mieliśmy tam zatem monarchistę Grzegorza Brauna, antyaborcyjną aktywistkę Kaję Godek czy posłów Marka Jakubiaka oraz Piotra Liroya-Marca. Ostatecznie Konfederacja nie przekroczyła progu wyborczego i musiała zmierzyć się z pierwszym kryzysem, gdy jej szeregi opuścili wspomniani Godek, Jakubiak i Liroy-Marzec.

Ugrupowanie nie tylko jednak przetrwało, lecz także w lipcu 2019 r. zostało zarejestrowane jako partia polityczna, a jesienią przekroczyło próg wyborczy, wprowadzając 11 posłów. W partii wyklarowały się trzy filary – narodowców, korwinistów oraz Konfederacji Korony Polskiej (partii Grzegorza Brauna). Ten trójpodział, mimo wewnętrznych tarć, o których okazjonalnie mogliśmy usłyszeć, okazał się zadziwiająco stabilny. Wszystkie trzy odnogi współpracowały w świetle kamer, jednocześnie po cichu ze sobą rywalizując o wpływy.

Kolejnym ważnym etapem w historii formacji były prawybory prezydenckie w 2020 r., gdy to sami zwolennicy Konfederacji wybierali kandydata. To wówczas oczywiste się stało, że czas Janusza Korwin-Mikkego przeminął. Nestor polskich wolnościowców został zdystansowany nie tylko przez Grzegorza Brauna i Krzysztofa Bosaka, lecz także polityków własnego ugrupowania – Konrada Berkowicza oraz Artura Dziambora. Kandydatem ugrupowania został Bosak, który w pierwszej turze wyborów uzyskał 6,78 proc. głosów – wynik, który nie windował Konfederacji do pierwszej ligi polskiej polityki, a także nie przynosił jej wstydu. Zachowano status quo z wyborów do Sejmu.

Jak relacjonował mi przed laty jeden z działaczy Konfederacji, podczas któregoś z pierwszych spotkań liderów, gdy sojusz dopiero nabierał kształtów, uzgodniono ponoć wstępnie program negatywny, czyli zbiór tego, z czym nowa partia planuje walczyć: Unia Europejska, masowa imigracja, rewolucja LGBT, aborcja, dechrystianizacja Polski, a także gospodarcza demagogia i fiskalizm spod znaku PiS. W perspektywie lat widać, że to właśnie ten ostatni punkt zdominował przekaz ugrupowania, co niewątpliwie należy uznać za ideowy sukces korwinistów. W trakcie kampanii prezydenckiej Bosak był de facto jedynym politykiem, który podnosił stricte wolnorynkowe postulaty, co ewidentnie odróżniało go od kandydatów pozostałych partii.

Kluczowy moment miał miejsce dwa lata później, gdy to Korwin-Mikke dobrowolnie zrezygnował z przewodzenia partii KORWiN, a jej szefem został młody, popularny i niezwykle ambitny



eprasa.pl 669016c73d

Sławomir Mentzen. Ugrupowanie zmieniło nazwę na Nowa Nadzieja, a świeżo upieczony prezes zaczął zaprowadzać nowe porządki. Sojusz z narodowcami przetrwał, jednak po kilku miesiącach z partii odeszło trzech znanych posłów – Dobromir Sośnierz, Artur Dziambor oraz Jakub Kulesza. Po jakimś czasie ten pierwszy wrócił do Mentzena, drugi poszedł do Polski 2050, a trzeci zrezygnował z polityki.

Prawdziwy wstrząs miał jednak dopiero nadejść. W 2023 r. Konfederacja uzyskała ponad 7 proc. poparcia, co pozwoliło jej wprowadzić 18 posłów, ale ostatecznie było rozczarowującym wynikiem, biorąc pod uwagę, że sondaże zapowiadały znacznie lepszy rezultat (niektóre dawały nadzieję nawet na 50 mandatów). Do Sejmu nie dostał się jednak sam Janusz Korwin-Mikke. Niedługo później wybuchł spór byłego lidera z jego następcą. Koniec końców Mentzen nie wahał się pożegnać z dawnym mentorem i tak oto sam Korwin-Mikke znalazł się poza Konfederacją. Nestor polskiego ruchu wolnościowego próbował jeszcze startu w wyborach samorządowych oraz do europarlamentu, jednak obie próby zakończyły się porażką.

Wieczór wyborczy Konfederacji po ostatnich eurowyborach
FOT. MICHAŁ ŻEBROWSKI/EAST NEWS

## BRAUN SUPERSTAR

Wielu obserwatorów upatruje źródeł tego konfliktu w postaci Przemysława Wiplera – byłego posła PiS oraz partii KORWiN. Wipler dołączył do Mentzena tuż przed wyborami oraz – jak twierdzą ludzie ze środowiska Konfederacji – zaczął naciskać na „normalizację" partii, czyli skierowanie jej w stronę centrum i stworzenie z niej technokratycznego, liberalnego ugrupowania, takiej nowszej, nieco bardziej konserwatywnej Platformy Obywatelskiej. Janusz Korwin-Mikke ze swymi głośnymi wypowiedziami o kobietach, pedofilii czy wojnie na Ukrainie, a także twardym ideowym kośćcu nie pasował do takiej partii. Ta „centrowa" frakcja Konfederacji właśnie Korwin-Mikkego oskarżała o słaby wynik wyborczy.

Z tych samych przyczyn Mentzenowi ma być nie po drodze z Grzegorzem Braunem, który zaraz po Januszu Korwin-Mikkem uchodzi za najbardziej kontrowersyjną i wyrazistą postać w Konfederacji. Dość przypomnieć incydent sprzed kilku miesięcy, gdy lider Korony biegał po Sejmie z gaśnicą, gasząc świece chanukowe.

Gdy parę lat temu pytałem „prawe" skrzydło ugrupowania, czy Braun rozprawiający o „batożeniu homoseksualistów" nie jest obciążeniem i jak narodowcy reagują na głosy niezadowolenia płynące ze strony liberalnej frakcji, jeden z liderów Konfederacji powiedział o wolnościowcach: „Biorąc pod uwagę, że ich szefem jest Korwin-Mikke, to nie powinni narzekać na temat kontrowersji". Najwyraźniej sam Mentzen wyszedł z podobnego założenia i postanowił zrezygnować z kłopotliwego mentora.

To właśnie grupa liberałów wydaje się najbardziej konfliktogenną frakcją, która konkuruje nie tylko z narodowcami o przywództwo w Konfederacji i która miała wejść w spór z Grzegorzem Braunem. Przed wyborami do europarlamentu wszystkie odnogi zawarły cichy pakt o nieagresji, jednak – jak słyszymy – teraz sprawa ma powrócić z całą mocą. Sam Braun w wyborach uzyskał rewelacyjny wynik (ponad 100 tys. głosów, najwięcej w całej Konfederacji), co jedynie potwierdza, że jego pozbycie się będzie o wiele trudniejsze niż w przypadku Korwin-Mikkego.

Z takimi osobami jak Korwin-Mikke czy Braun nie sposób budować centrowej, liberalnej partii. Pytanie jednak, czy da się ją budować z nacjonalistami? Tego ma obawiać się frakcja Bosaka i dlatego ponoć narodowcy sprzeciwiają się wyrzucaniu środowiska Korony. Skoro wczoraj Mentzen mógł się pozbyć Korwin-Mikkego, a dzisiaj zabiera się za Brauna, to nic nie stoi na przeszkodzie, by w przyszłości ich samych czekał podobny los.

## WZROST POPULARNOŚCI

Ostatnie wybory nie tylko dały Konfederacji sześciu europosłów, lecz także zaowocowały wieloma dywagacjami na temat przyszłości ugrupowania. Obecnie partia cieszy się poparciem na poziomie 12 proc., co tworzy z niej trzecią siłę na polskiej scenie politycznej, a zarazem predestynuje ją do roli koalicjanta w ewentualnym przyszłym rządzie. Czy


eprasa.pl 669016c73d

partii uda się jednak utrzymać obecną popularność? Przypomnijmy, że już w kampanii parlamentarnej z 2023 r. Konfederacja miała bardzo dobre sondaże, które mniej więcej pół roku przed wyborami dawały jej ok. 15 proc. poparcia. Ten peak przyszedł jednak zbyt wcześnie, ugrupowanie wystrzelało się ze swych najlepszych pomysłów i gdy nadeszła jesienna kampania, to partia tak naprawdę jechała już na oparach. Musi się zatem pojawić pytanie, czy teraz nie będzie powtórki z tej sytuacji. Zwłaszcza że konfederatów czeka praca na lata. Kolejne wybory parlamentarne czekają nas dopiero w 2027 r. i utrzymanie wysokiego poparcia przez ten czas będzie poważnym wyzwaniem.

**Pojawia się pytanie, czy bez trybu permanentnego buntu konfederaci są w ogóle w stanie funkcjonować**

Na korzyść Konfederacji świadczy, że jej dobry wynik był spowodowany nie tylko ogólnie dość niską frekwencją, lecz także zmianą profilu wyborcy. Otóż Konfederacja chyba po raz pierwszy w swej historii zaczęła przełamywać stereotyp, że jest partią wyłącznie młodych mężczyzn. Na formację zagłosowały kobiety (i to więcej niż na Lewicę – podkreślali z lubością konfederaci), robotnicy, a także osoby starsze. Do tego formacja zaczęła zyskiwać poparcie na ścianie wschodniej oraz w miasteczkach i na wsi. Świetny wynik uzyskała w okręgu lubelskim (ponad 15 proc.) oraz w okręgu obejmującym województwa małopolskie i świętokrzyskie. Do tej pory Konfederacja była w dużym stopniu partią miejską, jednak w ostatnich wyborach ewidentnie zaczął przepływać do niej również elektorat PiS (i to nawet w absolutnych bastionach pokroju gminy Godziszów, gdzie to partia Kaczyńskiego biła do tej pory absolutne rekordy). To dobra wiadomość dla samego ugrupowania, ale już niekoniecznie dla Mentzena, gdyż tym samym wzmacnia się pozycja narodowców i Brauna, a nie liberałów.

## PARTIA WIECZNEJ OPOZYCJI?

W 2019 r. Konfederacja uzyskała 6,8 proc. głosów. Rok później Krzysztof Bosak zdobył niemal dokładnie takie samo poparcie w wyborach prezydenckich. W kolejnych wyborach parlamentarnych partia miała 7 proc., a następnie powtórzyła ten wynik w wyborach samorządowych (do sejmików). Wydaje się zatem, że 12 proc. uzyskane w czerwcu było w znacznej mierze wynikiem specyfiki samych eurowyborów, które sprzyjają wyrazistym ugrupowaniom eurosceptycznym. Te 6–7 proc. poparcia, które regularnie uzyskuje Konfederacja od lat, to najwyraźniej twarda baza partii, czyli jej ideowy, tożsamościowy elektorat. Wszystko, co udało się uzyskać ponad ten wynik, to już wyborcy napływowi i labilni, a zatem trudni do utrzymania na stałe.

Nawet jeżeli jednak Konfederacja do 2027 r. wytrwa z wysokim poparciem albo wręcz poszerzy swe wpływy, to nadal pozostaje fundamentalne pytanie, czy działacze tej partii są w ogóle zdolni do wejścia w koalicję i wzięcia na swe barki współodpowiedzialności za losy państwa. Konfederacja wyrosła na emocji antysystemowego buntu, głosząc hasło „PiS, PO – jedno zło". Obserwując już od lat kolejne metamorfozy korwinistów, postkorwinistów, narodowców i braunistów, trudno nie odnieść wrażenia, że jest to formacja cierpiąca na syndrom wiecznej opozycji. Pojawiła się pandemia COVID-19 – Konfederacja była w kontrze do wszystkich partii. Następnie sprawa KPO – Konfederacja znowu przeciwko. Wybuchła wojna na Ukrainie – Konfederacja kolejny raz poszła w poprzek politycznego mainstreamu. Pojawia się pytanie, czy bez trybu permanentnego buntu konfederaci są w ogóle w stanie funkcjonować. Wchodząc w koalicję z Tuskiem bądź Kaczyńskim, partia musiałaby się wyrzec swej antysystemowej tożsamości, musiałaby nie tylko partycypować w „systemie", lecz także być jego centrum. Jeżeli jednak konfederaci nie są do tego zdolni, to należy zadać pytanie, po co w ogóle są w Sejmie. W polityce partycypuje się, aby realizować swoje postulaty i zmieniać rzeczywistość, a nie w celu tkwienia w wiecznej opozycji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Powrót „króla”

FOT. FILIP NAUMENKO/REPORTER

*Rafał A. Ziemkiewicz*

**Ponieważ nowej władzy nic się nie udaje, ona sama i jej zwolennicy chcą chociaż wierzyć, że Donald Tusk jest mistrzem polityki europejskiej. Tak bardzo się mylą**

Prawdą jest, że Donald Tusk jest dzisiaj głównym architektem władz europejskich, ale nie tylko tego, kto będzie kim, ale również tego, jaka będzie agenda tego rządu europejskiego”. Miłośnik filmów Stanisława Barei, którym jest autor niniejszego tekstu, nie może się powstrzymać, by nie dodać: „To mówiłem ja, Nitras”. „Łubu-dubu, niech nam żyje premier naszego rządu”. Polityk jednak nie zaśpiewał. To błąd, bo z tej racji jego pochlebstwo może zostać przelicytowane.

Pean Nitrasa na cześć sprawczości Donalda Tuska, wygłoszony w Radiu Zet, jest bowiem tylko jednym z wielu podobnych, które zalały lewicowo-liberalne media. Tusk jest „najbardziej dziś podziwianym politykiem w Unii”, „niekwestionowanym współliderem Europejskiej Partii Ludowej”, „ważnym elementem w układance europejskiej”, „czynnikiem wzmacniającym Polskę”, „ogromnym wsparciem dla procesu pogłębienia integracji europejskiej” – zachwycają się jego kibice, z nabożną czcią cytując różne wypowiadane przez szefa PO w unijnych gremiach i mediach złote myśli oraz wskazania w stylu „Europa powinna…”, „należy zdecydowanie…”, „wspólna europejska sprawa wymaga wzięcia odpowiedzialności…” etc.

Jest to część procesu przyśpieszonego odklejania się władzy i jej ścisłego zaplecza od politycznych realiów, który nawet komentatorzy życzliwych koalicji rządzącej mediów (jak Grzegorz Sroczyński w Gazeta.pl czy Andrzej Stankiewicz w Onecie) nazwali „lewitowaniem PO”. Czteroprocentowa przewaga nad PiS w powyborczym exit poll wprawiła działaczy i zwolenników partii w taką euforię, że nie przyjęli tego do wiadomości, gdy okazało się, iż sondaż był grubo



eprasa.pl 669016c73d

przestrzelony i rzeczywiste rozmiary zwycięstwa są znacznie skromniejsze – 0,9 punktu procentowego – i na dodatek KO osiągnęła je kosztem koalicjantów, tak że gdyby podobny sukces odniosła w wyborach sejmowych, nie byłaby już w stanie stworzyć rządu.

## WSZYSCY NARZEKAJĄ

Przecenianie sukcesu, najdelikatniej to nazywając, tylko po części wynika z prostego mechanizmu psychologicznego „chciejstwa" i z tego, że na triumfalny okrzyk „wygraliśmy z PiS!" czekać musiały lewicowo-liberalne komitety i salony 10 lat. Nałożył się on bowiem na zupełnie realną potrzebę poradzenia sobie z niezadowoleniem z ośmiu miesięcy rządów Tuska. Wyborcy, którzy zagłosowali na Lewicę, czują się rozczarowani zarówno samą Lewicą, której działania okazały się podporządkowane nepotyzmowi pary Biedroń-Śmiszek i poza jej wypromowaniem całkowicie nieskuteczne, jak i całą koalicją, która odsunęła ich postulaty ideologiczne na święty nigdy.

Wyborcy, których do głosowania przeciwko PiS popchnął miraż miliardów euro z KPO i dobrobytu, który zapewni złożenie wiernopoddańczego hołdu Unii Europejskiej, ze zdziwieniem konstatują rosnące ceny energii i wszystkiego innego, obstrukcje wobec prorozwojowych, strategicznych projektów, narastanie imigracji oraz innych dotąd ograniczających się tylko do zachodu UE plag, powszechną nieudolność zarządzania – i z wolna uświadamiają sobie, że wybrali władzę zagrażającą temu, co jest dla nich najświętsze – ich materialnemu statusowi.

Narzekają też fanatyczni antypisowcy, których głównym oczekiwaniem była zemsta, mimo że i tak wśród wyborców „koalicji 13 grudnia" mogą się uważać za najbardziej dowartościowanych. Rzecz w tym, że rozliczenia niby trwają nieustannie, ale okazują się jakieś powierzchowne i rozczarowujące – TVP wprawdzie zniszczono, ale jej miejsce zajęła Republika; aresztowano Wąsika i Kamińskiego, upokarzając przy tym znienawidzonego prezydenta, ale zaraz ich trzeba było wypuścić; Bodnar niby się sroży, odwołuje, nominuje, ale jego działania tylko jątrzą i przewlekają konflikt w aparacie sprawiedliwości, tak że wydaje się on dziś jeszcze dalszy od rozwiązania niż w momencie utraty przez PiS władzy – z jednej strony coraz więcej życzliwych dotąd zmianom albo obojętnych wobec

**Wyborcy, których do głosowania przeciw PiS popchnął miraż miliardów z KPO i dobrobytu, uświadamiają sobie, że wybrali władzę zagrażającą temu, co jest dla nich najświętsze – ich materialnemu statusowi**

REKLAMA

eprasa.pl 669016c73d

nich prawników dołącza do oporu, głośno wyrażając opinię, że w doktrynie stosowania „prawa, tak jak my je rozumiemy", posuwa się Bodnar za daleko, z drugiej – najbardziej fanatyczni sędziowie i liderzy prawniczego rokoszu burzą się już zupełnie otwarcie, że wszystko to nie dość i że – jak podniósł larum Igor Tuleya – „rewolucja została sprzedana".

## STRATEGIA SUKCESÓW UROJONYCH

W takiej sytuacji zwykle sięga się po jedno z dwóch rozwiązań. Pierwsze to znaleźć winnego gdzieś poza własnym środowiskiem i przypisać wszystkie rozbieżności między zapowiedziami a realiami jego podstępnym knowaniom.

Drugie – przenieść się w rajską dziedzinę ułudy i cieszyć się – z braku realnych – sukcesami urojonymi. Podwładni i zwolennicy Tuska sięgnęli już po obie te metody.

Z jednej strony upowszechnia się wśród nich wiara w, jak nazwał to Bartłomiej Sienkiewicz, „podziemne państwo PiS", czyli, wymiennie, „PiS-owski deep state" – rozległą siatkę zwolenników „obalonego reżimu", która wykonując polecenia z Nowogrodzkiej (zapewne pisane cyrylicą), sabotuje „demokratyczne" rządy i działa na rzecz kontrrewolucji; to właśnie dziełem takiej konspiracji miało być aresztowanie polskich żołnierzy na granicy wschodniej przez żandarmerię. Ta wiara warta jest opisania i zanalizowania w osobnym tekście.

Z drugiej natomiast, zamiast na niedających satysfakcji sprawach krajowych skupiły się lewicowo-liberalne salony i media na celebrowaniu sukcesów „tkacza nowej europejskiej polityki" – bo i tak zdążył już zostać Tusk nazwany. W szczególną lewitację wprawiła jego zwolenników wiadomość, że EPL uczyniła go jednym z dwóch negocjatorów mających uzgadniać podział stanowisk w nowym unijnym rozdaniu. To właśnie ta informacja dała asumpt do cytowanej na wstępie wypowiedzi Nitrasa o „głównym architekcie" Europy. Dyskretnie pominięto w większości entuzjastycznych opinii informację, że drugim „głównym architektem", którego wskazała EPL, jest premier Grecji, który to kraj nie kojarzy się Polakom z rozdawaniem w Unii Europejskiej kart. Przeciwnie, ta informacja może budzić wątpliwość, czy aby nie chodzi o funkcję techniczną i czy Niemcy, formalnie wystawiając do negocjacji Polaka i Greka, nie traktują ich jako „słupów", na których ma się skupić ewentualne niezadowolenie – podobnie jak było wtedy, gdy negocjował Tusk w imieniu Unii Europejskiej warunki brexitu. Zdawałoby się na to wskazywać, że negocjacje zaczął Tusk od – jak nazwała to (z entuzjazmem) liberalna prasa – „wymierzenia głośnego policzka" premier Włoch, Giorgii Meloni, której gotowość do współpracy z EPL Tusk publicznie zdeprecjonował, stwierdzając, że „i bez niej mamy potrzebną większość" – a przy okazji pochwalił się, że ma już gotową listę przyszłych unijnych urzędników, „która na 99,9 proc. zostanie zrealizowana".

**Przynajmniej na razie, gdy dochodzi do konkretów, europejska sprawczość Tuska okazuje się dyskusyjna. Zupełnie jak w czasach, gdy jako przewodniczący Rady Europejskiej kreowany był w polskich mediach na „króla Europy"**

Porozumienie miało zostać ogłoszone w ciągu dwóch dni; do momentu złożenia tego numeru do druku wciąż jeszcze to jednak nie nastąpiło – przeciwnie, przecieki medialne wskazują na brak ostatecznej zgody.

## ROZMOWA, KTÓREJ NIE BYŁO?

W Polsce jednak negocjacyjne sukcesy Tuska (?) szybko przestały zwracać uwagę, przykryte sprawą bezprawnego wywożenia do Polski nielegalnych migrantów z Niemiec przez tamtejszą policję i służby graniczne. Tusk, być może zanadto uniesiony poczuciem sukcesu, zapowiedział w sposób dość ostry, że w tej sprawie rozmówi się osobiście „dziś wieczór" z kanclerzem Scholzem. Ponieważ na zapowiedzi się skończyło, zajmująca się od dawna tematem dziennikarka Aleksandra Fedorska zadzwoniła po jakimś czasie do biura prasowego kanclerza, gdzie powiedziano jej, że takiej rozmowy Tuska z Scholzem nie było i w ogóle nie jest planowana.

Ta informacja, niczym szpilka przekłuwająca dmuchany balon Tuskowego sukcesu, przyprawiła PO i jej media o szok. Ostatecznie po wielu godzinach uzyskały one od strony niemieckiej oświadczenie, że Fedorskiej „udzieliła informacji osoba nieuprawniona" i że premier RP z kanclerzem Niemiec o sprawie niemieckich „pushbacków" rozmawiali. Taka informacja, ilustrowana starymi zdjęciami obu polityków, pozwoliła lewicowo-liberalnej bańce zachować złudzenia – za cenę powstrzymania się od pytań, dlaczego ani Niemcy, ani Tusk nie chcą podać, gdzie i kiedy ta rozmowa miała miejsce i przede wszystkim co z niej wynikło. Polskie media napisały jedynie, że „kanclerz Niemiec miał przyznać, że niemiecka policja popełniła błąd i wyrazić ubolewanie", powołując się na anonimowe „osoby z otoczenia premiera".

Nie było to jedyne przekłucie wspomnianego balonu. Przewodniczący EPL, Manfred Weber, demonstracyjnie zignorował opinię 21-osobowej (z PSL 23-osobowej), a więc drugiej co do wielkości polskiej grupy w EPL w kwestii nominacji wiceprzewodniczącego i zamiast wskazanego przez PO Andrzeja Halickiego zaproponował Ewę Kopacz, pod pozorem dbałości we władzach frakcji o parytet płci. Tylko to, że Kopacz zachowała się lojalnie wobec Tuska i nie dała skusić proponowaną synekurą, pozwoliło PO uniknąć upokorzenia – jej kandydatem nadal pozostaje Halicki. Nie ma jednak wcale pewności, czy Weber – skoro, jak głoszą przecieki, „wypowiedział PO wojnę" – nie uczyni swoim wice jakiejś kobiety z innego kraju.

Tak więc przynajmniej na razie, gdy dochodzi do konkretów, europejska sprawczość Tuska okazuje się dyskusyjna. Zupełnie jak w czasach, gdy jako przewodniczący Rady Europejskiej kreowany był w polskich mediach na „króla Europy", a ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej przedstawiał go na oficjalnym spotkaniu z prezydentem USA jako „tego zbędnego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Porno dla dziewczynek

*Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska*

**Zamiast siedzieć z nosem w smarftonie, nastolatka z wypiekami na twarzy pochłania kolejny tom powieści z kolorową, uroczą okładką? Bardzo prawdopodobne, że taki widok zamiast radości rodzica powinien budzić niepokój. Taśmowo produkowana dziś literatura dla młodzieży to często wprost treści pornograficzne**

Raport Biblioteki Narodowej o stanie czytelnictwa w Polsce za rok 2023 pokazał, że czytamy coraz chętniej. Przeczytanie co najmniej jednej książki w ciągu 12 miesięcy poprzedzających badanie zadeklarowało 43 proc. respondentów, czyli o 9 punktów procentowych więcej niż w dwóch ostatnich latach. Jednocześnie to wynik najlepszy od dekady. Widać, że młodzi czytają więcej niż starsi. Badanie wykazało widoczny wzrost czytelnictwa w grupie wiekowej 15–18 lat. Tutaj wskaźnik wyniósł 72 proc. (w 2021 r. 60 proc.). Za czytelników bardziej zaangażowanych, czyli deklarujących przeczytanie co najmniej siedmiu książek w ciągu roku, uważa się 18 proc. ankietowanych w wieku 15–18 lat (w porównaniu z jedynie 5 proc. w 2021 r.). Raport potwierdza także, że kobiety (50 proc.) czytają więcej od mężczyzn (36 proc.).

W badaniu sprawdzono, skąd Polacy pozyskują informacje o książkach. Siedemnaście procent czytelników w wieku 15–24 lat wskazało, że korzysta z internetowych poleceń na platformach takich jak YouTube oraz TikTok.

## OBSCENICZNOŚĆ W NIEWINNEJ OKŁADCE

O ile obraz stopniowego powrotu do nawyków czytelniczych sprzed pandemii generalnie jest powodem do zadowolenia, o tyle, gdy przeanalizujemy, co najchętniej czytają młodzi ludzie (a w zdecydowanej większości dziewczęta), uśmiech schodzi z ust. Aby zrozumieć, czym w literaturze fascynują się nastolatki, trzeba zgłębić świat tzw. BookToka, czyli treści udostępnianych przez konta niemalże zawodowo zajmujące się książkowymi recenzjami.

Hashtagu „booktok" użyto prawie 34 mln razy, a „booktokpolska" 411 tys. razy (stan na 18 czerwca 2024 r.). „Książkary" pokazują nowości wydawnicze, ujawniają najciekawsze fragmenty książek nadsyłanych im w ramach współpracy przez wydawnictwa, rzadko kiedy krytykując treść. Dominującą tematyką jest romans. Nie, nie bajkowa miłość z krainy różu i brokatu, marzenie, które w nastoletnim wieku nie jest przecież ani niczym nagannym, ani niespotykanym, ale pełen erotycznego napięcia romans, opisywany wprost i bez cenzury. Co prawda, niektóre tego rodzaju książki są oznaczane jako „18+", jednak w dobie Internetu dostęp do nich nie stanowi najmniejszego problemu.

„Przesuwa paznokciami poniżej mojego pępka, wywołując dreszcz na całej długości kręgosłupa. Odchyla głowę, ustami szukając moich. Wolną dłonią chwytam ją za gardło i przygryzam dolną wargę. Znowu prawie szczytuje, oparta o mnie noga drży, a w głosie pobrzmiewa desperacja […]. Chwytam ją i wyłączam prysznic. Gdy wychodzimy z kabiny, szukam ręcznika, by owinąć nim Stas. W tej samej sekundzie, w której układam ją na łóżku, ona przekręca się na brzuch, wypina tyłek, opiera głowę na materacu i odwraca ją, by móc na mnie patrzeć. Jakim cudem zostałem takim cholernym szczęściarzem?" – to fragment bardzo popularnej na BookToku książki „Icebreaker" Hannah Grace, określonej jako „fenomen TikToka".

Takich opisów jest znacznie więcej, choć okładka absolutnie na to nie wskazuje – widzimy na niej łyżwiarkę figurową stojącą obok hokeisty, a wszystko to utrzymane w niewinnej, bajkowej prawie estetyce. Tymczasem treść to czysta erotyka, z elementami przemocy ukazanej jako coś pożądanego i normalnego. „Książka na pewno jest 18+, jest wiele scen, bez których by się obyło, mimo to pochłonęła mnie ta



eprasa.pl 669016c73d

historia. Czytałam z zaciekawieniem od początku do końca. Jest godna polecenia, jeśli lubicie spicy sceny, to warto po nią sięgnąć. Uważam też, że temat toksycznych relacji, który jest poruszony w »Icebreakerze«, jest bardzo ważny i świetnie poprowadzony. Nie jest to książka dla wszystkich" – oto jedna z recenzji na stronie internetowej księgarni. Inna internautka narzeka: „Seks to połowa książki, jakby tego nie było, to sama fabuła miałaby z 70 stron, nie polecam".

Pojedyncze głosy krytyki nie zmieniają jednak tego, że BookTok zalany jest obscenicznymi fragmentami nastoletnich romansów. Takich, jakie znaleźć można np. w powieści „Pucking around" Emily Rath.

„Książkary" dostają to, czego chcą. Jak komentuje jedna z czytelniczek, „to książka, którą podsumowuje jeden cytat z niej – »o mój pier….ny Boże«. Kocha ją całym swoim zdegenerowanym sercem […]. Spice jest konkretny, jest go dużo, jest grubo i jest dosadnie, czyli dokładnie tak, jak lubię. Sceny są elektryzujące, sprawiały, że było mi gorąco. Nie wiem, jakim cudem czytałam tę książkę w miejscu publicznym i zachowałam przy tym kamienną twarz".

Tymczasem okładka sugeruje, że to po prostu opowieść o nastoletniej miłostce z hokejem w tle. Nic bardziej mylnego.

## TOKSYCZNE TREŚCI PROSTO Z SIECI

Popularne na BookToku pozycje często traktują o zawiłych, niekiedy zakazanych relacjach. „Oni mają romans, ale on jest starszym bratem jej obecnego chłopaka. Oni mają romans, ale on jest starszym od niej profesorem. Oni mają romans, ale on jest przywódcą gangu motocyklowego. Oni mają romans, ale on jest bogatym, upadłym arystokratą" – tak jedna z internetowych „guru" reklamuje nowe książki – romans na każdą okazję.

„Vanessa kocha deszcz i książki, a z przyjaciółmi łączy ją szczególna więź. Po trudnym rozwodzie rodziców związała się z Travisem, pozornie grzecznym chłopcem, którego chciałaby widzieć u boku córki każda matka. Po dwóch latach ta miłość jednak umiera, pozostawiając zgliszcza w sercu dziewczyny. Przynajmniej do chwili, kiedy w jej życiu pojawia się kolega ze studiów o ciele pokrytym tatuażami i zielonych oczach, w których aż zbyt łatwo się zagubić" – to z kolei opis innego tiktokowego fenomenu dla nastolatek.

„Ona wpada w oko chłopakowi o złej reputacji, który chce ją zdeprawować. Flirtuje z nią i pokazuje, że nie zawsze musi być grzeczna. Przychodzi do jej domu, a kiedy ona słyszy dźwięk zamka, mówi: »Moja matka jest na dole… W takim razie musisz być cichutko«" – w ten sposób „Przyjaciółka od książek" zachęca do lektury „Better. Zderzenie".

Ta sama tiktokerka poleca w ramach współpracy inne „dzieło", czyli „Done and dusted". „Kiedy jego siostra wróciła na ranczo, spodziewał się, że będzie ujeżdżała swojego konia… a nie jego najlepszego przyjaciela, kowboja" – czytamy w opisie ekspertki do spraw SMUT-ów (w internetowej nowomowie oznacza to po prostu erotyk).

**Ostatnio spory entuzjazm na BookToku wzbudziła książka „Priest", traktująca o wiarołomnym księdzu**

Ostatnio spory entuzjazm na BookToku wzbudziła książka „Priest", traktująca o wiarołomnym księdzu. „Jest wiele zasad, których ksiądz nie może złamać. Ksiądz nie może się ożenić. Ksiądz nie może złamać świętego zaufania, jakim obdarzyła go parafia. Zasady, które wydają się oczywiste. Zasady, których ślubuję przestrzegać, gdy wkładam ornat i poprawiam stułę. Zawsze byłem dobry w przestrzeganiu zasad. Dopóki nie pojawiła się ona" – zapowiedź książki nie pozostawia wątpliwości, czego dotyczy.

Gdyby jednak ktoś nie zrozumiał, z pomocą przychodzi jedna z „książkar". Książkę byłej bibliotekarki Sierry Simone reklamuje tak: „Ona tańczy w klubie dla dorosłych, bo chce zerwać z wizją życia, które dla niej zaplanowali. Weszła do


eprasa.pl 669016c73d

FOT. ADOBE STOCK

kościoła, by wyspowiadać się ze swoich błędów. On został księdzem, bo jego siostra została przez jednego skrzywdzona. Jest oddany swojej wspólnocie w małym mieście, żyjąc w celibacie, dopóki nie przychodzi ona na spowiedź [...]. On odkrywa po jej spowiedzi, że ona przychodzi bez bielizny, dotykając się, gdy spowiada się w konfesjonale". Następnie serwowane są nam cytaty: „Dotykałaś się, myśląc o mnie? Więcej niż raz. W domu. W kościele. Pokaż mi. Połóż się na podłodze, rozłóż nogi i pokaż mi, jak wyglądasz, gdy myślisz o mnie, dotykając się".

Trzeba przyznać, że dla wielu, nawet zapalonych fanek romansów ta książka stanowi przekroczenie granicy dobrego smaku. „To ja już chyba wolę przeczytać »Pana Tadeusza«" – skomentowała jedna z nich. Kolejny raz okładka w żaden sposób nie oddaje pornograficznej treści – czerwone kwiaty na ciemnym tle to okładka, których setki.

Duże kontrowersje, choć nie z powodu ostrych scen łóżkowych, ale wpajania nastolatkom obrazu toksycznych, nieprawidłowych relacji, wywołuje wciąż nietracąca na popularności seria „Rodzina Monet" polskiej autorki Weroniki Marczak. Nastoletnia Hailie Monet trafia pod opiekę przyrodniego rodzeństwa. Bracia stosują wobec niej przemoc psychiczną, dochodzi do naruszania jej bezpieczeństwa fizycznego, niewłaściwych dialogów i zaburzenia hierarchii w relacjach.

„Autorka opisuje nam relacje Hailie z pojedynczymi braćmi, jakby nie do końca wiedziała, gdzie przebiega niebezpieczna granica między byciem rodzeństwem a pociągiem fizycznym – wszak główna bohaterka nadzwyczaj często zwraca uwagę na muskulaturę swoich braci [...]. Książka zachęca swoją kolorową okładką, wpisującą się w tematykę młodzieżową, jednak jej treść okazuje się zupełnym tego przeciwieństwem, dając nam modele dysfunkcyjnych relacji rodzinnych w ładnym wydaniu" – wskazuje autor krytycznej recenzji serii na portalu magazynempatia.pl.

W serwisie YouTube znaleźć można wiele analiz kolejnych tomów autorstwa Marczak, w których cytowane są pełne przemocy dialogi z książki. Rodzice jednak wydają się wciąż nieświadomi. Szerokim echem odbiła się w mediach ubiegłoroczna sesja rozdawania autografów fanom. Empik, który zorganizował spotkanie z Weroniką Marczak, podał, że sesja była prawdopodobnie najdłuższą w 75-letniej historii sieci. Trwała 13 godzin, w tym czasie pisarka złożyła podpisy ponad 1,7 tys. osobom. W kolejce do podpisu stały dziewczynki w wieku od ok. 10 do 17, 18 lat. Te młodsze bardzo często ze swoimi matkami.

## CZY ZAWSZE LICZY SIĘ TYLKO ZYSK?

Dla wydawców i księgarń to czas żniw. „Cieszy nas bardzo, że młodzież czyta. Widzimy to m.in. w zestawieniach książkowych Top20 na Empik.com, w których tytuły young adult stanowią aż połowę wszystkich pozycji.

Modę na czytanie wśród młodych potwierdzają również dane sprzedażowe – w ciągu ostatniego roku zanotowaliśmy 150-procentowy wzrost zainteresowania książkami YA i prognozujemy, że w następnych miesiącach trend wzrostowy się utrzyma. Sukcesywnie powiększamy więc katalog o kolejne nowości – dziś jest to ok. 850 topowych pozycji" – tak ponaddwukrotny wzrost sprzedaży książek z kategorii „young adult" komentowała przedstawicielka Empiku.

W roku 2022 książki young adult włączono do nagród Bestsellery Empiku. Wtedy to wyróżnienie trafiło do Katarzyny Barlińskiej vel. P.S. Herytiery (Pizgacz) za pierwszy tom cyklu „Start a fire" (również podbijającego BookToka, również zawierającego sceny erotyczne). Co oburzające, książka jest oznaczona jako „18+". To jednak nie przeszkadzało nagrodzić ją jako najlepszą pozycję dla młodych miłośników literatury. Kategoria „young adult" w czytelnictwie obejmuje osoby w wieku 12–18 lat. W roku 2023 nagrodę przyznano Marczak za serię „Rodzina Monet".

**Dla wielu, nawet zapalonych fanek romansów ta książka stanowi przekroczenie granicy dobrego smaku**

Internetowe księgarnie nie zwracają większej uwagi na zagrożenie, którym dla młodych czytelników są te wciąż zyskujące na popularności treści. Na jednej ze stron możemy co prawda znaleźć informację, że „pierwszy tom serii »Rodzina Monet« jest przeznaczony dla osób powyżej 13. roku życia, a kolejne tomy dla osób powyżej 16. roku życia ze względu na liczne przekleństwa, przemoc, opisy scen seksualnych i nieobyczajne zachowania", zaraz jednak czytamy: »Rodzina Monet« to seria, która nie pozostawia czytelników obojętnymi i zmusza ich do refleksji nad własnym życiem i wyborami. To także seria, która bawi, wzrusza i inspiruje". Liczy się zysk. Podobnie zresztą jak dla booktokerek, które dzięki swoim internetowym, pikantnym recenzjom zdobywają nie tylko nowe obserwacje, lecz także kolejne współprace reklamowe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Pigułki śmierci

FOT. ADOBE STOCK

*Łukasz Zboralski*

**Potrzeba było alarmujących doniesień mediów, by Ministerstwo Zdrowia zaczęło kontrolować, którędy trafia na rynek szalenie niebezpieczny fentanyl. Czy uda się zatrzymać handlarzy, zanim dotknie nas społeczna katastrofa, którą obserwujemy w USA?**

O fentanylu na świecie jest głośno od dawna. W marcu Piotr Włoczyk w naszym tygodniku („Fentanylowa śmierć", „Do Rzeczy" nr 10/2024) alarmował, że narkotyk 50 razy silniejszy od heroiny sieje spustoszenie w Ameryce, a epidemia uzależnienia od fentanylu urosła do takich rozmiarów, iż czołowi republikańscy politycy zapowiedzieli użycie wojska do zwalczania meksykańskich karteli. „Ten sam problem zaczyna też zagrażać Europie" – przestrzegał.

W samej Polsce temat jednak w ogóle nie istniał. Tak jakby fenantyl jeszcze do nas nie dotarł. Nagle wszystko się zmieniło. Nie dlatego, że władze i odpowiednie służby zdały sobie sprawę z zagrożenia, które i nas dotknie, tylko dlatego, że media zaczęły pokazywać, iż ten silnie uzależniający lek płynie wartkim strumieniem na nasz rynek poprzez system elektronicznych recept i receptomatów.

## CO SIĘ DZIEJE W ŻUROMINIE

Przypomnijmy, dlaczego o fentanylu mówi się już jako społecznym problemie w Stanach Zjednoczonych. Tylko w ciągu 2021 r. był tam przyczyną w sumie 70 tys. zgonów (na wszystkie 107 tys. zgonów z przedawkowania narkotyków). W ubiegłym roku w samym San Francisco szacowano, że dziennie z powodu przedawkowania tego środka umierają trzy osoby dziennie. Doszło już do tego, że za oceanem szkoli się uczniów z użycia sprayu, który natychmiast blokuje działanie opioidów – w ten sposób dzieci mogą innym dzieciom uratować życie.

Fentanyl znany jest od dawna. Do lecznictwa wprowadzano go już w latach 60. To łatwy w produkcji syntetyczny opioid – lek przeciwbólowy stosowany w anastezjologii. Uzyskuje się go tanio, a w działaniu jest 100 razy silniejszy niż morfina. To oznacza, że do uzyskania efektu znieczulenia potrzebna jest stukrotnie mniejsza dawka.

Mniej więcej od 2013 r. fentanyl stawał się tani i relatywnie łatwo dostępny w aptekach. A ponieważ odcina człowieka od realnego świata i przenosi w halucynacje, zaczął być używany do odurzania się. Jest tylko jeden problem. Wystarczy odrobinę za dużo środka i następuje depresja układu oddechowego, prowadząca do zatrzymania akcji serca. Człowiek umiera. Ponieważ zawartość



eprasa.pl 669016c73d

tabletek rozprowadzanych przez dilerów nie jest znana, czasem wystarczy jedna pigułka, by pożegnać się z życiem.

Swoje życie w Polsce w ten sposób straciła 19-latka z Poznania. W listopadzie ubiegłego roku znaleziono ją martwą w mieszkaniu. Przyczyny zgonu nie udawało się wyjaśnić. Dopiero kilka dni temu badania toksykologiczne wskazały, że zmarła z powodu przedawkowania fentanylu. Oficjalnie jest pierwszą ofiarą tego narkotyku w Polsce. Na pewno niejedyną.

Na razie wiadomo, że problem jest poważny w Żurominie. Ujawnił go Tomasz Patora w „Uwaga TVN". Według nieoficjalnych ustaleń w tym dziewięciotysięcznym miasteczku ofiarami fentanylu padło blisko 30 osób. Mieszkańcy wskazywali nawet dziennikarzom, kto zajmuje się rozprowadzaniem plastrów z fentanylem (te jako lek może przepisać lekarz). Choć problem rozprowadzania tego narkotyku w mieście sięga prawdopodobnie nawet 12 lat, to dopiero pod koniec maja tego roku miejscowa policja przygotowała akcję, w której zatrzymała dwóch mężczyzn. Mieli przy sobie plastry przeciwbólowe, z których można pozyskać fentanyl. Ta akcja funkcjonariuszy nie osłoni – Biuro Spraw Wewnętrznych Policji sprawdzi, dlaczego wcześniej nikt się tym nie zajął, choć mieszkańcy wiedzieli dużo.

Nowy burmistrz Żuromina też postanowił zadziałać. Liczba dyżurów specjalisty do spraw uzależnień od narkotyków ma wzrosnąć w mieście do dwóch tygodniowo. Przyznał też, że mieszkańcy nawet nie wiedzą, iż mogą otrzymać taką pomoc specjalisty.

Z pewnością takich miejsc jak Żuromin na fentanylonowej mapie Polski jest więcej. Nie wszędzie jednak jeszcze dotarli dziennikarze. Najważniejszym pytaniem w tej sprawie jest to, jak leki na receptę trafiają w ręce dilerów i samych narkomanów.

## INTERNET I RECEPTOMATY

Gdy w mediach społecznościowych zaczęto publikować zamroczonych ludzi słaniających się na chodnikach w Polsce – do złudzenia przypominających sceny z USA z udziałem „zombi" po użyciu fentanylu – sprawę drążyć zaczęli politycy. Jednym z pierwszych był Janusz Cieszyński, były minister cyfryzacji, poseł PiS.

**Były minister Janusz Cieszyński udowodnił, że bez problemu można kupić przez Internet morfinę**

– Młodzi ludzie przedawkowują to na śmierć, kupują to w aptekach – grzmiał z sejmowej mównicy. I wytykał: – Nie mamy ministra do spraw polityki lekowej, nie mamy głównego inspektora farmaceutycznego [stanowisko od dawna pozostaje nieobsadzone, nowa minister nie rozstrzygnęła jeszcze konkursu – przyp. red.]. Zróbmy coś, nim dojdzie do kolejnych tragedii – apelował.

Cieszyński poszedł nawet dalej. Sam sprawdził, jak można dziś kupić w Internecie morfinę. Opisał to na portalu X. Najpierw próbował zdobyć lek przez receptomat, czyli wykorzystując poradę przez Internet. „Pierwsza próba – polecany na grupie receptomat firmy Radamed. Wykupuję konsultację za 59 zł i czekam na poradę on-line. Po kilkunastu minutach dostaję link do internetowego czatu. Sam tekst, bez wideo/audio. Dostaję pytanie o dokumentację medyczną, a kiedy jej nie dostarczam, lekarka bez słowa zamyka wizytę i wysyła mail z odmową. To pokazuje, że działania ministra Adama Niedzielskiego w tym zakresie nie poszły na marne, przynajmniej w tym przypadku" – podsumowuje.

Druga próba okazuje się skuteczna. Tym razem minister po prostu znajduje w sieci ofertę, w której ktoś, kto dostał lek na receptę, sprzedaje go. „Szybko ustalamy warunki – za jedną receptę na końską (śmiertelną) dawkę morfiny 800 zł, za dwie – 1500 zł. Proszę o zdjęcie recepty, żeby nie przelewać w ciemno. Fotka się zgadza, wysyłam blikiem pieniądze i po chwili mam już kod recepty i PESEL pacjenta niezbędne do realizacji. Recepta jest ważna. Kolega farmaceuta komentuje jednoznacznie – taka recepta może zabić".

Pod wpisami ministra odzywa się znany z aktywności medialnej rezydent onkologii Jakub Kosikowski. „Mówiłem Ci, że to tak działa, jakbyś dłużej poszukał, to i »receptomat« znajdziesz" – wskazuje. Potem tłumaczy, że ma informacje od swoich pacjentów, czyli z pierwszej ręki. To tacy, którym zabrakło leków do uśmierzania bólu i którzy musieli je szybko zdobyć. Zdobyli je przez teleporady. „Nikt ich o nic nie pytał" – zaznaczył Kosikowski. I dodał, że receptomaty, które realizują takie usługi, nie chwalą się tym publicznie.

## LESZCZYNA ZAMAWIA RAPORTY

Dziennikarze „Polityki" zdążyli już sprawdzić, że coś jest na rzeczy. Bo sprzedaż nierefundowanego fentanylu wzrosła w Polsce o 100 proc. Musielibyśmy mieć do czynienia z nagłym podwojeniem się liczby pacjentów cierpiących na ogromny ból. Raczej jednak to właśnie zapotrzebowanie na odurzanie wywołało na rynku taki popyt.

A odsprzedawanie recept czy receptomaty to niejedyna droga, którą można sięgnąć po tę substancję. Fentanyl można dziś zamówić przez Internet i odebrać w paczce. Zdaniem Cieszyńskiego polski system nie jest w stanie wykryć takich dostaw.

Odpowiedzią minister zdrowia było nakazanie centrum e-Zdrowia codziennego monitorowania sprzedaży opioidów na recepty, w tym fentanylu. Pod koniec ubiegłego tygodnia media poinformowały o pierwszym „sukcesie" – na ręce minister Izabeli Leszczyny trafił pierwszy raport. Wyszło na jaw dokładnie to, o czym pisał w sieci lekarz Jakub Kosikowski. „Mamy w ciągu jednego dnia wypisane kilkaset recept i one są realizowane w różnych miastach w Polsce, oddalonych od siebie znacznie. Wypisuje je osoba, która ma jeden numer pozwolenia wykonywania zawodu. To oznacza, że to jest receptomat" – powiedziała w radiowej „Jedynce" minister Leszczyna. Ujawniła, że powołano specjalny zespół, w którego skład weszli urzędnicy resortu zdrowia, policjanci i funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej. To oni będą rozpracowywać tych, którzy wpuszczają do obiegu śmiertelnie niebezpieczny lek.

Właśnie zaczęły się wakacje – być może ministerstwo powinno szybko zrobić telewizyjny spot kierowany do rodziców i młodzieży. Powinien przestrzec ich przed zabawą z pigułkami, które ktoś może im oferować w ramach „rozrywki". Wystarczy jedna tabletka, by zamiast zabawy w rodzinie wszyscy zebrali się na stypie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Malarz Bożego ładu

„Pogrzeb mnicha w gaju dębowym", 1809–1810

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Piotr Semka z Berlina*

**Dwieście pięćdziesiąta rocznica urodzin malarza Caspara Davida Friedricha (1774–1840) nie mogła obejść się bez uroczystych wystaw. Muzea za Odrą umożliwiły nam spędzenie ponad roku z najwspanialszymi obrazami mistrza z pomorskiego Greifswaldu**

Czy był drugim największym niemieckim malarzem po Albrechcie Dürerze? Na pewno był współtwórcą imaginarium epoki romantyzmu, z jej mistyką i kultem natury przez duże „N". Powoływali się na niego antynapoleońscy patrioci marzący o zjednoczeniu Niemiec, protestanccy pietyści, volkistowscy piewcy „nieujarzmionej germańskiej przyrody", naziści, a wreszcie pionierzy ekologii i ruchu Zielonych. „My wszyscy z niego" – mogą dziś mówić nasi sąsiedzi zza Odry.

## MUZEALNA FRIEDRICHOMANIA

Nie tylko krakusi uwielbiają jubileusze. Niemcy także pilnie śledzą kalendarze i 250. rocznica urodzin malarza Caspara Davida Friedricha (1774–1840) nie mogła obejść się bez uroczystych wystaw. Ekspozycję ku czci Friedricha zorganizowała już Kunsthalle w Hamburgu. Teraz świątynią friedrichomanii jest Alte Galerie w Berlinie, a niedługo, w sierpniu br., rozpocznie się ekspozycja w drezdeńskim Albertinum.

Hamburska wystawa „Sztuka dla nowej epoki" trwała między grudniem 2023 r. a kwietniem 2024 r. Berlińska potrwa do 4 sierpnia, a już 24 sierpnia br. zainauguruje swoją ekspozycję Albertinum i potrwa ona do stycznia 2025 r.

Krótko mówiąc, muzea za Odrą umożliwiły nam spędzenie ponad roku z najwspanialszymi obrazami mistrza z pomorskiego Greifswaldu. Trzej wielcy włodarze friedrichowskich płócien niechętnie pożyczają sobie najważniejsze dzieła mistrza, więc najlepiej każdą wystawę obejrzeć z osobna. Tym bardziej że twórcy wystaw podzielili między siebie najważniejsze aspekty twórczości „malarza ciszy". Hamburg skupił się na nowatorstwie sztuki Friedricha w swojej epice i jego wpływie na myślenie Niemców. Także tych dzisiejszych, wyczulonych na lęki dzisiejszego pokolenia związane z obawami o zmiany klimatu. A czym chce nas zadziwić wystawa w stolicy RFN?

## ZAPROWADŹ NAS GŁĘBOKO W LAS

Berlin zatytułował swoją wystawę „Nieskończone krajobrazy" i zajął się nowatorstwem malarza w podejściu do tematu natury i jej relacji z człowiekiem.



eprasa.pl 669016c73d

„Mnich nad morzem", 1808–1810
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Recenzenci czołowych niemieckich dzienników pochwalili berlińską galerię za skupienie się na samej sztuce pomorskiego mistrza, bez szukania na siłę – jak to zrobili w Hamburgu – natrętnych odniesień do dzisiejszej walki o klimat.

W centrum berlińskiej wystawy jest krajobraz jako temat numer jeden. Człowiek na tych obrazach zazwyczaj nie dominuje. Jest tylko jednym z elementów uwiecznianej natury. Często jest obrócony plecami do widza. Świadome przebywanie na świeżym powietrzu z intencją artystyczną jest jedną ze szczególnych cech praktyki sztuki romantycznej. Dla Friedricha ten „environmentalizm" – chęć czucia się elementem środowiska naturalnego – był niezwykle istotny. Maleńkie ludzkie figurki otoczone żywiołem przyrody mają symboliczne znaczenie. To dla widzów jego obrazów przypomnienie o obowiązku pokory, pamięci o swojej ograniczonej skali na tle gór, równin i morskich otchłani. To alegorie samotności, śmierci, wiary w transcendencję i nadziei na odkupienie. Często przypisuje się jego obrazom melancholię. To chyba nieporozumienie. Spokój natury i jej troskliwa obserwacja równie dobrze mogą prowadzić do spokoju ducha i pogodzenia się ze sobą. Umiaru w dążeniach i ambicjach. Do wiary w mądrość i rozumny plan Bożego stworzenia na ziemi.

Ale też fascynacja majestatem gór mogła prowadzić do wiary we wszechmoc człowieka. Szczególnie jednostki uznającej się za wcielenie ducha niemieckiego narodu. Czym innym było wielkie okno z widokiem na panoramę Alp bawarskich w „orlim gnieździe", siedzibie Hitlera w Berchtesgaden, jeśli nie naturalnym obrazem niezdobytych szczytów? Tam sąsiadowanie z misterium gór miało być scenerią dla szlifowania żelaznej woli Führera jako „wybrańca Opatrzności". Ten wagnerowski sztafaż to także wpływ obrazów Friedricha. Biedny artysta nie mógł przewidzieć, na jakie stany psychiki swoich rodaków będą oddziaływać jego płótna.

## DZIKOŚĆ NA WYCIĄGNIĘCIE RĘKI

Często zapominamy, że te namalowane przez Caspara Davida Friedricha romantyczne krajobrazy szczytów w Karkonoszach, widoki ruin starych opactw, niemal wyczuwalne wzruszenie wywołane zapachem świerków z czeskich gór o wschodzie słońca to efekt stabilizacji życia końca XVIII i pierwszej połowy XIX w. Wcześniej Niemcy długo dochodziły do siebie po amoku mordu wojny trzydziestoletniej w XVII w. Aż do schyłku XVIII w. góry były kryjówkami zbójców, a szwendanie się po lasach groziło rabunkiem i pobiciem. Chłopi bardzo długo uznawali góry za siedlisko złych demonów. A wyprawy na górskie szczyty za proszenie się o nieszczęście.

Dopiero świat XIX w. przyniósł wzrost bezpieczeństwa, wytworzenie się zawodu przewodnika górskiego. Dopiero wtedy mogły rozpocząć się w miarę masowa turystyka i wyprawy malarzy ku górskim szczytom. Nie można zachwycać się dziką naturą, jeśli drży się jednocześnie o własne życie. A Caspar David Friedrich tę naturę jako jeden z pierwszych malował i promował. I zachęcał swymi obrazami do wypraw w dzikie ostępy. Zachwyceni jego krajobrazami mieszczanie z Berlina czy Wrocławia wspinali się na szczyty Karkonoszy, aby wzruszyć się widokiem wschodzącego słońca.

## RYK WICHURY I CISZA CMENTARZA

Dwa najważniejsze płótna Friedricha ze zbiorów berlińskich autorzy wystawy zestawili obok siebie w wielkiej sali na pierwszym piętrze berlińskiej Starej Galerii. To „Mnich nad morzem" i „Cmentarz klasztorny w śniegu" znany też jako „Pogrzeb mnicha w gaju dębowym".

„Morze lodu", 1823–1824 FOT. MATERIASOWE

Dopiero tu, w głównej sali pierwszego piętra Alte Galerie, widać, że żadna reprodukcja nie zastąpi kontaktu z oryginałem. Znałem „Mnicha nad morzem" z albumów, ale dopiero stając oko w oko z tym płótnem, uzmysłowić można sobie skalę wyobraźni kolorystycznej malarza. Obraz powstał w latach 1808–1810, w najbardziej nowatorskim i olśniewającym okresie twórczości Friedricha.

To dzieło zrobiło tak przejmujące wrażenie na królu pruskim Fryderyku Wilhelmie III w trakcie wystawy dzieł Akademii Berlińskiej w 1810 r., że bez wahania je kupił dla swego syna i następcy, późniejszego romantyka na tronie – Fryderyka Wilhelma IV.

Oto odwrócony plecami do widza zakonnik staje w burzliwy dzień na brzegu wzburzonego morza. Ciemna, śniegowa chmura mieni się licznymi refleksami światła. Pełne fal morze jawi się jako groźny, niszczący żywioł. Jakie wnioski z kontemplacji tych żywiołów wyciąga duchowny? Czy widzi w nich oznakę wszechmocy Boga czy też chaosu świata?

Jest coś biblijnego w tym obrazie. Nieprzypadkowo. Caspar David Friedrich był bardzo religijnym ewangelikiem – jego ojciec wychował go w duchu pomorskiego pietyzmu. W ślad za ojcem syn widział w naturze pomnik wielkości Boga. Ale dziś ten rys malarstwa Friedricha pomijany jest zakłopotanym milczeniem. W esejach zawartych w katalogu rzuca


eprasa.pl 669016c73d

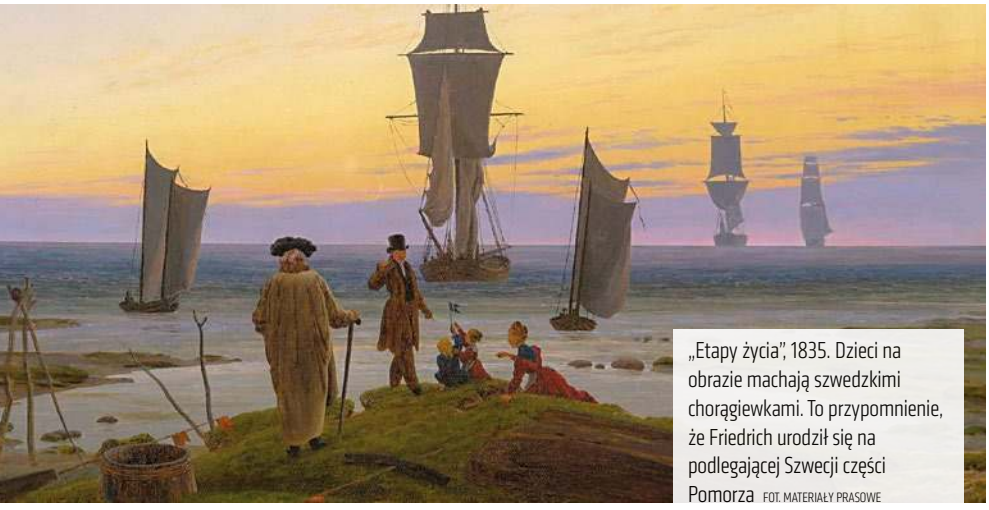

„Etapy życia", 1835. Dzieci na obrazie machają szwedzkimi chorągiewkami. To przypomnienie, że Friedrich urodził się na podlegającej Szwecji części Pomorza FOT. MATERIAŁY PRASOWE

się w oczy brak refleksji nad religijnym przesłaniem mistrza. Motyw mnicha na brzegu rozszalałego morza powtórzy niemal 100 lat potem Gustave Courbet – francuski malarz realista.

A teraz przechodzimy do „Pogrzebu mnicha". W zmierzchu dnia grupa zakonników odprowadza do grobu zmarłego współbrata. Obraz podzielony jest symbolicznie na dwie sfery – na dole wzrastający zmrok ziemskiego bytowania i jasny nieboskłon ozłocony światłem zachodzącego zimowego słońca. Jest w tym obrazie wszystko ze sztafażu wczesnego romantyzmu – mnisi, ruiny średniowiecznego klasztoru, las dębowy uważany wtedy za symbol germańskości. Rozświetlone niebo to metafora lepszego życia i spokoju, który czeka na duszę sprawiedliwego. I pokora mnichów, którzy czekają, która z godzin „będzie ich ostatnią".

Friedrich lubuje się w malowaniu gotyckich łuków i wkomponowywaniu ich w górski lub leśny krajobraz. Dla malarza gotyk to najpiękniejsza i najbardziej uduchowiona architektura. Na jego obrazach niewiele jest klasycystycznych kolumnad. O wiele bardziej intrygują go ogromne kamienie nagrobne, w których jego generacja dopatrywała się grobowców Hunów.

I wreszcie kolejny znak rozpoznawczy romantyków – światło księżyca. „Dwaj młodzieńcy obserwujący księżyc" noszą na płótnie tradycyjne ciemne, staroniemieckie stroje, które w epoce napoleońskiej okupacji Niemiec były demonstracją narodowych, germańskich uczuć.

Okres francuskiej okupacji Niemiec do 1815 r., kiedy mimo czujnego oka władz Friedrich przemycał w swych obrazach antynapoleońskie aluzje, pozostanie najbardziej płodnym i innowacyjnym etapem jego twórczości. Przez kolejne ponad 15 lat jego obrazy będą budziły uznanie.

## ZAPOMNIANY

Widzów ekspozycji szokują podane przez twórców wystawy informacje, że obrazy Friedricha wyszły z mody w latach 30. XIX w. Z cokołu sławy wypchnęli go nowsi i modniejsi artyści. A on ze swej strony dumnie odrzucał nowy realizm w malarstwie pejzażowym, zwłaszcza manierę malarską tzw. szkoły düsseldorfskiej. Jego prace cieszyły się coraz mniejszym zainteresowaniem krytyki i publiczności. Sprzedaż obrazów gwałtownie spadła. Rodzina malarza znalazła się w trudnej sytuacji finansowej. Sam Friedrich dziwaczał i posępniał.

26 czerwca 1835 r. malarz doznał udaru mózgu z objawami paraliżu. Podjął kurację w czeskich Cieplicach, na którą mógł sobie pozwolić, jedynie sprzedając na dworze cara Rosji kilka obrazów. W konserwatywnym Petersburgu jeszcze ceniono jego styl, coraz bardziej niepasujący do nowych tendencji.

W liście do swego siostrzeńca Heinricha z tego gorzkiego okresu życia pisał: „Przebywałam w Cieplicach prawie 6 tygodni za namową lekarza z powodów Państwu znanych. Wróciłem przedwczoraj. Stoję już całkiem nieźle na nogach i mam nadzieję, że wpływ kąpieli kuracyjnych przywróci mi sprawność ręki. Przez cały czas pływania pogoda była piękna, a piękna okolica Cieplitz i to, co udało mi się namalować dzięki mojej na wpół bezwładnej ręce, może mi się jeszcze przydać, jeśli kiedykolwiek odzyskam zdolność do malowania".

Kuracja na pewien czas zadziałała, Friedrich ponownie zaczął malować, jednak sprawiało mu to nadal duże trudności. Do 1839 r. tworzył głównie rysunki w sepii i akwarele, rzadziej pejzaże, a najczęściej alegorie śmierci. W ostatnim roku jego życia praca malarska stała się niemożliwa. Przyjaciele Friedricha, malarz Carl Gustav Carus i malarka Caroline Bardua, opiekowali się, jak mogli, zapomnianym geniuszem. Gdy odwiedził go miłośnik jego twórczości, rosyjski poeta Wasilij Żukowski, malarz za jego pośrednictwem zwrócił się do cara Rosji o wsparcie finansowe. Niestety, cesarska dotacja nadeszła dopiero po jego śmierci. Fryderyk zmarł w Dreźnie 7 maja 1840 r. w wieku 65 lat.

## PODARUJ SOBIE CHWILĘ CISZY

Niemiecki krytyk Hans-Joachim Müller z okazji roku wystaw Friedricha pisze na łamach „Die Welt": „Wystawa w Hamburgu odnotowała rekordy frekwencji, a setki tysięcy spodziewane są także w Berlinie. W Hamburger Kunsthalle było 325 000 osób. »Najbardziej udana wystawa w historii«. 325 000 ludzi przed 60 obrazami i setką rysunków. Wszyscy przychodzą zobaczyć dzieła romantyka, który godzinami uwielbiał patrzeć na krajobraz. Co w tym jest, co każdy chce zobaczyć i doświadczyć u Caspara Davida Friedricha właśnie teraz?".

I Müller próbuje znaleźć odpowiedź: „Nie ma obrazu tego malarza, który przedstawiałby ruch. I chyba żadna inna praca nie mówiła z taką pasją o samym akcie patrzenia. I o tym, że patrzenie ma sens tylko wtedy, gdy się zatrzymasz, jeśli staniesz w miejscu. W ulewnym strumieniu obrazów naszych czasów jest to narzucenie niemal dziwne. Czy nadal możesz sobie pozwolić na to, aby się zatrzymać, stanąć pod sękatym dębem, położyć rękę na ramieniu przyjaciela i popatrzeć na sierp księżyca?".

Może tej chwili oderwania się od smartfona kakofonii bodźców szukają widzowie stojący w długich kolejkach przed Alte Galerie i czyhający na kogoś, kto ma do sprzedania bilet?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Wystawa dzieł Caspara Davida Friedricha „Nieskończone krajobrazy" w berlińskiej Alte Galerie potrwa do 4 sierpnia br.***



eprasa.pl 669016c73d

REPUBLIKA

*„Rozmawiam o polityce. Z moimi gośćmi dyskutuję o najważniejszych wydarzeniach z kraju i z zagranicy. Zadaje konkretne pytania i oczekuję rzeczowych odpowiedzi. Zapraszam od wtorku do piątku o 17:30 do Telewizji Republika."* – **Miłosz Kłeczek**

# MIŁOSZ KŁECZEK
## ZAPRASZA

OD WTORKU
DO PIĄTKU

# 17:30

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

**Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.**

eprasa.pl 669016c73d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# Amerykańska elegia

*Piotr Gociek*

**Marzył o tym filmie niemal 40 lat. Zastawił własne ranczo, by rozpocząć produkcję. Kevin Costner przedstawia dzieło swojego życia: sagę „Horyzont"**

Nie bez powodu to, co zwykliśmy nazywać „podbojem Dzikiego Zachodu", w amerykańskiej historiografii nosi miano „wojen indiańskich". „Horyzont. Rozdział 1" to zatem opowieść o wojnie. Decydujące starcie dopiero nadejdzie (przed nami kolejne filmy z planowanej przez Kevina Costnera amerykańskiej sagi – „Rozdział 2" w sierpniu), ale krwawe preludium już rozgrywa się na ekranach kin.

Costner rozpoczyna swą opowieść w chwili, gdy uwaga białych jest chwilowo odwrócona od ziem na Zachodzie, bo są zajęci wyrzynaniem siebie nawzajem. Trwa wojna secesyjna, dowodzący wojskowym obozem na pograniczu płk Houghton (Danny Huston) nie dość, że nie ma wystarczających sił, by strzec bezpieczeństwa osadników, to jeszcze musi oddać sporą część żołnierzy armii walczącej z gen. Lee. Apacze tymczasem atakują: masakrują ludność osady Horizon. Kawaleria pod wodzą por. Gephardta (Sam Worthington) przybywa, by policzyć trupy. Nieliczni ocalali dzielą się na trzy grupy: jedni szukają schronienia w wojskowym obozie (jak świeżo owdowiała Frances, którą gra Sienna Miller), inni chcą zemścić się na Indianach, pozostali zamierzają odbudować osadę. Twierdzą, że nie mają dokąd iść. Twierdzą, że to ich ziemia. Indianie także są podzieleni: młodzi chcą zabić każdego, kto wkroczy na tereny Apaczów. Starsi wierzą w pokojowe współistnienie. Wiemy, jak skończy się ta historia.

## UPÓR I NADZIEJA

Osada Horizon to – jak można się domyślać z klipu promującego „Rozdział 2", którym kończy się „Rozdział 1" – miejsce, gdzie ostatecznie splotą się losy licznych bohaterów opowieści Costnera. A jest tych nitek do splecenia wiele. Prostytutka Marigold ucieka przed zemstą okrutnego rodu Sykesów. Pomaga jej tajemniczy przybysz Hayes Ellison (w tej roli sam Kevin Costner), o którym nie wiemy wiele. Owszem, godny jest zaufania. Ale czym tak naprawdę się zajmuje? Do kogo pisze tęskne listy? Przez wielkie równiny jedzie karawana wozów pełnych nowych osadników – wiedzie ją Matthew Van Weyden (Luke Wilson). I tak dalej. W montażu scen z nadchodzącej części drugiej pojawiają się nowe twarze, w tym Giovanni Ribisi jako tajemniczy drukarz, którego ulotki prędzej czy później trafiają w ręce każdego bohatera „Horyzontu". Czy jego ogłoszenie zachęcające do osiedlania się na ziemiach Apaczów to wyraz lekkoduchostwa czy może jakiegoś spisku, a może po prostu ktoś zarabia na sprzedaży marzeń? W tle dostajemy jeszcze chińskich robotników budujących kolej, zdesperowanych poszukiwaczy złota, indiańskich i meksykańskich przewodników w służbie białych (często obiekt rasistowskiej pogardy).

Słowem, dokonuje Kevin Costner (który wraz z debiutantem Jonem Bairdem jest także autorem scenariusza) przeglądu niemal wszystkich moty-



eprasa.pl 669016c73d

wów z westernów. Mieliśmy kiedyś na ekranach podobną sagę: „Jak zdobyto Dziki Zachód" („How the West Was Won", 1962). Było to epickie widowisko, w którym trzech wielkich reżyserów – John Ford, Henry Hathaway i George Marshall – odpowiadało za kolejne wątki opowieści, a obsada pełna była gwiazd (James Stewart, John Wayne, Gregory Peck i wielu innych). Film nagrodzono trzema Oscarami: za dźwięk, montaż i scenariusz oryginalny. Było to jednak pożegnanie z widowiskami o Dzikim Zachodzie w starym stylu. Czasy się zmieniały. Podczas tej samej oscarowej ceremonii najlepszym reżyserem został młody gniewny Brytyjczyk Tony Richardson" (za film „Tom Jones"), a najlepszym filmem zagranicznym ogłoszono „Osiem i pół" Felliniego.

Costner także przedstawia nam opowieść epicką, ale rozmach ma swoje granice. Za „Horyzontem" (choć dystrybuowanym przez Warner Bros.) nie stoją żadne wielkie studio i nieograniczone fundusze, tylko upór, nadzieja i pieniądze samego Costnera. „Dzięki Bogu za Cannes" – mówił przy okazji światowej premiery filmu na tegorocznym festiwalu. „Jestem filmowcem niezależnym i przyjechałem tu we własnej sprawie". To prawda. Aby dopiąć ponadstumilionowy budżet pierwszych dwóch części (oczywiście w dolarach), aktor zastawił własną posiadłość w Santa Barbara.

Aby zmieścić się w założonych terminach produkcji, kiedy dostępni byli wszyscy aktorzy, z którymi chciał pracować, zrezygnował z lukratywnej roli w kolejnych sezonach telewizyjnego przeboju „Yellowstone". Nie zatrzymali go ani księgowi, pukający się w czoło, ani prawnicy żony, z którą akurat się rozwodził i musiał dzielić majątkiem. Costner wierzy w swój wymarzony projekt, który obmyślał od roku 1988. Nigdy nie udało mu się namówić inwestorów, by wsparli jego wizję. Wziął więc sprawy we własne ręce, a w Cannes nie tylko pokazał pierwszy z planowanych czterech filmów, lecz także zbierał pieniądze na ukończenie produkcji odsłon numer trzy i cztery.

## CZŁOWIEK ORKIESTRA

Chociaż zagrał w ponad 60 filmach, to przed „Horyzontem" Costner wyreżyserował tylko trzy. Jednak już debiutem udowodnił, że wie, jak to się robi. „Tańczący z wilkami" (1990) zamienił go w gwiazdę światowego formatu. Z siedmiu Oscarów dla tego filmu dwa trafiły do rąk aktora – za reżyserię i dla najlepszego filmu. „Wysłannik przyszłości" (1997), futurystyczny western o Ameryce wstającej z kolan po apokalipsie, był finansową klapą zmiażdżoną przez recenzentów. Ale oglądany po latach okazuje się lepszy, niż pamiętamy, choć wciąż nierówny. Było wreszcie „Bezprawie" („Open Range", 2003), świetny, mały film w duchu najlepszych klasyków ze złotej ery westernu. Dziś Costner przy okazji „Horyzontu" staje się człowiekiem orkiestrą: napisał, wyreżyserował, zagrał, wyprodukował. Z jakim skutkiem? Moim zdaniem bardzo dobrym, „Horyzont. Rozdział 1" to film niemal bezbłędny. Czy to jednak wystarcza, by ogłosić go wybitnym?

Tu mamy problem, w dodatku nietypowy. Trzygodzinna część pierwsza jest tak naprawdę preludium większej całości, bo Costner od razu obmyślał i pisał cztery filmy, jedną wielką „amerykańską sagę" (jak głosi podtytuł każdego z filmów). Reżyser opowiadał dziennikarzom w Cannes, że całość będzie liczyła łącznie ok. 13–14 godzin. W efekcie widz wychodzący z projekcji „Rozdziału 1" ma wrażenie, że zobaczył wiele, ale jeszcze nic szczególnie ważnego. Dla porównania: spróbujmy sobie wyobrazić, że „Władca Pierścieni" Petera Jacksona podzielony jest nie na trzy, lecz cztery filmy, przy czym pierwsza część kończy się w chwili, kiedy Drużyna Pierścienia wkracza do Morii. Widzimy już, że rzecz warta jest oglądania, poznaliśmy główne osoby dramatu, wiemy, że nadchodzą dramatyczne wydarzenia, ale wszystko to dopiero przed nami. Jak oceniać taki film?

Rację mają więc krytycy narzekający, że dzieło Costnera nie broni się jako osobna opowieść. Ale jest to ryzyko, które twórca podjął świadomie – zobaczymy, jak będzie bronił się jako część większej całości. Ja powodów do narzekań nie miałem, uważam nowy film Costnera za opowieść piękną i mądrą: prawdziwą amerykańską tragedię. Jej sedno znajdziemy w słowach płk. Houghtona, który

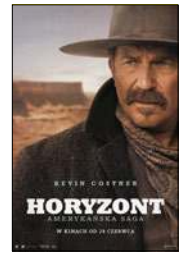


**REŻ. KEVIN COSTNER „HORYZONT" USA 2024**

przekonuje, że gdy raz wozy z osadnikami ruszą przez równiny, nie ma na świecie żadnej siły zdolnej je powstrzymać.

## CENA ZA MARZENIA

Modne jest dziś wpisywanie historii podboju Zachodu w narrację o chciwym wielkim kapitale, ale niezmierzone prerie usiane są przede wszystkim kośćmi biedaków. Porzucili nędzne bytowanie w krajach, z których przybyli, i zaryzykowali wszystko dla lepszej przyszłości. Ci ludzie nie mają nic do stracenia. Ich zderzenie z Indianami, którzy do stracenia mają wszystko, będzie nieuniknione. I oczywiście skończy się tragicznie. Cóż poza tym? W tej wojnie, jak w każdej wojnie, po obu stronach będą bohaterowie i tchórze, męczennicy i zdrajcy, niewinne ofiary i bezkarni złoczyńcy.

Tym, co różni opowieść Costnera od rozmaitych antywesternów, rewizjonistycznych opowieści unieważniających całą tradycję amerykańskiego kina spod znaku Forda i Hathawaya, jest to, że rozdzielając racje sprawiedliwie, Costner zarazem ową tradycję szanuje. Pokazywany przez niego Zachód jest oszałamiająco piękny, choć zarazem bezlitosny, skrajnie niebezpieczny. Odnajdziemy w „Horyzoncie" tego samego ducha, który tchnął w swój prequel do „Yellowstone" Taylor Sheridan. Serial „1883" był opowieścią o cenie, którą zapłacić trzeba za marzenia. I o miejscu, które – jak mówiła bohaterka serialu Elsa Dutton – jest zupełnie obcym światem, gdzie wszystko chce cię zabić: owady, zwierzęta, rośliny.

„Horyzont. Rozdział 1" to dobre kino, choć nie przynosi widzowi natychmiastowej, pełnej satysfakcji. Raczej zaostrza apetyt na więcej. Jest w nim przygoda, jest humor, jest nostalgia, jest hołd dla klasyki i jest lekcja historii mocno odległa od stereotypowych opowieści o „dzikusach", których biali musieli „cywilizować". Są romantyzm i jest okrucieństwo. Mam dziwne przeczucie, choć przecież nie widziałem jeszcze pozostałych części, że gdy ta opowieść dobiegnie końca, będziemy chcieli zmienić jej podtytuł na „Amerykańska elegia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CANAL+ ONLINE

# Wersja May

★★★★☆☆

**REŻ. EVE BRANDSTEIN, RICHARD KAUFMAN**
**„STRACONY WEEKEND: HISTORIA MIŁOSNA" („THE LOST WEEKEND: A LOVE STORY")**
**USA 2022**

W roku 1973 małżeństwo Johna Lennona i Yoko Ono legło w gruzach. John zaczął sypiać z innymi kobietami, Yoko wpadła na szatański pomysł: skoro już ma ją zdradzać, to niech robi to z kimś zaufanym. Zaproponowała więc, by czynił to z May Pang, ich młodziutką asystentką i początkującą producentką. Udało się aż za dobrze – John i May zakochali się w sobie, uciekli do Los Angeles i tak zaczął się półtoraroczny okres zwany „straconym weekendem", podczas którego Lennon był szczęśliwy, kreatywny jak nigdy i odbudował swoje relacje z Julianem, synem z pierwszego małżeństwa. Skończyło się, gdy Yoko podstępem odebrała May kochanka. To wersja Pang.

Kolejna opowieść budująca legendę Johna Lennona – i czarną legendę Yoko Ono – pełna jest jednak sprzeczności. Eks-Bitels używał wobec May przemocy fizycznej, pił jak smok, sięgał po inne używki. Pang wszystko to potwierdza, lecz bagatelizuje. Syndrom ofiary? Być może.

Narratorka i bohaterka filmu dokumentalnego „Stracony weekend: historia miłosna" przyznaje, że już po powrocie Lennona do Yoko utrzymywała z nim relacje natury intymnej. Mówiąc po ludzku i brutalnie, po półtora roku gwiazdor wrócił do żony, ale dalej chciał mieć kochankę. A May się na to zgadzała. – Byliśmy naprawdę zakochani – utrzymuje. Chociaż cynicy będą wątpić – tak się złożyło, że przy boku sławnej pary Pang zmieniła się z sekretarki bez doświadczenia i wykształcenia w rozpoznawalną postać show-biznesu. Robiła kampanię PR dla Boba Marleya i Roberta Palmera, wszyscy ją znali.

Jestem po stronie May – trudno było nie zatracić się w całej sytuacji, gdy pierwszy chłopak, z którym wspólnie zamieszkujesz, jest Johnem Lennonem. Sądzę, że kochała go naprawdę. I uważam, że właśnie ta miłość uczyniła ją ślepą na to, że w całej tej sytuacji nie było dobrego Johna i złej Yoko: oboje przekroczyli granice, a Pang była ich ofiarą.

Nie pierwszy to raz, kiedy gwiazdy popkultury przyznają sobie specjalne prawa – zwykli ludzie to dla nich zabawki albo podnóżki. Nie pierwszy to raz, kiedy ofiara zaślepiona blaskiem gwiazd nie widzi w pełni swej krzywdy. Po obejrzeniu „Straconego weekendu" łatwo współczuć May (i Julianowi Lennonowi, dla którego była trochę zastępczą matką). Ale ani dla Johna, ani dla Yoko nie znajduję taryfy ulgowej. ©℗

**NOWE SERIALE: „AKOLITA"**

Disney+

Sto lat przed powstaniem Imperium tajemnicza zabójczyni bierze na cel czterech rycerzy Jedi. Nowa miniseria z uniwersum „Star Wars" wygląda bogato, ale dialogi są równie drewniane, jak w niedawnej serii „Ahsoka". Postępuje azjatyzacja franczyzy – oprócz mieczy świetlnych liczą się nagle wschodnie sztuki walki. A główne bohaterki mają dwie mamusie. Aż strach myśleć, co dalej. ©℗

***Piotr Gociek***

• ***miniseria „Akolita" („The Acolyte"), USA 2024***

**NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:**

• *sezon 1* ***„Snoopy na obozie" („Camp Snoopy")****, USA 2024* — tv+

• *sezon 1* ***„Moja Lady Jane" („My Lady Jane")****, Wielka Brytania 2024* — prime video

• *sezon 10B* ***„Psi patrol" („PAW Patrol")****, Kanada 2024* — sky SHOWTIME



eprasa.pl 669016c73d

# Dywan jak narkotyk

HBO max

Wszystko było dopięte na ostatni guzik, ale Hitler napadł na Polskę. Fetę trzeba było odwołać. Odbył się jedynie pokaz „Dzwonnika z Notre Dame". Dopiero siedem lat po tym falstarcie na Lazurowe Wybrzeże ponownie zjechały gwiazdy kina i Cannes mogło skutecznie rywalizować z festiwalem w Wenecji, któremu przypięto łatkę „faszystowskiego". Dawna wioska rybacka przepoczwarzyła się w zatłoczony kurort, filmowców i filmolubów z całego świata zaś jął nękać koszmar o brutalnych (choć wygarniturowanych) osiłkach zabraniających im wstępu na czerwony dywan. O zgrozo, dla wielu ów sen stał się rzeczywistością.

Dokument, obiecujący zajrzeć za kulisy imprezy – którą Francuzi uważają za kolejny dowód swego geniuszu – spełnia tę zapowiedź połowicznie. Po dynamicznym wstępie grzęźnie w kronikarskiej rutynie, odhacza kolejne wzloty, upadki, kontrowersje i skandale. Historie Larsa von Triera, który z ulubieńca stał się „neonazistą", czy Harveya Weinsteina polującego na aktorki są pozbawione puenty. Brytyjczycy wolą bon moty w stylu: „Cannes to wzniosłość i śmieszność, sztuka wysoka i wciskanie tandety". Dodałbym do tego wszechogarniający snobizm tudzież hipokryzję, która każe nazywać festiwal „spotkaniem przyjaciół". Pozostaje ufać, że rywalizacja o sławę i pieniądze owej przyjaźni nie nadwątlą. © ℗

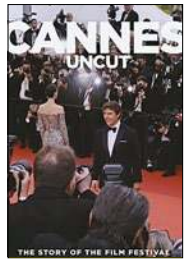


★★★☆☆☆
**REŻ. RICHARD BLANSHARD, ROGER PENNY**
**„CANNES BEZ TAJEMNIC"**
**WIELKA BRYTANIA 2023**

***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

# PAN Z PROBLEMAMI

KINO

Komedia romantyczna kontra melodramat. Ta wojna trwa od wieków i niech nas nie zwiodą triumfy „Pretty Woman" czy trylogii o Bridget Jones. Opowieści o złamanych sercach pań, które źle ulokowały swe uczucia i wpadły w szpony wyrośniętych Piotrusiów Panów albo zwykłych psychopatów, nadal mają wzięcie. Nad Sekwaną furorę zrobiła powieść Erica Reinhardta „Miłość i lasy" reklamowana jako „portret kobiety zatraconej w namiętności". Autor, tęgi stylista, odwołuje się do klasyki – zwłaszcza Flauberta. Wersja ekranowa jest mniej dołująca, lecz niespójna. Uciekając od konwencji thrillera, wpada w objęcia dydaktyzmu. Mężczyzna idealny: czuły i namiętny, z czasem odsłania swoją drugą (prawdziwą) naturę zaborczego tyrana. Zdumiewa łatwość, z którą manipuluje dojrzałą, inteligentną i pracującą kobietą. Aleksander Fredro miał jednak rację – miłość jest jak ospa. Lepiej przejść ją w wieku nastoletnim. © ℗

★★★☆☆☆
**REŻ. VALÉRIE DONZELLI**
**„TYLKO MY DWOJE"**
**(„L'AMOUR ET LES FORÊTS")**
**FRANCJA 2023**

wyst. Virginie Efira, Melvil Poupaud, Virginie Ledoyen

# MOGŁEM BYĆ KIMŚ

Rakuten

„To dobry chłopak, tylko dziewczyna i ksiądz namieszali mu w głowie". Takim exposé próbuje ratować brata niedoszły prawnik, wysługujący się nowojorskiej mafii. Marlon Brando wybitnym aktorem był. A kto wątpi, niech obejrzy film Elii Kazana, który zadebiutował na ekranach równo 70 lat temu. Trajektorie karier obu panów przecięły się w najlepszym z możliwych momentów. Ekranizacja „Tramwaju zwanego pożądaniem" i biografia rewolucjonisty Emiliana Zapaty zwiastowały narodziny gwiazdy. Nos, złamany w bezsensownej bójce, dodał anielskiej facjacie Marlona wyrazu, czyniąc go idealnym odtwórcą roli eksboksera, pragnącego przejść na jasną stronę mocy. Scena rozmowy braci Malloy to himalaje aktorstwa, sukces przypieczętowało osiem Oscarów. Były też skutki uboczne. Kilku bystrzaków z Hollywood zauważyło, że publiczność uwielbia, gdy Brando jest bity i poniewierany. © ℗

★★★★★☆
**REŻ. ELIA KAZAN**
**„NA NABRZEŻACH"**
**(„ON THE WATERFRONT")**
**USA 1954**

wyst. Marlon Brando, Lee J. Cobb, Karl Malden

***Wiesław Chełminiak***

**GRA TYGODNIA: „INDIKA"**

Twórcy gry przenieśli się z Rosji do Kazachstanu. Głośno krytykują swoją ojczyznę za napaść na Ukrainę. Krytyki nie szczędzą Rosji także w swoim dziele, choć ostrze w grze „Indika" jest skierowane głównie w kierunku Kościoła prawosławnego i religii. Wcielamy się w tytułową postać, którą jest zakonnica żyjąca w XIX w. Młoda kobieta opuszcza mury monastyru, by odbyć przedziwną podróż, w której towarzyszyć jej będzie sam diabeł. Krótka gra-opowieść, inna i bardzo klimatyczna. Momentami irytująca, ale wyróżniająca się na tle dzisiejszych tytułów, a przez to ciekawa. © ℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *przygodowa, TPP*
- ***Platforma:*** *PC, PS5, XSX*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Odd Meter; 11 bit studios*



eprasa.pl 669016c73d

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

# Fajna książka

Dużo czytelniczej radości sprawił odbiorcom swej nowej powieści Marek Stokowski, autor dobrze przyjętych swego czasu „Samo-lotów". Nawiązuje do nich teraz, nie tylko tytułem, „Lotnicho", opowieść – jak dowiadujemy się z okładki książki – „o wędrowaniu, miłości i przyjaźni". I o wielu innych sprawach, także tych najważniejszych, o których zwykliśmy pisać wyłącznie dużymi literami, a o których Stokowski potrafi mówić bez nadmiernego zadęcia, za to z niezbędnym szacunkiem, a bywa, że i z czułością.

Ta historia z lat 70. jest fikcyjna, ale dobrze osadzona w realiach, co mogą zweryfikować pamiętający lata 70. XX w., kiedy to – jak twierdzili gierkowscy propagandziści – budowaliśmy drugą Polskę. Naprawdę jednak wyglądało to tak, jak bohaterom powieści, warszawskim licealistom, tłumaczyli robotnicy z elbląskiego Zamechu, wyjaśniając, że Ruscy biorą produkowane przez nich turbiny „praktycznie za friko, a w zamian ze Śląska dostarczają im darmowy węgiel". „– Może tam, w Warszawie, macie lepiej – słyszą od nich – tam, bliżej koryta, ale tutaj prości ludzie żyją marnie, pomiatani, bez szacunku, jak w klatce dla szczurów, tylko że się boją podskakiwać. Jeden boi się drugiego, a wszyscy się boją, że znowu nam zrobią. Jak zrobili wtedy w grudniu. Chyba wiecie, co to było?". Wiedzieli, ale nie za bardzo. Przykra sprawa i po to była im potrzebna opisana w powieści wyprawa, by poduczyć się znajomości Polski. I nauczyli się jej.

Przekonali się, jak ważna jest historia, zwłaszcza ta niedawna. O której dowiadują się m.in. od poznanego nieco przypadkiem pana Adama Napierskiego, genialnego mechanika i lotnika pasjonata. W czasie wojny po internowaniu w Rumunii przedostał się do Francji, gdzie raz na zawsze wyleczył się z miłości do Zachodu.

„Traktowano nas we Francji, nas, Polaków, no, potwornie – opowiadał bohaterom »Lotnicha« – tak jak gdyby właśnie Polska wywołała całą wojnę i zburzyła święty spokój. Francuzi przyjęli nas z łaski. Nasza pasja i chęć walki najwyraźniej ich irytowały. Robili grymasy. Sami raczej udawali, że walczą z Niemcami. Zamiast cenić naszą pomoc, naszą krew, profesjonalizm, wciąż okazywali nam pogardę. Spaliśmy nierzadko na gołej podłodze i jedliśmy jakieś resztki. Musieliśmy nieraz płacić za kąpiel w łazience. No a kiedy Francja upadła, utrudniano nam ewakuację [...]. To polskie zapatrzenie na zachodnią Europę jest nie tylko bardzo głupie, ale także niebezpieczne. Dziś także to widać. Oczywiście, ja rozumiem, że poniewierani przez Sowietów, marzymy o szczęściu, które ponoć kwitnie na Zachodzie, i marzymy o pomocy, która stamtąd miałaby tu nadejść, ja bym jednak was przestrzegał przed bezwarunkowym uwielbieniem i zbytnimi nadziejami wiązanymi z tamtym światem. Nie warto za bardzo się łudzić".

„Poczułem – opowiada prowadzący narrację Arek – jak gdyby ość wielkiego białoryba stanęła mi w gardle". Ich życie wydawało się wcześniej wegetacją w komunistycznym baraku, urozmaicane jedynie specyfiką liceum usytuowanego w pobliżu lotniska na Okęciu. „Gustaw Husak z delegacją odwiedził nas w kwietniu – czytamy. – W czerwcu witaliśmy na lotnisku towarzysza Honeckera, który był przywódcą dobrych Niemiec. Kiedy ktoś przyjeżdżał ze złych Niemiec, nie wozili nas na powitanie i mieliśmy wtedy lekcje". Raz jednak przyjechać miał premier Wielkiej Brytanii z małżonką – poetką (żona Haralda Wilsona, Gladys Mary z domu Baldwin, rzeczywiście pisała wiersze) i czworo bohaterów „Lotnicha" zaimponowała dostojnym gościom nie tylko znajomością angielskiego, lecz także poezji Lady Wilson. A jak jeszcze premier brytyjski dowiedział się, że jedna z dziewcząt wręczających kwiaty w rodzinie miała por. Stanisława Pankiewicza, bohatera wojny o Anglię, który osiem razy zestrzelił Niemców nad Kanałem, nim sam zginął, Kawalera Orderu Virtuti Militari, czterokrotnie odznaczonego Krzyżem Walecznych, rozkrochmalił się zupełnie. W nagrodę za tak godne zaprezentowanie się delegacji z Zachodu komuchy zafundowały młodzieży podniebny lot, który nieoczekiwanie przekształcił się w wielodniową wyprawę, w toku której nauczyli się więcej niż przez lata szkolnej edukacji. Przy okazji poznając siłę przyjaźni i rodzącej się miłości, moc wiary i przekonanie, że warto i trzeba działać dla dobra innych, bo pomagamy i im, i sobie samym.

„Lotnicho" to też, a może przede wszystkim hymn na cześć młodości. Gdy bohaterowie powieści zamartwiają się, że są tak byle jacy w porównaniu ze swoimi bohaterskimi poprzednikami, choćby tymi z powstania warszawskiego, znajdują pocieszenie w mądrych słowach: „Jesteście podobni, naprawdę. Tak jak oni – roześmiani, pełni pasji [...] w waszych dyskusjach, na pozór zwyczajni, a zarazem niezwyczajni, głodni prawdy i pozwolę sobie rzec, wolności. A poza tym dobrze widzę, nawet bez pomocy okularów, jak świecicie mocnym światłem [...]. A tamci? Też zapewne uważali, że są raczej dość przeciętni, ot, banda smarkaczy". ©℗

★★★★★

**MAREK STOKOWSKI „LOTNICHO" LIRA, WARSZAWA 2024**



eprasa.pl 669016c73d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Pałac snów

Szalona opowieść. Ale dlaczego i w ten sposób nie opowiadać o polskich snach i traumach? Rozdział pierwszy: w alternatywnym uniwersum bezpieczeństwa Rzeczypospolitej strzeże superbohater Grom, który toczy nieustanne boje z arcyłotrem Prymatem. Co ich łączy? W tle Pałac Saski jako nowoczesna stacja przesyłu sygnału telewizyjnego i centrum kontroli lotów – dzięki wysiłkowi lwowskich matematyków Polacy właśnie wysyłają rakietę na orbitę.

Rozdział drugi: jeden z podchorążych, którzy za Piotrem Wysockim ruszyli, by walczyć z rosyjskim zaborcą, decyduje się na przerażający krok. Skoro nie da się wroga pokonać tradycyjnymi metodami, to zwraca się ku litewskiej magii. „Skoro nie mogę być Polakiem, nie chcę być człowiekiem" – oznajmia. Zatem tym razem „zemsta, zemsta na wroga / z Bogiem lub mimo Boga", choć tej części opowieści patronuje akurat cytat ze Słowackiego, nie z Mickiewicza. W tle milczący świadek przemiany: Pałac Saski.

Wreszcie rozdział trzeci – zbuntowana licealistka wprost z ulic Warszawy żyjącej transformacją ustrojową (pensje płaci się w milionach, kwitnie czarny rynek kaset magnetofonowych) trafia w środek koszmarnej kosmicznej intrygi jak z horrorów Lovecrafta. Pałac Saski zmienia swój wygląd, okazuje się jednocześnie osią wydarzeń łączącą alternatywne rzeczywistości lub po prostu marzenia i koszmary Polaków. Tu z kolei scenarzysta (wszystkie historie napisał Tobiasz Piątkowski) cytuje powieść Janusza Zajdla „Wyjście z cienia". I pojawia się wyraźna sugestia, że wszystkie plany łączą się ze sobą w większą opowieść, a ciąg dalszy nastąpi. Szczerze? Nie mogę się doczekać.

Album komiksowy „Pałac wszystkich przyszłości" powstał jako element kampanii promującej odbudowę Pałacu Saskiego, znajdziemy tu i szkic historyczny dr. Przemysława Delesa, i zdjęcia archiwalne, i wizualizację pałacu odtwarzanego wraz z całą zachodnią pierzeją placu Piłsudskiego.

I tu kłopot: Czy nowy Pałac Saski rzeczywiście powstanie? Czy też, cytując Barejowskiego „Misia", „to, co dookoła powstaje, od nowa, to jest nasza codzienność, w której my żyjemy", a ta codzienność to wściekła nienawiść nowej władzy do wszystkich projektów polityki historycznej PiS?

Oby nie okazało się za chwilę, że powrót perły warszawskiej architektury na mapę stolicy to taka sama fantazja jak lovecraftowska inwazja z kosmosu. ©℗

★★★★☆☆

**AUTORZY RÓŻNI**
**„PAŁAC WSZYSTKICH PRZYSZŁOŚCI"**
**STORY HOUSE EGMONT**
**PAŁAC SASKI 2024**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Przedwojenny oficerski honor, hitlerowskie katownie, gomułkowska odwilż. Mistrz polskiego kryminału zręcznie prowadzi intrygę łączącą czasy II RP i PRL, a komisarz Edward „Łyssy" Popielski – cóż, powraca.

**MAREK KRAJEWSKI**
**„SŁOWO HONORU"**
**ZNAK**

Jak Zachód zbudował fałszywy obraz Bliskiego Wschodu (i nie tylko) czy też – jak kiedyś pisano – egzotycznego Orientu. Jedna z najważniejszych książek dekonstruujących kolonializm.

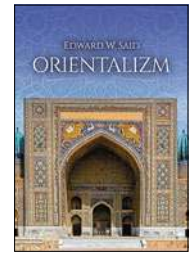


**EDWARD W. SAID**
**„ORIENTALIZM"**
**ZYSK I S-KA**

Zwykłe bloki z lat 70. i zwykła dla takich miejsc mieszanka ludzkich losów. Aż dwie dekady później przychodzi wojna. I nostalgia ustępuje kronice zbrodni wojennych w Bośni. Oszczędna, mądra, poruszająca proza.

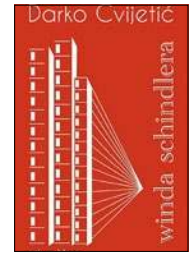


**DARKO CVIJETIĆ**
**„WINDA SCHINDLERA"**
**NOIR SUR BLANC**

Ludzkość zbudowała gwiezdne imperium. Bez przeszkód. Do chwili, kiedy młody komandor Blaine nie natknie się na statek obcej cywilizacji. Klasyczna powieść SF pojawia się w Polsce pół wieku po wydaniu oryginalnym (1974).

***recenzuje Piotr Gociek***

**LARRY NIVEN, JERRY POURNELLE**
**„PYŁEK W OKU BOGA"**
**VESPER**

**KOMIKS TYGODNIA:**
**„MIASTO"**

Metropolia jako koszmar – ulice wielkiego miasta, które zwykle przemierza bohater tej opowieści, okazują się nagle krainą fantastyczną – częścią ponurego świata pełnego życiowych rozbitków, nędzy, przemocy, baśniowych stworów i cudzych bohaterów literackich.

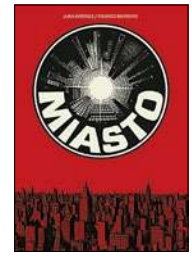


**RICARDO BARREIRO, JUAN GIMÉNEZ**
**„MIASTO"**
**LOST IN TIME 2024**

Oniryczna, surrealistyczna i bardzo sugestywna opowieść.

***Piotr Gociek***



eprasa.pl 669016c73d

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

# Hasior. Trwałość przeżycia

Wystawa prac Władysława Hasiora – „klasyka współczesności, awangardowego, ale nie elitarnego", jak podkreślają kuratorzy – na Zamku Królewskim w Warszawie gromadzi najznakomitsze spośród dostępnych dzieł artysty. Sprowadzono je z kolekcji muzealnych i prywatnych. Selekcjonując je tak, aby pokazać jak najszersze spektrum poszukiwań artystycznych Hasiora. „Pokoleniowe traumy (wojenne i nie tylko), mechanizmy społecznej opresji, relacje pomiędzy człowiekiem i przyrodą, jednostką a zbiorowością, sacrum i profanum, tym, co uniwersalne i trwałe, a tym, co lokalne i przemijające – wszystkie te wątki znajdują odzwierciedlenie w doborze prac, tworząc fascynujący i głęboki dyskurs nad kondycją ludzką, pełen odwołań do najważniejszych tekstów kultury" – piszą autorzy.

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Wystawa wpisuje się w obchody jubileuszu 50-lecia odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. To oczywiste nawiązanie do ekspozycji sprzed pół wieku, kiedy to także w zamkowych (wtedy jeszcze surowych) murach pokazywano prace Władysława Hasiora. ©℗

**GDZIE?** ***Zamek Królewski w Warszawie***
**KIEDY?** ***do 8 września***

FOT. CENTRALNE MUZEUM WŁÓKIENNICTWA W ŁODZI

## WEREMCZUK, CZYLI ARKADIUS

Z Polski wyszło kilka osób, które zapisały się w dziejach europejskiej mody. Jest wśród nich tylko jeden projektant, któremu udało się założyć i z powodzeniem rozsławić własną markę. To urodzony w 1969 r., pochodzący z województwa lubelskiego Arkadiusz Weremczuk. Dał się poznać światu jako Arkadius. „Arkadius. Wielkie namiętności. Konfrontacje" jest pierwszą na świecie wystawą prezentującą historię twórczości projektanta. ©℗

**GDZIE?** ***Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi***
**KIEDY?** ***do 27 lipca 2025 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

# Gdy Skrzydła niosły wysoko

W listopadzie 1973 r. grupa Paula McCartneya, Wings, wydała album „Band on the Run", który stał się największym solowym sukcesem byłego Bitelsa. Kiedy w sierpniu 1974 r. płyta była na szczycie brytyjskiej listy, i to przez siedem tygodni, muzyk postanowił zrealizować film dokumentalny o swoim zespole.

Zespół Wings, którego członkami byli Paul i Linda McCartney oraz gitarzysta Denny Laine, został rozszerzony o gitarzystę Jimmy'ego McCullocha i perkusistę Geoffa Brittona. W studiach Abbey Road, w ciągu czterech dni, zarejestrowano występy grupy na żywo oraz rozmowy z muzykami. Niestety, film został odłożony na półkę. „One Hand Clapping" wydano na DVD dopiero w 2010 r., album muzyczny czekał na ujawnienie kolejne 14 lat.

Na wydanym właśnie dwupłytowym albumie usłyszymy 26 piosenek. „One Hand Clapping" jest mniej wypolerowanym i bardziej spontanicznym albumem niż koncertowy „Wings over America", z 1976 r. Luźny nastrój koncertu tworzy McCartney, przeplatając utwory swojego zespołu i Beatlesów wodewilowymi i countrowymi piosenkami. Podczas czterodniowej sesji zarejestrowano również utwór „I'll Give You a Ring", który pojawi się na płycie McCartneya dopiero osiem lat później. Muzycy nie udają, czasem się mylą i dzięki temu emanuje z tych nagrań autentyczna radość z grania na scenie. ©℗

★★★★☆
**PAUL MCCARTNEY & WINGS**
**„ONE HAND CLAPPING"**
**CAPITOL**

★★★★★☆
**KAMASI WASHINGTON**
**„FEARLESS MOVEMENT"**
**YOUNG**

Lider renesansu spiritual jazzu tym razem zrezygnował z chóru i orkiestry. Głównym tematem albumu jest taniec jako motor ludzkiego ruchu. To najbardziej spójny album Kamasiego. Pełen dźwiękowych eksperymentów, a także będący hołdem dla muzycznych przodków. ©℗

★★★★★☆
**ZDZISŁAW SZOSTAK**
**„POKUSA"**
**GAD**

Ten wybitny filharmonik współpracował w latach 1963–1974 z Wytwórnią Filmów Oświatowych. Pisząc muzykę do dokumentów o malarzach, rzeźbiarzach czy dzieciach, tworzył awangardowe kompozycje, które do dziś zapierają dech w piersiach. Znakomite. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

„Czego nie widać" to opowieść o zbieraninie aktorów, którzy dla zarobku wystawiają szmirę FOT. DAWID STUBE

# Śmiech oczyszczający

*Grzegorz Kondrasiuk*

**„Czego nie widać" jest bodaj najlepszą w ogóle sztuką opartą na motywie teatru w teatrze, wytrzymującą konkurencję nawet i z Szekspirem**

Warszawski teatr Komedia przechodzi ostatnio tzw. rebranding, próbując nieco uszlachetnić rozrywkowy teatralny standard. Obecnie opiera się on na dwóch filarach. Po pierwsze, od wieków stara sprawdzona farsa, z obowiązkowym „pieprzykiem". Po drugie, i to jest pewna nowość jak na normy wielowiekowej instytucji, stand-up lub jego elementy w wersji teatralizowanej. Oba te formaty nie należą, eufemistycznie mówiąc, do szczególnie wyrafinowanych. Stąd poszukiwania rozwiązań pośrednich, a wśród nich – całkiem niezły, bo sprawdzony pomysł sięgnięcia po najlepszą literaturę komediową.

I taka zapewne myśl przyświecała nowej dyrekcji teatru Komedia, która skorzystała z evergreena w postaci słynnej sztuki Michaela Frayna „Czego nie widać". Rzecz na poziomie scenariusza jest tak dobrze wymyślona i napisana, że zawsze zastanawiam się, co właściwie na afiszu robi tu reżyser. W tym przypadku pierwszorzędny – Piotr Cieplak, dla którego był to chwilowy odpoczynek od Słowackich, Szekspirów i – ostatnio w Teatrze Narodowym – Beckettów.

Ta trzyczęściowa sztuka opiera się na genialnym w swej prostocie pomyśle: oto dość przypadkowa zbieranina aktorów dla zarobku wystawia szmirowate sztuczydło komediowe. Pierwsza część to próba generalna, druga – jeden ze spektakli kończących tournée, trzecia – spektakl ostatni. Nie byłoby z tego jeszcze sprawy, gdyby nie sprawki rozgrywające się za kulisami, które – jak to często w teatrze bywa – są znacznie ciekawsze od wydarzeń scenicznych. I tak obserwujemy, a właściwie podglądamy, jak się robi podrzędny teatr – najpierw od frontu, a potem z odwróconej perspektywy, na tle tyłu dekoracji. A ponieważ każdy z tej trupy dźwiga swój mały, groteskowy tragizm, ujawniający się w trakcie objazdu po prowincji serią konfliktów, kłamstw, zdrad i alkoholowych ekscesów, obserwujemy świetnie napisany, za pomocą dialogów i didaskaliów, rozpad spektaklu, na granicy absolutnej kompromitacji i żenady, wraz z rozpaczliwymi próbami ratowania tej katastrofy.

„Czego nie widać" jest bodaj najlepszą w ogóle sztuką opartą na motywie teatru w teatrze, wytrzymującą konkurencję nawet i z Szekspirem, a komediowa forma zdradziecko przykrywa bardzo poważne treści, łącznie z radykalnym poczuciem absurdu życia, na której to filozofii zdaje się jest oparta. A przy tym jest zabójczo śmieszna. Stąd właśnie wątpliwości, czy reżyser ze swoimi dodatkowymi inscenizacyjnymi sztuczkami i subiektywnymi pomysłami jest tutaj w ogóle potrzebny.

Tym razem zostały rozwiane, ponieważ zabawki reżyserskie, destrukcyjne dla wymowy tekstu, nie zostały tu nadużyte. Do niesamowitego w swojej kulminacyjnej, boskiej głupocie finału Cieplak – za pomocą delikatnych akcentów w obrazku scenicznym – dodał kilka egzystencjalnych pytań. I to wystarcza. A wcześniej całe sceniczne terytorium zostało oddane – tak jak powinno być – aktorom. Dobrze zrobiona obsada (którą należałoby w tym miejscu wymienić w całości) szarżuje i pastiszuje dokładnie tak, jak tutaj szarżować trzeba, i jest tak jak trzeba szamocząca się, nieporadna, żałosna i godna współczucia na bazowym, ogólnoludzkim poziomie.

Juliusz Osterwa wyliczył kiedyś kilkanaście rodzajów śmiechu na widowni, a wśród nich śmiech serdeczny i oczyszczający oraz rechot. Właśnie rechotu w tym przypadku na wypełnionej po brzegu widowni teatru Komedia nie słyszałem. ©®

**MICHAEL FRAYN**
**„CZEGO NIE WIDAĆ"**
**TEATR KOMEDIA W WARSZAWIE**
**REŻYSERIA: PIOTR CIEPLAK**
**PREMIERA: 23 LUTEGO 2024 R.**



eprasa.pl 669016c73d

Trzydziestoletnia Lauren Handy (w środku) najbliższe pięć lat spędzi w więzieniu federalnym dla kobiet. Tu na proteście pod Sądem Najwyższym

FOT. CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

# Cela dla pro-lifera

*Piotr Włoczyk*

**Grupa amerykańskich pro-liferów usłyszała drakońskie wyroki więzienia za protest w klinice aborcyjnej. Czy tak ostre kary odstraszą innych działaczy ruchu pro-life?**

Dwadzieścia jeden tygodni i jeden dzień. Czyli 148 dni – tyle przeżył w brzuchu swojej mamy Curtis Zy-Keith Means, zanim przyszedł na świat w 2020 r. w Alabamie. Chłopczyk znany jest jako „najmłodszy" znany wcześniak. To, że przeżył, to istny cud. Dość często zdarza się jednak, że medycyna jest w stanie uratować wcześniaki niewiele starsze od Curtisa. W dzisiejszych czasach, w krajach rozwiniętych, narodziny w 23. tygodniu ciąży w ok. 50 proc. przypadków kończą się pomyślnie dla dziecka. Oczywiście jeżeli personel medyczny chce uratować noworodka.

O takim podejściu nie ma mowy w waszyngtońskiej Surgi-Clinic. W jej ofercie są bowiem aborcje na życzenie aż do 27. tygodnia ciąży, czyli do końca drugiego trymestru („książkowa" ciąża trwa 40 tygodni). To, co dzieje się w murach tej kliniki aborcyjnej, od lat prowokowało amerykańskich pro-liferów do ostrych protestów. Jeden z nich miał w maju swój głośny finał przed waszyngtońskim sądem.

Trzydziestoletnia Lauren Handy najbliższe pięć lat spędzi w więzieniu federalnym dla kobiet. Sąd uznał, że pogwałciła ona Freedom of Access to Clinic Entrances Act (tzw. FACE Act – Ustawa o wolności dostępu do wejść do klinik), uniemożliwiając Surgi-Clinic normalne funkcjonowanie.

Sprawa dotyczy zorganizowanego przez nią w październiku 2020 r. strajku okupacyjnego w klinice aborcyjnej. Dziesięciu pro-liferów weszło wówczas do środka i zabarykadowało się na kilka godzin, uniemożliwiając czasowo przeprowadzanie aborcji. Protest był pokojowy, nikt nikomu nie groził bronią (jedyną poszkodowaną była pracownica kliniki, która w trakcie zamieszania w poczekalni skręciła sobie kostkę), jednak sąd federalny nie miał litości dla dziesiątki pro-liferów, skazując wszystkich na kilkuletnie wyroki. Wśród wysłanych za kratki były trzy kobiety w wieku 74, 75 i 76 lat, które mają odsiedzieć w więzieniu 24–27 miesięcy.

## NAWET NIELEGALNY KARABIN JEST MNIEJSZYM PROBLEMEM

Środowiska konserwatywne przyjęły wyroki z oburzeniem, przekonując, że



eprasa.pl 669016c73d

były one drakońskie i zupełnie niewspółmierne do winy. Nikt bowiem nie twierdzi, że pro-liferzy nie złamali prawa – uchwalona przez Kongres jeszcze w 1994 r. „FACE Act" faktycznie zabrania organizowania protestów w klinikach i uniemożliwiania im funkcjonowania, ale w tym konkretnym przypadku zastosowano kary, które przewidziane są dla brutalnych napaści.

Prokurator starał się przedstawić główną oskarżoną jako nienawistną ekstremistkę, argumentując przed sądem, że jej „zachowanie pokazuje rażące nieliczenie się z prawami reprodukcyjnymi kobiet i brakiem troski o dobro pacjentów". I udało mu się to wyśmienicie – ława przysięgłych i sędzia, który wyznacza wysokość kary, potraktowali Handy jak groźnego bandytę.

W reakcji na te wyroki konserwatyści przywoływali kolejne skandalicznie niskie kary dla sprawców przestępstw dokonywanych w 2020 r. w trakcie protestów organizowanych pod flagą Black Lives Matter.

I tak Anthony Smith, znany filadelfijski aktywista BLM, który w trakcie tamtych zamieszek pomógł przewrócić i podpalić auto policyjne, usłyszał wyrok jednego roku więzienia, natomiast Chisom Kingston i Natalia Hanna White za podpalenie mieszczącej się w Atlancie restauracji Wendy's zostali ukarani grzywnami w wysokości… 500 dol. i 150 godzinami prac społecznych. Żadne z nich nie spędzi za to ani dnia za kratkami! Takich przedziwnych finałów procesów uczestników zamieszek z 2020 r. jest dużo więcej, przez co prawa strona amerykańskiej sceny politycznej podnosi, że prokuratorzy i sędziowie sympatyzujący z Partią Demokratyczną są w stanie bardzo wiele wybaczyć lewicowym aktywistom walczącym o realizację swoich postulatów, nawet jeżeli uciekają się oni do przemocy.

Wyroki, które usłyszała dziesiątka pro-liferów pod wodzą Lauren Handy, kontrastują też mocno z karami, które bardzo progresywny system wymiaru sprawiedliwości amerykańskiego dystryktu federalnego wymierza przestępcom należącym do grup specjalnie chronionych. I tak niedługo przed finałem sprawy Handy Russel Campbell, 21-letni raper z Waszyngtonu z kryminalną przeszłością, został skazany na 2,5 roku więzienia za nielegalne posiadanie pistoletu i karabinu. Broń została wykryta podczas kontroli drogowej. Przypomnijmy: Lauren Handy za zorganizowanie protestu w klinice aborcyjnej usłyszała dwa razy dłuższy wyrok…

Pro-liferka mówiła w trakcie procesu, że w 2013 r. po raz pierwszy zainteresowała się tym, co dzieje się w murach Surgi-Clinic. Stało się tak za sprawą publikacji wstrząsających filmów nagranych ukrytą kamerą przez działaczki organizacji Live Action. Kobiety udawały potencjalne pacjentki i wypytywały pracowników klinik aborcyjnych na temat stosowanych tam procedur. Jednym z nagranych lekarzy był dr Cesare Santangelo z Surgi-Clinic. W rozmowie z działaczką Live Action, która była wówczas w 24. tygodniu ciąży i udawała, że jest zainteresowana dokonaniem późnej aborcji, ginekolog wypowiedział szokujące słowa. Na pytanie kobiety, co by się stało, gdyby jednak aborcja nie poszła zgodnie z planem i dziecko urodziłoby się żywe, dr Santangelo odpowiedział: „To znaczy pod kątem formalnym, wie pani, zgodnie z prawem musielibyśmy mu pomóc przeżyć. Ale najpewniej nie dałoby rady. Wszystko zależy przecież od tego, jak bardzo człowiek stara się pomóc płodowi przeżyć".

W dalszej części wypowiedzi lekarz był już bardziej konkretny: „Przychodzi tu pani dla pewnej procedury. I jeżeli zaczęłaby się akcja porodowa i pękłyby błony płodowe, i urodziłaby pani, zanim doszlibyśmy do momentu wykonywania terminacji, wtedy, wie pani, nie pomoglibyśmy mu". Sęk w tym, że w USA prawo federalne nakłada na personel medyczny obowiązek ratowania dziecka, nawet jeżeli do porodu dojdzie w klinice aborcyjnej w wyniku „spartaczonej" aborcji.

Sędzia prowadzący proces Lauren Handy nie dopuścił jednak tego dowodu, stwierdzając, że nagranie rozmowy z dr Santangelo to „propaganda".

– Przemysł aborcyjny to trudny przeciwnik, dysponujący ogromnymi pieniędzmi, który ponadto ma potężnych sojuszników wśród polityków. Nawet odrażające przykłady łamania prawa, które wielokrotnie dokumentowaliśmy, kończyły się zazwyczaj na zamiataniu wszystkiego pod dywan. Co najwyżej wyrzucano pracowników, których złapaliśmy na gorącym uczynku – powiedziała w rozmowie z „Do Rzeczy" Lila Rose, szefowa Live Action.

## PIĘĆ PŁODÓW

Część mainstreamowych mediów z USA, opisując proces „Dziesiątki" z Surgi-Clinic, zaczynało teksty od podania suchej, szokującej informacji, że w domu Lauren Handy służby odnalazły szczątki pięciu płodów. Czytelnicy mogli mieć w związku z tym wrażenie, że jest to niezrównoważona dewotka, która kolekcjonuje ludzkie płody. W rzeczywistości jednak szczątki te zostały znalezione przez Handy w śmietniku przy klinice aborcyjnej. Ich stan wskazywał, że nienarodzone dzieci zostały zabite w trakcie bardzo późnych aborcji wykonywanych za pomocą zakazanej od 2003 r. przez prawo federalne „aborcji przez częściowe urodzenie" (polega ona na wyciągnięciu przez kanał rodny całego ciała dziecka poza głową – w ten sposób pod względem formalnym nie można mówić o narodzeniu – a następnie wydłubaniu mózgu i wyciągnięciu zapadniętej, pustej czaszki na zewnątrz).

Republikańscy kongresmeni wezwali władze Dystryktu Federalnego (DC) do zbadania, czy pięć płodów nie zostało zabitych z pogwałceniem prawa federalnego. „Departament Sprawiedliwości pod kierownictwem Bidena bierze na celownik pokojowo protestujących Amerykanów, ale chce zamieść pod dywan możliwe łamanie prawa w DC (zabijanie wcześniaków)" – napisał kongresmen Chip Roy z Teksasu przy okazji ogłoszenia wyroku w sprawie Lauren Handy.

Tak ostre wyroki mają ewidentnie odstraszyć wszystkich innych pro-liferów od zdecydowanego sprzeciwiania się działalności przemysłu aborcyjnego. Wypowiedzi skazańców z Surgi-Clinic wskazują jednak, że więzienie nie ostudzi w nich zapału do walki o życie.

Z odsiadującą dwuletni wyrok 74-letnią Jean Marshall rozmawiał reporter Catholic News Agency. „Gdy chce się uratować życie dziecka, nie myślimy: »Oj, co będzie, jeśli coś mi się stanie?«. O tym się nie myśli. To jest po prostu właściwa rzecz i właściwy czas, żeby to zrobić. Tak po prostu jest" – powiedziała prostymi słowami jedna z „Dziesiątki" skazanych za protest w Surgi-Clinic.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

POLEMIKA

# Dylemat jądrowy

Piotr Ciompa

**Polska w sprawie SMR-ów nie musi podejmować szybko nieprzemyślanych decyzji. Czy chcemy zgodzić się na technologię, która nie zeszła jeszcze z desek kreślarskich?**

Odpowiedź Jana Parysa („Do Rzeczy", nr 25/2025) na moją polemikę z jego entuzjazmem wobec trudnego projektu, którym jest budowa sieci małych reaktorów jądrowych (SMR), rozczarowuje. Nie zaprzeczył, że projekt reaktora BWRX-300 nie zszedł jeszcze z desek kreślarskich i niczego o jego parametrach bezpieczeństwa czy efektywności produkcji energii nie można powiedzieć. Nie jestem, jak próbuje mnie przedstawić, wrogiem SMR-ów, a ich zwolennikiem, i dlatego martwią mnie błędy popełniane przez państwo w prowadzeniu tego projektu. Podzielam stanowiska w sprawie SMR wszystkich przywołanych przez autora na pomoc autorytetów. One jednak nie wypowiadały się o ścieżkach dojścia do celu, a tego dotyczyła moja polemika.

Ponadto krytyka Jana Parysa wobec „byłego MSWiA" (czytaj: ministra Mariusza Kamińskiego jako sprawującego nadzór nad Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego i wydaną przez nią negatywną opinią o projekcie, za którym stoi – obok Orlenu, niegdysiejszego pracodawcy Jana Parysa – najbogatszy Polak, Michał Sołowow, na którego były minister ma być jakoby szczególnie zawzięty) za ingerowanie „jak za czasów PRL" w wolną gospodarkę jest ucieczką przed merytorycznymi argumentami.

Nigdzie w świecie nie ma elektrowni jądrowej powstałej bez udziału państwa. Jeżeli Michał Sołowow chce być niezależny, to niech nie zaprasza do swojego projektu państwowych spółek, niech nie korzysta z zasobów finansowych państwowych instytucji i nie zwraca się do państwa o kontrakt różnicowy na produkowaną w przyszłości przez niego energię, finansowany z kieszeni podatnika.

Tymczasem Orlen w spółce, za którą stoi Sołowow, odgrywa kluczową rolę nie tylko jako dostawca kapitału, lecz także podmiot gwarantujący rynek na kilkanaście lub więcej SMR-ów. Im więcej małych elektrowni, tym dla General Electric i Sołowowa jednostkowe wydatki inwestycyjne niższe.

Głównymi inwestorami w małe reaktory będą podmioty sektora państwowego – kombinaty przemysłowe i aglomeracje miejskie. Dla nich umowa z podmiotem żyrowanym przez Orlen będzie dużo bezpieczniejsza niż z pod-

Spotkanie w ambasadzie USA 18 kwietnia 2024 r. w sprawie SMR. Mark Brzezinski, afiszując się z Michałem Sołowowem, dowodzi, że obca jest mu polska wrażliwość historyczna pamiętająca z XVIII w. rolę ambasad pruskiej, rosyjskiej i austriackiej w Warszawie, gdzie dogadywano się z polskimi oligarchami na szkodę państwa polskiego FOT. X.COM/USAMBPOLAND



eprasa.pl 669016c73d

miotem prywatnym, za którym stoi osoba postrzegana jako oligarcha.

Tymczasem to nie Orlen, a Sołowow gra pierwsze skrzypce w spółce Orlen Synthos Green Energy. Kombinat petrochemiczny przy zmarginalizowanej do swego rzeczywistego wkładu pozycji w tej spółce jest rodzajem szyldu dla miliardera i dostawcą rynku na małe reaktory BWRX-300 od General Electric. Obie strony nie zaprosiły Orlenu na wspólnika w spółce BWRX Europe sp. z o.o., której celem jest zdobycie rynku europejskiego z przyczółka, który ma im zapewnić Orlen w Polsce. To afront General Electric wobec państwa polskiego.

## KULCZYK REDIVIVUS?

Sołowow, mimo że jest najbogatszym Polakiem, nie ma wystarczającego kapitału na inwestycje jądrowe, więc pożycza go od państwowych podmiotów. Nie ma też nuklearnego know-how. Jakie racje przesądziły o tym, że General Electric i Orlen tolerują jego udział w tym biznesie? Przecież naturalny interes każdej ze stron to współdziałać bez zbędnych pośredników, z którymi trzeba się dzielić zyskiem.

Sołowow to obywatel Austrii, a jego ośrodek interesów to spółka austriacka Fundusz Galleon. Śmiesznie wyglądają zapowiedzi, że przy budowie SMR-ów mają zarobić polskie firmy, gdy tymczasem oprócz General Electric najwięcej zarobi austriacka spółka.

Internet plotkował, że polski oligarcha Jan Kulczyk upozorował swoją śmierć. Po ukróceniu oligarchów przez pierwszy rząd Prawa i Sprawiedliwości dziś jesteśmy świadkami nieoczekiwanego zmartwychwstania sposobów uprawiania biznesu przez Kulczyka. Jest nim pojawienie się zbędnego pośrednika między państwem polskim a strategicznym inwestorem zagranicznym, któremu pośrednik ma ułatwiać relacje z aktualnym i kolejnymi rządami.

Skąd się więc wziął Michał Sołowow pomiędzy państwem polskim a Amerykanami? O to trzeba pytać ambasadę amerykańską w Warszawie. Stopień demonstrowanej zażyłości ambasadora Marka Brzezinskiego z Michałem Sołowowem daje dużo do myślenia.

Zastanawiające, że ambasador Brzezinski z równą determinacją nie wspiera innych firm amerykańskich oferujących technologie SMR. Polska ma wybrać nie któregoś z amerykańskich dostawców, ale koniecznie General Electric-Hitachi wraz z austriacką spółką jako pośrednikiem. Nic to, że projekt nie zszedł jeszcze z desek kreślarskich, że nic nie wiadomo o jego parametrach bezpieczeństwa i osiągach ekonomicznych oraz trudno przewidzieć, kto w perspektywie kilkudziesięciu lat przejmie udziały Sołowowa w jego austriackich interesach i zyska ogromny wpływ na część polskiego sektora energetyki jądrowej (może jakaś spółka „cypryjska"?). Reaktor BWRX-300 może okaże się najlepszym, a może najbardziej nieudanym SMR-em na świecie, ale Polsce nie wolno tego oceniać, tylko zaufać w ciemno intuicjom i nadziejom swojego sojusznika, bo przecież on sam jeszcze nie ma tej wiedzy.

Dużo nam mówi, że w Rumunii z podobnym zaangażowaniem USA popierają konkurenta General Electric, firmę Nuscale, do niedawna współpracującą w Polsce z KGHM. Wygląda na to, że nasz amerykański sojusznik „sprawiedliwie" podzielił świat na strefy wpływu między swoich dostawców technologii SMR i ten podział wynikający z amerykańskiej polityki wewnętrznej, a nie polskich uwarunkowań, egzekwuje wobec Polski, nie przejmując się, że stwarza w ten sposób dla całej polskiej energetyki jądrowej poważne ryzyko.

## „OTO IDĘ W KAŻDĄ STRONĘ"

Powyższe słowa poety trafnie oddają polski „rozmach" w podejściu do SMR-ów. Polska wybrała dla pierwszej, dużej elektrowni jądrowej na Pomorzu dostawcę technologii wodno-ciśnieniowej. Tymczasem reaktor BWRX-300 oferowany przez General Electric-Hitachi jest projektowany w technologii wodno-wrzącej. Po raz pierwszy w świecie regulator, w tym przypadku Polska Agencja Atomistyki, będzie pracować równocześnie nad dwoma projektami w dwóch różnych technologiach nuklearnych, nie mając doświadczeń w żadnej z nich, przy dramatycznym deficycie kadr. Czy to się zakończy sukcesem?

Na posiedzeniu komisji brytyjskiego parlamentu zwrócono uwagę, by z uwagi na szczupłość kadr wybór technologii dla SMR był w miarę możliwości kompatybilny z rozwiązaniami funkcjonującymi w dużych elektrowniach jądrowych. Powiedzieć, że między Polską i Wielką Brytanią, dysponującą przemysłem jądrowym, jest przepaść w kadrach nuklearnych to byłaby wielka delikatność wobec Polski.

Doradczyni zarządu Orlen Synthos Green Energy sp. z o.o. Rumina Velshi, do października 2023 r. szefowa kanadyjskiego dozoru jądrowego, podniosła w wywiadzie dla Energetyka24.pl ryzyko stojące przed polskim regulatorem, a wynikające z równoczesnych prac nad dwoma różnymi technologiami. O ile w przypadku technologii dla dużego atomu PAA będzie mogła czerpać z doświadczeń innych regulatorów, o tyle w przypadku SMR szerokich doświadczeń nie ma żaden z nich. Tylko potęgi nuklearne odważały się na więcej niż jedną technologię, ale też zazwyczaj wdrażane jedna po drugiej, nie dwie równolegle. A takie konsekwencje będzie mieć wymuszenie na nas przez USA przyjęcia technologii wodno-wrzącej od General Electric.

Nowatorska, by nie napisać eksperymentalna w skali światowej, budowa reaktora BWRX-300 może mieć negatywne konsekwencje dla budowy sprawdzonego rozwiązania, którym jest reaktor AP-1000 dla dużego atomu. Ich przyczyną mogą być niezawinione opóźnienia oraz niska jakość realizacji zadań przez Polską Agencję Atomistyki, Urząd Dozoru Technicznego oraz innych agend państwowych, których skromne zasoby zostaną rozproszone między dwa różne projekty o napiętych harmonogramach. Dlatego w polskich uwarunkowaniach wskazane jest, by małe reaktory jądrowe były budowane w takiej technologii jak duży atom, czyli wodno-ciśnieniowej. Ma ona wielu dostawców – w tym obok francuskiego czy brytyjskiego kilka podmiotów amerykańskich, więc konkurencyjny tryb wyboru będzie zachowany. W obszarze SMR powinien to być jeden dostawca, bo – wbrew szanownemu polemiście – Polska nie jest w stanie ogarnąć obok dużego atomu dwóch różnych technologii SMR.

## CZY LECI Z NAMI PILOT?

Rząd na razie milczy, a prezesi spółek Skarbu Państwa realizujących projekty SMR pięknie się różnią. W odstępie kilku dni prezes Orlenu i prezes KGHM wydali odmienne komunikaty. Ten pierwszy



eprasa.pl 669016c73d

zadeklarował kontynuację projektu z Sołowowem po uporządkowaniu ładu korporacyjnego we wspólnej spółce Orlen Synthos Green Energy i walkę o dotrzymanie ambitnego terminu uruchomienia pierwszego SMR-a w 2030 r. Natomiast drugi prezes ocenił, że projekt SMR jest nieopłacalny, bo koszt produkcji energii będzie wyższy niż ze źródeł alternatywnych. W mojej opinii obaj nie mają dziś wystarczających podstaw do takich stanowczych ocen.

Gdy rząd milczy, rządzi ten, kto pierwszy się obudzi – niższe szczeble zaczynają mówić z perspektywy swoich, węższych horyzontów, wywierając niestety wpływ na debatę o strategii.

Ponieważ energetykę jądrową realizuje wiele podmiotów państwowych, ten głos powinien wyjść od premiera i całego rządu, a powinny nim być publiczne potwierdzenie lub aktualizacja w formie rozporządzenia Rady Ministrów Polskiego Programu Energetyki Jądrowej z 2020 r., przygotowanego pod nadzorem ministra Piotra Naimskiego. Bez silnego przywództwa na wzór francuskiego planu Messmera (ówczesnego premiera) z lat 70., który wywindował Francję na pozycję mocarstwa w cywilnej energetyce jądrowej, budowa czy to dużego, czy małego atomu rozciągnie się na kilkanaście lat i będzie porażką ekonomiczną, nie mówiąc o ryzyku dla bezpieczeństwa energetycznego państwa.

Strategia powinna skoncentrować działania na rzecz SMR w jednej spółce całkowicie kontrolowanej przez Skarb Państwa, nienotowanej na GPW. Spółka ta powinna na wzór daleko bardziej doświadczonych w energetyce jądrowej krajów, takich jak Wielka Brytania, Czechy lub Szwecja, przeprowadzić wybór dostawcy technologii w trybie konkurencyjnym, z wyłączeniem podmiotów z krajów niepożądanych.

## „TAK SZYBKO, JAK GOTUJĄ SIĘ SZPARAGI"

Strategiczne decyzje dotyczące SMR muszą być podjęte pilnie, ale sam wybór dostawcy powinien być dokonany przy umiarkowanym pośpiechu. Podkręcanie przez Polskę tempa w sprawie wyboru dostawcy technologii, zwłaszcza porzucenie konkurencyjnego trybu wyboru, nie ma żadnego wpływu na dojrzewanie tych technologii ani certyfikację przez zagranicznych regulatorów. To idzie swoim rytmem, który Polsce daje czas na uporządkowanie całego procesu bez szkody dla i tak opóźnionego harmonogramu spełnienia przez Polskę unijnych wymagań co do miksu energetycznego. Dlatego Polska w sprawie SMR-ów nie musi podejmować szybko byle jakich decyzji, a de facto zgadzać się na to, czym oferent dysponuje, a zwłaszcza w ciemno wybierać niedokończony projekt reaktora. Jest czas, by dostawcom postawić wymagania, jeżeli chcą oni mieć wsparcie państwa. Ten czas oddechu pozwoli PAA rzetelnie zająć się dużym atomem, a rządowi uporządkować relacje z General Electric-Hitachi, zastępując Michała Sołowowa w umowach z Amerykanami, co powinno być warunkiem wpuszczenia General Electric na polski rynek SMR, jeżeli chce korzystać ze wsparcia państwa.

**Polska nie ma know-how nuklearnego w stopniu pozwalającym na stawianie wymagań wielkim koncernom**

## ZIEMIA OBIECANA

Polska opinia publiczna powinna się dowiedzieć, że inwestorzy zagraniczni traktują Polskę jak ziemię obiecaną energetyki jądrowej. Głęboki i słabo zagospodarowany rynek na bezemisyjną energię, populizm antyatomowy praktycznie bez oddźwięku, a z atomem są wiązane duże społeczne nadzieje. I co istotne, Polska nie ma know-how nuklearnego w stopniu pozwalającym na stawianie wymagań wielkim koncernom. Dla ich SMR-ów Polska jest znakomitym punktem wypadowym na resztę Europy. Owszem, niech państwo korzysta z tej okazji stworzenia z wielkim biznesem relacji gospodarczych wykraczających swoim znaczeniem poza Polskę i pozwalającym nam zająć część jeszcze pustego miejsca w gospodarce światowej. Jednakże Polska nie może stać się dla nich miejscem, w którym przy pomocy ambasad będą się rządzić jak w republice bananowej, a maksymalizacja ich zysku będzie generować ryzyko dla bezpieczeństwa energetycznego państwa.

A takie to sprawia wrażenie obecnie. W kwietniu u ambasadora Brzezinskiego miało miejsce spotkanie Michała Sołowowa z przybyłymi z USA przedstawicielami departamentów Stanu oraz Energii, na którym, bez udziału Orlenu lub innych przedstawicieli państwa polskiego, omawiano taktykę postępowania wobec Polski, jak można się domyślać – w sprawie narzucenia nam niesprawdzonej technologii i austriackiej spółki. To nie jest partnerskie i lojalne postępowanie sojusznika.

Rząd ma obowiązek wysłania sojusznikowi czytelnego sygnału, że przekroczył w tej sprawie cienką czerwoną linię. Cytując klasyka, nich nasza przyjaźń będzie jak dobra herbata – mocna, gorąca, ale nie przesłodzona. Jeżeli jednak to jest transakcja wiązana (np. „sprzedamy wam myśliwce F-35, jeśli weźmiecie naszą technologię SMR"), to amerykańskich dostawców technologii jest kilku i powinniśmy mieć prawo optymalnego wyboru. A jeżeli z tajemniczych powodów, które jednak może zmienią się po wyborach prezydenckich w USA, „musi" to być General Electric-Hitachi, to niech ten koncern współpracuje z Michałem Sołowowem na własny rachunek, z poszanowaniem amerykańskiej ustawy o zakazie zagranicznych praktyk korupcyjnych, a nie domaga się od Polski, by wobec Amerykanów – wbrew przywołanym przez prezydenta Joe Bidena w przemówieniu na Zamku w Warszawie słowach „nic o was bez was" – reprezentowała nas wybrana nie przez nas austriacka spółka. To oczekiwanie nie jest małostkowym czepianiem się najbogatszego Polaka, tylko ostrzeżeniem przed nawrotem oligarchizacji polskiego życia publicznego z lat rządów AWS i SLD, gdy najbogatsi ludzie biznesu wymuszali na państwie korzystne dla siebie, a niekoniecznie korzystne dla państwa decyzje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor do listopada 2023 r. był doradcą ministra spaw wewnętrznych i administracji Mariusza Kamińskiego, był też prezesem Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych.



eprasa.pl 669016c73d

HISTORIA DO RZECZY

# NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

## SEKRETY POTĘGI HUSARII

**Szarże nie do powstrzymania** – Wyszkolenie, nieprawdopodobnie wysokie morale i doskonałe uzbrojenie dawały husarzom olbrzymią przewagę nad wrogami

**Towarzyszy wzloty i kłopoty** – Jacek Komuda o dniu powszednim skrzydlatego jeźdźcy

**Czarna seria Mosadu** – Incydent w Lillehammer uruchomił kaskadę fatalnych dla Izraela zdarzeń

**Afgańska klęska imperium brytyjskiego** – Ekspedycja Macnaghtena była największą porażką poniesioną w XIX w. przez imperium brytyjskie. W całej sprawie mocno namieszał młody Polak

**Kaźń cichociemnego** – Bolesław Kontrym przed wojną bezpardonowo bronił polskiej granicy przed Sowietami. Po aresztowaniu przez UB ślad po „Żmudzinie" urywa się na blisko cztery lata

**Cesarz spod Złotej Bramy** – Ostatni władca Bizancjum osobiście bronił murów Konstantynopola

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 669016c73d

# „Tęczowienie” Kościoła w Polsce

Zebranie Plenarne KEP w siedzibie Sekretariatu Konferencji Episkopatu Polski, 10 czerwca 2024 r. FOT. PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI/PAP

*Paweł Chmielewski*

**W połowie czerwca obradowało Zebranie Plenarne Konferencji Episkopatu Polski. Biskupi wybrali nowego sekretarza generalnego. Zajęli się też tematem nauczania religii w szkole. Ba, stanęli nawet w obronie zakazu handlu w niedzielę. Można powiedzieć: dobra robota. Problem w tym, że w Kościele katolickim w Polsce mamy od pewnego czasu do czynienia z zupełnie nowym, palącym zjawiskiem. Pojawili się nad Wisłą księża, którzy… profanują świętości w imię ideologii LGBT**

Co takiego się dzieje? Drogę tęczowym wybrykom duchownych utorował w maju 2023 r. dominikanin, Maciej Biskup z Łodzi. Ojciec Biskup wziął wówczas udział w ekumenicznym nabożeństwie odprawianym w kalwińskim zborze w Warszawie. Stojąc przy stole ołtarzowym wdzięcznie okrytym flagą LGBT, wygłosił płomienne przemówienie o tolerancji i inkluzji, a wreszcie wraz z towarzyszącymi pastorami modlił się w intencji zgromadzonych. Dominikanie przez pewien czas milczeli, by w końcu zdobyć się na komunikat informujący, że zakonnik działał „z własnej inicjatywy” i sprawa będzie „wyjaśniana”. Jak to wyjaśnianie przebiegło, nie wiem, ale pół roku później w rozmowie z TOK FM o. Biskup zadeklarował, że… nie miałby problemu z udzieleniem błogosławieństwa parze jednopłciowej.

Nie on jeden nie miałby z tym problemu. W maju tego roku w tym samym kalwińskim zborze w Warszawie ponownie zorganizowano tęczowe nabożeństwo ekumeniczne. Pastorzy się nie zmienili, stronę katolicką „reprezentował” jednak już nie dominikanin, ale ks. prof. Adam Świeżyński, wykładowca Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Uczony kapłan nie ograniczył się do wygłoszenia przemówienia i do modlitwy, jak jego poprzednik, ale stojąc w tęczowym entourage’u… po prostu udzielił błogosławieństwa zgromadzonym parom homoseksualistów. Jak wyjaśnił później w „Więzi”, uczynił to z pełnym przekonaniem i z inspiracji deklaracją doktrynalną „Fiducia supplicans” kard. Victora Fernándeza.

## ZJAWISKO

Dominikanie, księża profesorowie… Czy nie czas na jezuitów? Rzeczywiście, to właśnie jeden z członków Towarzystwa Jezusowego postanowił w tym roku specyficznie uczcić miesiąc poświęcony kultowi Najświętszego Serca Pana Jezusa. Dokładnie w czasie trwania obrad KEP o. Grzegorz Kramer SJ z Wrocławia upublicznił na swoim facebookowym koncie wizerunek Najświętszej Panienki ubranej w niebieską szatę… ozdobioną polskimi orłami w koronie i oblamowaną tęczową flagą. Obrazek obudował wpisem, przekonując, że zarówno orzeł, jak i flaga mogą być kontrowersyjne (tak jakby można było te symbole ze sobą zestawiać!), ale w istocie… całe chrześcijaństwo jest kontrowersyjne. Po kilku godzinach wpis zniknął, bez podania jakiejkolwiek przyczyny.

Naciski z góry? Być może, choć kilka lat temu podobnego ekscesu dopuścił się amerykański jezuita James Martin, co nie przeszkodziło mu uzyskać od samego papieża zapewnień o gorącym wsparciu dla jego linii duszpasterskiej.

Biskup, Świeżyński, Kramer… To już nie są pojedyncze incydenty, ale właśnie zjawisko. Bez żadnej wyrazistej reakcji przełożonych, bez krytycznych komunikatów władz zakonnych, uniwersyteckich, diecezjalnych, które przestrzegałyby przed łączeniem liturgii czy samej Matki Bożej z ideologią LGBT – ideologią, która zasadza się na uporczywym nazywaniu czynów obiektywnie złych i grzesznych dobrymi. Mamy



eprasa.pl 669016c73d

do czynienia z nowym trendem, który dotarł do Polski i który pilnie domaga się odpowiedzi. Bo błogosławienie aktów homoseksualnych albo profanowanie wizerunku Maryi to nie tylko rzeczy poważne same w sobie, lecz także nade wszystko element szerszego problemu, którym jest podmiana wewnętrznej treści katolickiej wiary, wyprania z niej elementów autentycznie ewangelicznych na rzecz przyjęcia ideologii liberalnych i relatywistycznych.

## DYPLOMATYCZNE MILCZENIE?

Stoimy w Polsce przed podobnym wyzwaniem jak katolicy w Stanach Zjednoczonych, Niemczech czy Wielkiej Brytanii. Kościół w naszym kraju może wybrać drogę Ewangelii, to znaczy być znakiem sprzeciwu i wchodzić w nieustanny konflikt z władzami kraju, upominając się o prawdę i nazywając rzeczy po imieniu. Może też, przeciwnie, zachowywać dyplomatyczne milczenie i poprzez faktyczną kolaborację z liberalnymi elitami piłować gałąź, na której siedzi, redukując się do roli organizacji religijnej umacniającej święty i nienaruszalny „porządek" demokratyczny. W wielu krajach świata biskupi, księża i świeccy wybrali tę drugą ścieżkę.

Szczególnie gorszącym przykładem są Niemcy. W ostatnich miesiącach Kościół katolicki za Odrą rozpoczął bezprecedensową kampanię polityczną wymierzoną w polityków partii AfD. Ludzie, którzy decydują się kandydować z list tego ugrupowania, są usuwani z kościelnych urzędów. Już w lutym tego roku Konferencja Episkopatu Niemiec wydała oświadczenie, w którym ogłosiła, że „volkistowski nacjonalizm i chrześcijaństwo są ze sobą nie do pogodzenia". Z taką oceną można się zresztą zgodzić. Problem w tym, że biskupi jednoznacznie przypisali volkizm konkretnej partii – właśnie Alternatywie dla Niemiec, co – mówiąc szczerze – nie ma dobrego uzasadnienia. Po ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego hierarchowie nie kryli głębokiego zaniepokojenia – i to bynajmniej nie tym, że ta ważna unijna instytucja pozostanie w rękach sił liberalnych aborcjonistów i genderystów. Biskupów przeraziły wynik AfD (15,9 proc.) oraz wyniki innych podobnych formacji w takich krajach jak Francja czy Austria. Kilku czołowych hierarchów wezwało do zdecydowanej „obrony demokracji". Kiedy w 2019 r. podobny wynik uzyskali aborcyjni totalitaryści z Zielonych, biskupi w ogóle nie protestowali. Walka z chochołem volkizmu daje im poczucie bycia w centrum – i święty spokój. Można zaryzykować stwierdzenie, że dla nich już nie Ewangelia jest probierzem katolickości, ale… liberalny demokratyzm.

Podobnie rzecz ma się z niektórymi biskupami Stanów Zjednoczonych. Nawet jeżeli liberalni hierarchowie nie popierają wprost aborcjonisty i promotora transgender Joe Bidena, to w istocie prowadzą taką politykę kościelną i społeczną, która jest całkowicie zgodna z celami antykatolickiej rewolucji. Przykładem jest biskup diecezji Lexington w Kentucky, John Stowe, który od lat flirtuje ze środowiskiem LGBT, a ostatnio z wymownym milczeniem przyjął inicjatywę jednej z parafii, która zaprosiła pary homoseksualne do umawiania się na błogosławieństwa... W 2021 r. progresywna część amerykańskich hierarchów po prostu uniemożliwiła ogłoszenie dokumentu, który napiętnowałby po imieniu Bidena za jego działalność na rzecz ułatwiania dzieciobójstwa prenatalnego. Biskup Robert McElroy z San Diego w Kalifornii – później kreowany przez papieża kardynałem – otwarcie krytykował ideę odmawiania aborcjonistom Komunii Świętej. Również dla takich biskupów pozostawanie w zgodzie z liberalnym mainstreamem jest ważniejsze od jasnego głoszenia słowa Bożego.

## BEZPRECEDENSOWY PRZEŁOM

Czy w Polsce sytuacja jest wyraźnie lepsza? Pozornie tak, w końcu Konferencja Episkopatu Polski dość regularnie publikuje różnego rodzaju oświadczenia piętnujące zapowiedzi albo decyzje rządu dotyczące aborcji, związków jednopłciowych czy in vitro. Czyni to jednak zwykle za późno i w zbyt łagodnych słowach, zwłaszcza gdy do niekatolickich rozwiązań rękę przykładają politycy związani z PiS, tak jak było w przypadku prezydenckiego poparcia dla finansowania sztucznego zapłodnienia w grudniu ubiegłego roku. W efekcie lewacka rewolucja idzie naprzód, a katolicy stopniowo przyzwyczajają się do nowego status quo, traktując je jak normalność… Brak ostrej krytyki rodzi powolną akceptację. To samo dotyczy sytuacji wewnątrz Kościoła. Brak wyraźnego napiętnowania kapłanów albo całych środowisk kościelnych i okołokościelnych, które przyjęły tęczową propagandę za prawdę, prowadzi wyłącznie do stopniowego umacniania takich grup. Wywołuje wrażenie, że ostatecznie da się to jakoś pogodzić z katolicyzmem. Przykład: „Tygodnik Powszechny", który w czasie protestów po zakazie aborcji w 2020 r. otwarcie opowiadał się za legalnością uśmiercania chorych dzieci, nadal dumnie prezentuje na okładce podpis: „Katolickie pismo społeczno-kulturalne". Nikt w hierarchii tego publicznie nie kwestionuje. Wewnątrzkościelna tolerancja dla ludzi siejących niemoralność i rozpowszechniających ciężkie błędy doktrynalne jest w Polsce posunięta naprawdę daleko, a to będzie mieć swoje skutki, potencjalnie podobne do tych opisanych w Niemczech czy USA.

Znajdujemy się w trakcie bezprecedensowego przełomu politycznego i kościelnego. O politycznym cokolwiek jeszcze się mówi: unijny plan zmiany traktatów mający pozwolić na przekształcenie Wspólnoty w superpaństwo spotyka się z krytyką w konserwatywnych polskich mediach. Towarzyszy mu jednak podobny proces powoływania europejskich struktur kościelnych, które mają w przyszłości wypracowywać postępowy i spójny dla całego kontynentu katolicyzm – wiarę „godną" Unii Europejskiej. Oba procesy mają na swojej drodze wiele przeszkód do pokonania, ale nie mam cienia wątpliwości, że kościelni rewolucjoniści w Watykanie zrobią wszystko, co w ich mocy, by dotrzymać kroku zmianom politycznym w UE. Brukselski centralizm będą skrupulatnie przenosić na płaszczyznę eklezjalną. Gdzie wtedy znajdzie się Polska, z całą czeredą kapłanów i świeckich tylko czekających na możliwość jeszcze bardziej otwartego wyrażania poparcia dla liberalnych sofizmatów, mających uzasadniać konieczność odrzucenia prawdy Ewangelii w imię tolerancji? Takich grup naprawdę nie brakuje, nazwiska można byłoby długo wymieniać…

Zdolność do samoobrony przed trucizną trzeba cały czas wzmacniać. Zaniedbana po prostu zaniknie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



eprasa.pl 669016c73d

Członek NSDAP Ludwig Müller, inspirowany przez nazistowskich dygnitarzy, dążył do syntezy chrześcijaństwa i nazizmu oraz jedności religijnej Niemiec FOT. DOMENA PUBLICZNA

# Księża w służbie totalitaryzmów

*Jan Hlebowicz*

**Ruch księży „patriotów" nie był polskim wynalazkiem. Walka z Kościołem i religią przez uzależnianie części duchowieństwa od władz państwowych to element charakterystyczny dla totalitarnych państw – Związku Sowieckiego i III Rzeszy**

Warszawa, 1 września 1949 r. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i jednocześnie sekretarz generalny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Bolesław Bierut przyjmuje w Belwederze grupę ponad 40 katolickich księży. Kilkunastu z nich to informatorzy komunistycznych służb. „Powinniśmy wszyscy, na ile nas stać, czynić wszystko, aby ludowi pracującemu pomagać w tej pracy, ożywiać jego wolę, napełniać go otuchą, budzić w nim radość twórczej pracy. Sądzę, że jest to zadanie, które nie kłóci się ani z wiarą, ani z obowiązkami ludzi pracujących w służbie duchowej, z obowiązkami duchowieństwa" – przemawia Bierut. Kapłani kiwają głowami i dziękują za okazane zaufanie. Proszą też, by przy właśnie utworzonym Związku Bojowników o Wolność i Demokrację powołać odrębną sekcję zrzeszającą duchownych. Bierut wyraża zgodę i prosi księży, by od tego momentu zwracali się do niego z wszelkimi trapiącymi ich problemami.

Jeden z duchownych – Ambroży Dykier z Sopotu – podnosi nieśmiało rękę. Prosi Bieruta o wsparcie w budowie kościoła. Ten uważnie słucha i natychmiast podejmuje decyzję. Ze swoich osobistych funduszy przekaże 100 tys. zł na ten zbożny cel...

Opisane wyżej zdarzenie uznawane jest za oficjalny początek funkcjonowania w Polsce środowiska księży „patriotów" – rzymskokatolickich kapłanów jawnie współpracujących po drugiej wojnie światowej z władzami państwowymi. Jednak to, co wydarzyło się w Warszawie 75 lat temu, nie było dla polskich komunistów niczym nowym. Towarzysze z Bierutem na czele pełnymi garściami czerpali bowiem ze sprawdzonych w latach 20. i 30. bolszewickich wzorców. „Od rewolucji światowej dzieli nas tylko Chrystus" – mawiał Józef Stalin. Nie dziwi więc, że to właśnie Związek Sowiecki stał się poligonem doświadczalnym różnych strategii walki z religią i Kościołem – w warunkach rosyjskich – przede wszystkim prawosławnym, choć oczywiście nie tylko. Przypatrując się mechanizmom stosowanym przez bolszewików wobec Cerkwi, łatwiej zrozumiemy politykę władz względem Kościoła katolickiego w Polsce po 1945 r.

## CZERWONI KAPŁANI

Po rewolucji październikowej grupa duchownych prawosławnych zorganizowanych w odnowicielskim ruchu Żywej Cerkwi uznała część punktów społeczno-politycznego programu bolszewików za własne, mimo ich wyraźnie antyreligijnego charakteru. Jak pisał dr Scott



eprasa.pl 669016c73d

M. Kenworthy specjalizujący się w historii najnowszej Cerkwi prawosławnej, odnowiciele głosili, że Kościół „nie może pozostać obojętnym obserwatorem walki, jaka toczy się z niesprawiedliwością i nierównością społeczno-ekonomiczną oraz z faktem istnienia kapitalizmu w świecie chrześcijańskim", co dawało podstawy do uznania „sprawiedliwości" rewolucji bolszewickiej. Księża, którzy zadeklarowali wierność wobec nowego rządu, otrzymali materialne, polityczne i policyjne wsparcie ze strony państwa. Aktywność „czerwonych kapłanów" kontrolowanych najpierw przez Czeka, później przez GPU, doprowadziła do aresztowania wielu prawosławnych hierarchów, a jeden z nich – metropolita Beniamin z Piotrogrodu – został rozstrzelany po procesie pokazowym. Przeciwko bolszewikom i ruchowi Żywej Cerkwi występował patriarcha moskiewski i całej Rusi Tichon, dzisiaj święty Kościoła prawosławnego. Nie godził się na stosowanie przemocy wobec księży, grabienie klasztorów, otwarcie wzywał do zaprzestania propagandowych ataków na religię. Jego publiczne wypowiedzi uznane zostały za kontrrewolucyjne – patriarchę oskarżano o współpracę z Zachodem i podżeganie do pogromów.

W mieszkaniu duchownego przeprowadzono rewizję, a on sam został objęty aresztem domowym. Po wyjściu na wolność nieznana kobieta, uznana później za psychicznie chorą, zaatakowała go nożem. Od śmierci uchronił Tichona skórzany pas, na którym zatrzymało się ostrze. W 1922 r. patriarcha został ponownie zatrzymany i był regularnie przesłuchiwany w siedzibie moskiewskiego GPU. W tym czasie duchowni z Żywej Cerkwi opanowali patriarchat moskiewski, a emerytowany biskup Antonin został mianowany metropolitą moskiewskim. Niekanonicznie uzyskany tytuł został natychmiast potwierdzony przez rząd sowiecki, mimo braku zgody przebywających na wolności biskupów.

Żywa Cerkiew, wspierana przez GPU, zajęła 17 tys. cerkwi (na 45 tys. istniejących) i pozyskała 16 tys. duchownych oraz 200 biskupów. Duchowni niechętni współpracy byli denuncjowani, co skutkowało aresztowaniami lub przymusowym opuszczeniem parafii. W 1927 r. następca Tichona – metropolita Sergiusz, były członek Żywej Cerkwi, który zerwał kontakty z tym środowiskiem – chcąc ratować Kościół prawosławny przed całkowitym zniszczeniem, a także by osłabić ruch „czerwonych kapłanów", ogłosił deklarację lojalności prawosławnych wobec państwa. Decyzja hierarchy rzeczywiście zahamowała rozwój organizacyjny Żywej Cerkwi – w obliczu ścisłego podporządkowania oficjalnego Kościoła prawosławnego ruch rozłamowy przestał być komunistom zwyczajnie potrzebny i w efekcie został niemal całkowicie zmarginalizowany.

Bycie księdzem „patriotą" oznaczało z jednej strony nieustanną kontrolę i inwigilację ze strony komunistycznych służb i partii, z drugiej – różnego rodzaju profity materialne i finansowe oraz odznaczenia państwowe FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

Decyzja Sergiusza nie uchroniła jednak Cerkwi przed kolejnymi represjami – masowymi aresztowaniami, niszczeniem kościołów, profanowaniem miejsc pochówku.

Jeden z liderów Żywej Cerkwi ks. Aleksandr Wwiedienski, domagał się od patriarchy Tichona rezygnacji z urzędu FOT. DOMENA PUBLICZNA

Za realizację antyreligijnej polityki – oprócz sowieckich służb – odpowiedzialna była Liga Bezbożników, w 1929 r. przekształcona w Związek Wojujących Bezbożników. Pod wpływem działań organizacji cerkiewne struktury zostały praktycznie unicestwione. Zmianę przyniósł dopiero rok 1941. Po ataku III Rzeszy na ZSRS komuniści dostrzegli w Kościele prawosławnym istotny czynnik integrujący rosyjskie społeczeństwo w obliczu niemieckiej agresji. ZWB został nieoficjalnie rozwiązany, a Stalin zgodził się na ponowne otwarcie świątyń, monasterów, szkół duchownych, a nawet na wybór patriarchy. W 1943 r. wyświęceni tuż przed soborem oraz zwolnieni z więzień i łagrów hierarchowie wskazali na Sergiusza, który – podobnie jak jego następcy – zgodził się zostać, w mniejszym lub większym stopniu, marionetką w rękach władz. Dzisiejsze wiernopoddańcze wobec Putina wypowiedzi patriarchy Cyryla I, mówiącego o symfonii tronu i ołtarza w Rosji, nie powinny nikogo dziwić. Stanowią pokłosie wydarzeń sprzed ośmiu–dziewięciu dekad.

## KOŚCIELNI HITLEROWCY

Podobne mechanizmy podporządkowania religii i duchowieństwa dostrzec możemy w innym totalitarnym państwie – niemieckiej III Rzeszy. Mimo deklarowanej przez narodowosocjalistyczną ideologię całkowitej niechęci wobec chrześcijaństwa Adolf Hitler zdawał



eprasa.pl 669016c73d

sobie sprawę z siły oddziaływania katolicyzmu i w jeszcze większym stopniu protestantyzmu na społeczeństwo. Nieprzypadkowo punkt 24 programu NSDAP z 1920 r. mówił o „pozytywnym chrześcijaństwie", które w zamyśle nazistowskich ideologów miało stać się podstawą światopoglądową członków nowo utworzonej partii. Hitler rozważał bowiem zawarcie kompromisu z częścią ewangelików, który miał doprowadzić do powstania niemieckiego chrześcijańskiego Kościoła państwowego ze zmienioną doktryną i z organizacją na wzór państwa hitlerowskiego. Ideę tę udało się w znacznej mierze zrealizować.

9 września 1932 r. berliński pastor Joachim Hossenfelder utworzył pronazistowski ruch religijny o nazwie Niemieccy Chrześcijanie (równolegle istniała także grupa „brunatnych księży" katolickich sympatyzujących z NSDAP, która nie była jednak w podobny sposób zorganizowana). W programie tzw. kościelnych hitlerowców podkreślono nadrzędność i wyższość niemieckiego nacjonalizmu i rasizmu nad deklarowanymi dotąd wartościami chrześcijańskimi. Usiłowano także przenieść na grunt Kościoła rozwiązania ustrojowe III Rzeszy, m.in. „zasadę wodzostwa" i „paragraf aryjski". „Stoimy na gruncie pozytywnego chrześcijaństwa […], tak jak ono odpowiada niemieckiemu duchowi luterańskiemu […]. Widzimy w rasie, ludowości i narodzie porządek życia darowany i zawierzony nam przez Boga, a troska o jego utrzymanie jest prawem boskim. Dlatego należy występować przeciwko mieszaniu ras" – głosił ich program. W czasie wyborów kościelnych w 1933 r. Niemieccy Chrześcijanie – z pomocą Oddziałów Szturmowych NSDAP – uzyskali przewagę w większości prowincji, zdobywając pozycję najbardziej znaczącej siły w Kościele ewangelickim.

Jednym z głównych orędowników zbliżenia ideologii nazistowskiej i protestantyzmu był kapelan pułkowy Ludwig Müller, członek NSDAP i duszpasterz generała Wehrmachtu Waltera von Reichenaua, który za swoje starania został nagrodzony wyborem na „biskupa Rzeszy". Niemieccy Chrześcijanie z Müllerem przenieśli na grunt „Kościoła Trzeciej Rzeszy" symbolikę nazistowską, m.in. salut rzymski i swastykę, a także elementy ruchu völkisch – etnicznych wierzeń

Rok 1953. Na ścianie krzyż, gołąbek pokoju i portret Bolesława Bieruta – charakterystyczne elementy spotkań polskich księży „patriotów"
FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

przedchrześcijańskich zaadaptowanych przez narodowosocjalistycznych ideologów. Zgodnie z sugestiami Alfreda Rosenberga postać Jezusa miała być od teraz pojmowana jako przykład aryjskiego bohatera. Odpowiedzią na wygraną przez prohitlerowskich Niemieckich Chrześcijan walkę o władzę w Kościele ewangelickim było utworzenie w 1934 r. Kościoła Wyznającego, stanowczo odrzucającego zbliżenie protestantyzmu z nazizmem i rasową dyskryminację jako sprzeczną z Ewangelią oraz uznającego zwierzchność Chrystusa w Kościele. Tymczasem Niemieccy Chrześcijanie, propagujący odromanizowaną i odjudaizowaną formę chrześcijaństwa, rozmywający swą tożsamość w etnicznych wierzeniach pogańskich, głoszący ideę „ponadwyznaniowego" – katolicko-protestanckiego – Kościoła systematycznie tracili na znaczeniu. Niejednokrotnie zbyt radykalny nawet dla nazistowskich liderów „biskup Rzeszy" Müller stracił poparcie władz, a założyciel i przywódca ruchu Hossenfelder podał się do dymisji.

## KSIĄDZ MINISTER ZDROWIA I SPRAWA ABORCJI

Charakterystyczne dla totalitarnych państw strategie wykorzystania do własnych celów duchowieństwa przez państwo były implementowane po zakończeniu drugiej wojny światowej w krajach podporządkowanych ZSRS. Sięgnięto wówczas – z uwzględnieniem lokalnych uwarunkowań – do wypróbowanego modelu stosowanego dwie dekady wcześniej wobec Cerkwi prawosławnej. We wrześniu 1947 r. w Szklarskiej Porębie, podczas tajnej części obrad przedstawicieli partii komunistycznych, członek Biura Politycznego KC Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) Andriej Żdanow wygłosił referat poświęcony rozprawie z Kościołami w krajach za żelazną kurtyną. Jeden z najbliższych współpracowników Stalina podpowiadał, by zniszczyć najpierw lokalne hierarchie kościelne poprzez masowe aresztowania biskupów, znaczniejszych księży (m.in. profesorów) i wyróżniających się działaczy świeckich. Równolegle władze komunistyczne w poszczególnych krajach powinny organizować podległe sobie środowiska tzw. postępowych duchownych i katolików świeckich całkowicie dyspozycyjnych wobec władz.

Wypowiedź Żdanowa potraktowano jako gotową instrukcję. W Czechosłowacji liderem rozłamowego ruchu duchownych został ks. Josef Plojhar, przed wojną czołowa postać wśród czeskich chadeków. W 1939 r. został aresztowany przez Niemców i był więziony w obozach koncentracyjnych w Buchenwaldzie i Dachau. Po wojnie jako „bojownik antyfaszystowski" i zadeklarowany zwolennik komunistycznego reżimu został prezesem Czechosłowackiej Partii Ludowej. „Towariszcz pop" – jak mówili na niego sowieccy generałowie przebywający w Czechosłowacji – mimo nałożonej przez abp. Josefa Berana kary suspensy nigdy nie wycofał się ze swojej propaństwowej aktywności. W roku 1948 został mianowany czechosłowackim ministrem zdrowia, a podczas swojej długiej, bo 20-letniej pracy na tym stanowisku m.in. przeforsował ustawę liberalizującą dostęp do aborcji.

Na Węgrzech ruch rozłamowy wśród duchowieństwa oparto na ks. Ferencu Vardze, który nawiązał współpracę z reżimem z pobudek ideowych. Na polecenie komunistów zaczął tworzyć „ruch księży na rzecz pokoju", a także tygodnik „Kereszt", będący propagandową tubą węgierskich kapłanów „postępowych". Po pewnym czasie uwikłanie we współpracę z komunistami zaczęło uwierać duchownego. Zdecydował się uciekać z kraju. Jednak w trakcie przekraczania granicy został postrzelony i ciężko ranny trafił do szpitala, gdzie zmarł. Inicjatywa stworzenia środowiska duchownych współpracujących z władzą została wskrzeszona przez grupę kapłanów – tajnych współpracowników i agentów Államvédelmi Hatóság, czyli policji politycznej Węgierskiej Republiki Ludowej. Pierwsze skrzypce


eprasa.pl 669016c73d

w nowym ugrupowaniu „księży pokoju” grali ks. Miklós Beresztóczy i były cysters o. Richárd Horváth. O tym, jak silne piętno na kondycji całego węgierskiego Kościoła odcisnął ruch „księży pokoju”, świadczy wypowiedź dominikanina Béli Jácinta Hankovskiego z 1997 r.: „My, jako seminarzyści, kontaktowaliśmy się z »księżmi pokoju«. Te sprawy więc tkwią we mnie. Przede wszystkim wiele razy spotykałem się i spotykam się z kapłanami, którzy wówczas pełnili wysokie funkcje kościelne i jeszcze inne. Mieliśmy świadomość, że wszyscy, którzy zajmowali intratne plebanie, są związani z ruchem »księży pokoju«. Istniał taki stereotyp, jeżeli tu i tu jest proboszczem, to znaczy, że musi być zaprzedany władzy […]. Klerycy depczą grób arcybiskupa Józsefa Grősza z Kalocsy (wiele cierpiał w więzieniu, ale później zmuszono go do lojalności), bo był w ruchu »księży pokoju«”.

## ZDOBYĆ WŁADZĘ W POLSKIM KOŚCIELE

W Polsce ruch duchownych deklarujących chęć współpracy z władzami komunistycznymi, choć kształtował się w zasadzie od razu po zakończeniu drugiej wojny światowej, w 1949 r. nabrał organizacyjnego rozpędu. Niedługo po spotkaniu z Bierutem w Belwederze utworzone zostały Główna Komisja Księży i jej lokalne odpowiedniki we wszystkich ówczesnych województwach. Duchowni „postępowi” całkowicie podporządkowani partii i aparatowi bezpieczeństwa włączali się w kolejne akcje ideologiczne i propagandowe władz. Chwalili z ambony plan sześcioletni, głosili potrzebę kolektywizacji wsi, wyjaśniali parafianom koncepcję spółdzielni produkcyjnych i występowali przeciwko amerykańskim „podżegaczom wojennym”.

Swoje poglądy tłumaczyli specyficzną ideologią opartą w znacznej mierze na progresywnym katolicyzmie francuskim spod znaku Emmanuela Mouniera czy – szerzej – środowiska czasopisma „Esprit”. W swoich pismach, odezwach, rezolucjach za Mounierem apelowali o społeczne zaangażowanie katolików, w ramach „katolicyzmu postępowego”. Głosili potrzebę „oczyszczenia” myśli katolickiej z przenikających do niej elementów myśli mieszczańskiej oraz liberalizmu, a zarazem zbliżenie się do socjalizmu, a nawet do komunizmu. Główny ideolog ruchu księży „patriotów” ks. Henryk Weryński w wydanej w 1946 r. broszurze „Katolicy radykalni” podawał przykład francuskiego Republikańskiego Ruchu Ludowego, którego członkowie – przedstawiciele lewicy katolickiej – zaraz po drugiej wojnie światowej współtworzyli z francuskimi komunistami i socjalistami rząd republiki francuskiej. Wyrażał nadzieję, że w warunkach polskich po 1945 r. powstanie podobna organizacja. „Musi katolicyzm w Polsce otrząsnąć się z pewnego rodzaju indolencji w dziedzinie społecznej […]. Muszą wszyscy zrozumieć, że nadchodzą czasy urzeczywistnienia nowego porządku społecznego, o który walczyli nie tylko reformatorzy socjalistyczni, ale inni również” – pisał. Liczył też, że na społeczno-politycznej scenie „wyrosną nowi katolicy, którzy nie dadzą się wyprzedzić” lewicy w realizacji reform społecznych. Jednak ideologia księży „patriotów” pozostała wyłącznie fasadą, za którą ukrywali swoje nadrzędne cele – doprowadzenie do trwałego rozłamu w polskim Kościele i przejęcie w nim władzy. Dogodny moment nadszedł we wrześniu 1953 r., wraz z uwięzieniem prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego. „Patrioci” byli przekonani, że odtąd to oni będą obejmowali najważniejsze stanowiska kurialne i seminaryjne, a nawet że będą rządzić diecezjami. Ich marzenia spełniły się tylko w pojedynczych przypadkach.

**JAN HLEBOWICZ „POLITYKA NA AMBONIE” IPN 2024**

Stopień rozbicia Kościoła od wewnątrz poprzez duchownych uwikłanych we współpracę z władzą był różny i uzależniony od rozmaitych czynników. To, co udało się bolszewikom w Związku Sowieckim z Cerkwią prawosławną, nie w pełni powiodło się Hitlerowi w III Rzeszy z Kościołem protestanckim. Dzieje księży „patriotów” nie są historią sukcesu. Na przestrzeni kolejnych lat – ze względu na wyraźny dystans polskiego społeczeństwa wobec „postępowców”, silną pozycję prymasa Wyszyńskiego wielokrotnie przestrzegającego wiernych przed „rozłamowcami”, liczne patologie występujące wewnątrz ruchu (alkoholizm, niemoralne życie) – duchowni „reżimowi” nie odnieśli spektakularnego zwycięstwa nad Kościołem „wstecznym” i „reakcyjnym”. Nie udało się im doprowadzić do tego, co udało się opisywanemu wcześniej środowisku „kapłanów pokoju” na Węgrzech – trwałego podziału w tamtejszym Kościele, z którego negatywnymi skutkami węgierskie duchowieństwo i wierni mierzą się do dziś.

Na fali tzw. październikowej odwilży w 1956 r. księża „patrioci” pozbawieni zostali parasola ochronnego ze strony władz. Nierzadko zmuszani byli przez biskupów do przedwczesnego przechodzenia na emerytury, część opuszczała kraj, inni zrzucali sutanny. Ruch duchownych „postępowych” odrodził się dopiero trzy lata później i trwał aż do transformacji ustrojowej, nie odgrywając jednak większej roli w życiu społeczno-politycznym.

W latach 30. Niemieccy Chrześcijanie propagowali antysemityzm i faszyzm, ściśle współpracując z NSDAP

FOT. DOMENA PUBLICZNA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem, pracownikiem naukowym IPN Gdańsk.



eprasa.pl 669016c73d

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

# Bezkarność po niemiecku

Bardzo wiele osób myśli, że zbrodniarze niemieccy zostali przykładnie ukarani, a sprawiedliwości stało się zadość. To nie jest prawda. Poza aliantami (którzy się nieco z ludobójcami rozprawili, ale na stosunkowo małą skalę) sami Niemcy podjęli trud oczyszczenia, ale tak, żeby było tak, jak było.

Po kolei. Norymberga i procesy odpryskowe załatwiły tylko znikomą część oczekiwań opinii publicznej. Przecież sprawcami ludobójstwa na milionową skalę (bardzo wielu milionów) nie była garstka przywódców III Rzeszy i ich niewielu pomocników. Te miliony zginęły z rąk co najmniej kilkudziesięciu, a nawet setek tysięcy sprawców. Gdy rozliczanie sprawców wzięły na siebie „nowe" demokratyczne Niemcy, konieczne były odpowiednie zabiegi, aby rozliczać pobieżnie i prawie bezboleśnie. Udało się metodą wprost talmudyczną. Posłużyły do tego… kodeks drogowy i wprowadzone tam nowelizacje.

Zabieg był prosty, a właściwie prostacki. Chodziło wyłącznie o skuteczność niekarania sprawców. „Jeżeli brak jest wyraźnych osobistych przesłanek, powiązań czy wszelkiego rodzaju osobistych związków, które by łączyły ofiarę i sprawcę, to w przypadku współuczestnika mordu należy jego czyn potraktować zgodnie z regułami karania usiłowania tego czynu". W wypadku drogowym mało kiedy sprawca zna swą ofiarę. W przypadku zbrodni ludobójstwa tym bardziej. W przypadku ludobójstwa żaden sprawca nie znał osobiście swej ofiary: Żyda, Polaka, Roma itd. I można go było potraktować niezwykle łagodnie. Czyli – zabili, ale w gruncie rzeczy tylko „usiłowali". A dalej droga była już prosta: „usiłowanie zbrodni" przedawniało się już po 15 latach od tego czynu, czyli najpóźniej w maju 1960 r.! Znając opieszałość niemieckiego aparatu (nie)sprawiedliwości, olbrzymia liczba rozpoczętych onegdaj spraw nie została zakończona do czasu nowelizacji kodeksu drogowego. I tu już była otwarta droga do masowych umorzeń postępowań. Pamiętajmy, że ów aparat w Niemczech Zachodnich tworzyli („od podstaw") funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości III Rzeszy i oni mieli w nim najwięcej do powiedzenia.

W „nowych" Niemczech oficerowie SS otrzymywali cały czas wyższe uposażenia socjalne (renty i emerytury) niż kadra Wehrmachtu. W sumie z ich punktu widzenia słusznie, bo i zasługi mieli nieporównywalnie większe.

To nie wszystko. Poza sztandarowymi postaciami III Rzeszy, takimi jak Rudolf Hess czy Erich Koch, bardzo wielu innych obejmowały kolejne amnestie, głównie z powodu złego stanu zdrowia. A później żyli długo i szczęśliwie, czerpiąc obficie ze zgromadzonych zasobów. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Zapomniany władca Polski

W czasach, gdy w Polsce trwało rozbicie dzielnicowe, Czechy przeżywały okres największej potęgi. Władcy z Pragi stali się najważniejszymi członkami Rzeszy Niemieckiej i starali się nawet o cesarską koronę.

W 1291 r. król Wacław II zajął Kraków i wkrótce zaatakował Władysława Łokietka rządzącego ziemią sandomierską. Książę wycofał się do Sieradza, ale Czesi zdobyli miasto i Łokietek dostał się do niewoli. Książę zrzekł się pretensji do Krakowa i Sandomierza oraz złożył hołd ze swoich posiadłości na Kujawach.

Niebawem pod rządami Wacława znalazła się większość ziem polskich: Małopolska, Wielkopolska, Pomorze Gdańskie, ziemie sieradzka i łęczycka. Zwierzchnictwo czeskiego króla uznała część Piastów śląskich, a jeden z książąt mazowieckich poślubił jego siostrę. We wrześniu 1300 r. Wacław koronował się w Gnieźnie na króla Polski, a pod jego berłem nastąpiło zjednoczenie naszego kraju po blisko dwóch wiekach rozbicia dzielnicowego, o czym obecnie się zapomina.

Panowanie czeskiego władcy w Polsce przyniosło wreszcie upragniony pokój. Król z Pragi zapewnił sprawną administrację i poszanowanie obowiązującego prawa. Nie przejmując się polskimi tradycjami, wprowadził urząd starostów, na które mianował zaufanych ludzi. O skuteczności pomysłu Wacława świadczy to, że starostowie przetrwali w Polsce do dziś, a mało kto pamięta, że jest to pozostałość rządów czeskich w naszym kraju.

Wacław II przeprowadził też reformę monetarną, zastępując słabą polską walutę groszem praskim. Zdecydowanie poprawiło to sytuację kupców i rzemieślników, dla których stabilna waluta miała ogromne znaczenie.

Król natomiast tracił popularność wśród rycerstwa i możnowładztwa, gdyż tym ludziom bardziej odpowiadały rządy słabych książąt dzielnicowych. Szukając poparcia, obdarowywali swoich stronników przywilejami i nadaniami, a Wacław nie musiał tego robić. Był silnym władcą i jego panowanie nie zależało od względów miejscowego rycerstwa.

Wacław panował jednak w Polsce dość krótko, gdyż zmarł 21 czerwca 1305 r. w wieku zaledwie 34 lat. Jego następcą został 16-letni syn, Wacław III, który nie zdążył się koronować na króla Polski. Podczas przygotowań do wyprawy do naszego kraju został bowiem skrytobójczo zamordowany w Ołomuńcu. Na jego osobie wygasła dynastia panująca od pięciu wieków nad Wełtawą, a jej ostatni przedstawiciel został wymazany z pocztu władców Polski. Niesłusznie, gdyż wprawdzie nigdy nie założył naszej korony na głowę, jednak zdecydowana większość ziem polskich wraz ze stołecznym Krakowem uznawała jego władzę. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

FOT. MIKE COMER/NCAA PHOTOS/GETTY IMAGES

## SPŁYWAJ LIA, SĄD PO STRONIE KOBIET

Lia Thomas, transpłciowy pływak z USA, nie wystartuje na igrzyskach olimpijskich w Paryżu. Urodzony jako mężczyzna przez wiele lat startował w męskich zawodach bez większych sukcesów. W 2021 r. przeszedł do kobiecej reprezentacji i nagle zaczął systematycznie zajmować pierwsze miejsca. World Aquatics uznał, że nie spełnia wymagań do rywalizacji z kobietami. Lia się odwołał. Na szczęście sąd arbitrażowy do spraw sportu oddalił jego skargę.

## SYN PREZYDENTA CHULIGANEM

Przed niedawnym meczem na mistrzostwach Europy, w którym zmierzyły się reprezentacje Serbii i Anglii, doszło do zamieszek w niemieckim Gelsenkirchen. Do sieci trafił film, na którym widać, że do bitki na ulicy rwał się syn prezydenta Serbii Aleksandara Vucicia, Danilo Vucić. Został powstrzymany przez funkcjonariuszy specjalnego oddziału niemieckiej policji, którzy towarzyszyli mu jako ochrona.

## SĄD ZA POCAŁUNEK TRENERA

Luis Rubiales był prezesem hiszpańskiej federacji piłki nożnej, gdy w sierpniu 2023 r. kobieca reprezentacja piłki nożnej tego kraju zdobyła mistrzostwo świata. Podczas wręczania medali Rubiales pocałował jedną z zawodniczek – Jennifer Hermoso. Pocałował ją w usta. Wszystko było transmitowane przez telewizję. Zawodniczka zgłosiła sprawę prokuraturze, a ta złożyła wobec byłego już prezesa pozew do sądu. Jego proces wkrótce ma się rozpocząć.

## POLITYCZNIE ODJECHANI

Portal Politico stworzył listę „najdziwniejszych posłów Parlamentu Europejskiego", którzy zasiądą w nim po ostatnich wyborach. Znalazł się na niej 25-letni cypryjski youtuber, który nagrywał m.in. tak ciekawe filmy, jak „Stałem przez 4 dni z rzędu". Jest na tej liście również Fredi Beleri, grecki poseł, który wygrał wybory, przebywając w albańskim więzieniu. Został bowiem skazany za kupowanie głosów na dwa lata.

## POLOWANIE NA BIAŁEGO BIZONA

Fotografka Erin Braaten na początku czerwca uchwyciła na zdjęciu narodziny białego bizona w parku Yellowstone. Od tego czasu park zalewają tłumy turystów z aparatami i smartfonami, które chcą koniecznie zobaczyć dziwnego malca. Do tej pory jednak nikomu innemu nie udało się zrobić mu zdjęcia. ©℗

***Łukasz Zboralski***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Wyścig zbrojeń przyspiesza

Świat się zbroi. Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg poinformował przed spotkaniem z prezydentem USA Joe Bidenem, że wzrost wydatków na obronę w krajach sojuszu jest największy od dziesięcioleci. Pod koniec roku 23 na 32 członków NATO osiągnie cel sojuszu, którym jest przeznaczenie co najmniej 2 proc. PKB na obronność. Jeszcze w 2021 r. cel ten realizowało zaledwie sześciu członków NATO.

Według Stoltenberga w Europie i w Kanadzie sojusznicy zwiększą w tym roku wydatki na obronę aż o 18 proc., co stanowi dowód na to, że europejskie rządy w obliczu wojny na Ukrainie wreszcie się ocknęły i zaczęły inwestować w uzbrojenie.

Niestety, coraz więcej krajów świata rozbudowuje i modernizuje arsenał atomowy. Z najnowszego raportu Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) wynika, że w styczniu obecnego roku liczba głowic nuklearnych na świecie szacowana była wprawdzie na 12 121 (co oznacza spadek rok do roku o 391), ale z tego ok. 9585 głowic było gotowych do potencjalnego wykorzystania. Aż 3904 z nich było zamontowanych na pociskach rakietowych i samolotach. Około 2,1 tys. głowic bojowych umieszczono na rakietach balistycznych w stanie wysokiej gotowości.

Większość z nich należała do USA i Rosji, ale swój arsenał nuklearny rozbudowują też Chiny, które pierwszy raz miały kilka głowic w stanie wysokiej gotowości. Liczba gotowych do użycia głowic rośnie na świecie z roku na rok. „Znajdujemy się w jednym z najniebezpieczniejszych okresów w historii ludzkości" – oznajmił Dan Smith, dyrektor SIPRI. „Otchłań nas przyzywa" – ostrzegł, wzywając mocarstwa do opamiętania... ©℗



eprasa.pl 669016c73d

Maciej Pieczyński

# Migracyjna broń Putina

**Mińsk i Moskwa zintensyfikowały atak hybrydowy na Polskę. Obecny kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej ma jednak nieco inne przyczyny i inny charakter niż ten, do którego doszło latem i jesienią 2021 r.**

Śmierć polskiego żołnierza. Starcia z grupami agresywnych migrantów. Awantura o użycie broni na granicy. Strach mieszkańców Podlasia, napotykających grupy cudzoziemców z Azji czy Afryki koczujących na przystankach autobusowych. Niemiecka policja odsyłająca nielegalnych migrantów do Polski. Widać wyraźnie, że kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej, wywołany sztucznie latem i jesienią 2021 r., a następnie na pewien czas wyciszony w związku z budową muru i wybuchem wojny na Ukrainie, rozgorzał na nowo.

Z perspektywy czasu trzeba szukać powiązań między kryzysem 2021 r. a inwazją na Ukrainę. Być może wtedy był to test odporności państw NATO i UE na zagrożenia hybrydowe. Mogło również chodzić o wywołanie w Polsce nastrojów antyimigranckich, aby utrudnić przyjęcie ukraińskich uchodźców. Inny ewentualny cel to odwrócenie uwagi od Ukrainy. Względnie – skupienie sił i środków Zachodu na uszczelnianiu granicy z Białorusią zamiast na pomocy Ukraińcom. Jeśli rzeczywiście tak było, to pomysłodawcą kryzysu był Putin. Możliwe jednak, że inicjatywa początkowo należała do Łukaszenki. Mógł on samodzielnie dążyć do rozszczelnienia granicy (jak to już kiedyś robił), żeby wymusić od UE pieniądze na jej uszczelnienie (i stać się białoruskim Erdoganem), a także po to, żeby wynegocjować zniesienie sankcji. Rosja być może tylko wsparła tę akcję, chcąc zrealizować przy okazji własne (powyżej wymienione) cele.

Zgodnie z inną teorią Łukaszenka sam rozpętał kryzys, aby móc powiedzieć Putinowi: „Chętnie wziąłbym udział w inwazji na Ukrainę, ale sam widzisz, że mam swoje problemy". Białoruski dyktator wiele razy podkreślał, że osłania tyły „rosyjskiego świata" przed potencjalnym atakiem Zachodu. Wreszcie – z pewnością zarówno Mińsk, jak i Moskwa zamierzały wywołać spory wewnętrzne o przyjmowanie migrantów zarówno w UE, jak i w Polsce, która znów mogłaby znaleźć się na celowniku Brukseli. Ostatecznie jednak UE stanęła murem za… polskim murem na granicy (który z pewnością w dużej mierze ostudził zapał architektów kryzysu migracyjnego).

Wtedy, równolegle z fizycznym naciskiem na granicę, Mińsk i Moskwa stosowały również nacisk propagandowy. Według narracji prezentowanej przez Łukaszenkowskie i kremlowskie media winę za kryzys ponosi Zachód, który najpierw zdestabilizował kraje Azji i Afryki, a następnie rękami „polskich rasistów i faszystów" zagrodził drogę mieszkańcom tych krajów, gdy zapukali do bram Europy z prośbą o pomoc. A po 24 lutego 2022 r. Mińsk i Moskwa tylko uzupełniły tę narrację o wątek „hipokryzji Zachodu", który nie wpuścił uchodźców o ciemniejszym kolorze skóry, za to przywitał z otwartymi ramionami białych Ukraińców.

## MIGRODYWERSANCI

Obecnej odsłonie kryzysu już taka zmasowana akcja propagandowa nie towarzyszy. Łukaszenka i Putin przekonali się, że ani na UE, ani na Polskę Kaczyńskiego, ani nawet na Polskę Tuska nie podziała szantaż moralny i że nikt migrantów nie zamierza przyjmować. Nie ma więc sensu stosowanie lewicowej retoryki. Szczególnie że o ile w pierwszej fazie kryzysu wśród migrantów było jeszcze sporo kobiet i dzieci, które można było wykorzystać propagandowo, o tyle dziś widać wyraźnie, że wrota Zachodu szturmują niemal wyłącznie silni, młodzi mężczyźni. A wielu z nich jest szkolonych przez białoruskich siłowików do walki z polskimi żołnierzami.

W 2021 r. Mińsk nagłaśniał przypadki śmierci migrantów, którym rzekomo Polska nie udzieliła pomocy. W 2024 r. to życie polskich żołnierzy jest zagrożone. Migrantów jest o wiele mniej niż trzy lata temu. Ataki na granice są mniej spektakularne i nie tak zmasowane, ale za to bardziej brutalne. W 2021 r. często agresja była wynikiem desperacji ludzi przepychanych przez granicę. Dziś zdaje się być bardziej planowa. Już na początku kryzysu Łukaszenkowskie służby szkoliły co bardziej krewkich migrantów do walki wręcz. Dziś robią to na większą skalę. A na granicę trafiają głównie właśnie ci krewcy.

Według BYPOL, działającej w Polsce organizacji zrzeszającej byłych oficerów służb białoruskich, migranci są szkoleni w Centrum Szkoleniowym Dynamo w Mińsku przez instruktorów z Państwowego Komitetu Granicznego. Kurs obejmuje umiejętności skrytego poruszania się po leśnych ścieżkach, korzystanie z kompasu,



eprasa.pl 669016c73d

Zapora na granicy Polski z Białorusią
FOT. MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

przekraczanie granicy, będąc niezauważonym, czy posługiwanie się materiałami wybuchowymi. Tak przygotowani migranci odgrywają później rolę przewodników dla innych cudzoziemców, pomagając im w przekraczaniu granicy i atakowaniu polskich żołnierzy oraz funkcjonariuszy.

Migrant (albo raczej migrodywersant, by użyć terminu zaproponowanego przez Zbigniewa Parafianowicza), który zamordował sierż. Mateusza Sitka, dźgnął żołnierza w miejsce nieosłonięte kamizelką kuloodporną, po czym zostawił w jego ciele nóż, który prawdopodobnie był zatruty. Musiał wiedzieć, jak uderzyć, żeby zabić. To wszystko potwierdza opublikowane przez opozycyjny blog Nexta nagranie jednego ze szkoleń. Słychać na nim, jak białoruski funkcjonariusz instruuje migrantów: „Rzucajcie w strażników granicznych wszystkim, co macie. Na przykład butelkami, kamieniami, kłodami. Rzucajcie i uciekajcie. Będziecie mieć noże. Waszym zadaniem jest trafianie w niechronione miejsca: szyja, pachy, nogi, ramiona. Najważniejsze to się nie bać. Nie będą do ciebie strzelać, a jeśli to zrobią, to będą strzelać w powietrze".

Najprawdopodobniej głównym organizatorem obecnej odsłony kryzysu jest Kreml. W 2021 r. migranci przylatywali do Mińska, byli witani na lotnisku przez białoruskie KGB, kwaterowani w państwowych hotelach, a potem przewożeni na granicę. Łukaszenka nieszczególnie nawet ukrywał swój udział w tym procederze. Wypowiedział umowę o readmisji (której sygnatariusze zobowiązują się do powstrzymywania nielegalnej migracji) i oznajmił, że teraz Zachód „sam będzie łapać" migrantów.

## POLITYKA CZY BIZNES?

Dziś cudzoziemcy przybywają głównie z Rosji. „Moskwa to taki hub nielegalnej migracji. Wszyscy, którzy chcą dotrzeć do Unii Europejskiej, najpierw dostają rosyjskie wizy i przyjeżdżają do Moskwy" – stwierdził szef BYPOL Alaksandr Azarau w rozmowie z Arletą Bojke w podcaście „Koniec świata". Dziennikarka, była korespondentka TVP w Moskwie i Mińsku, na podstawie swoich źródeł na Białorusi stawia tezę, że w obecnym ataku na granicę więcej jest biznesu niż wielkiej polityki i ideologii. Z tym punktem widzenia zgadza się Azarau. Rosja od dawna prowadzi liberalną politykę imigracyjną. Do Moskwy i innych miast po rozpadzie ZSRS masowo przyjeżdżali „za chlebem" mieszkańcy postsowieckich republik środkowoazjatyckich czy przybysze z Kaukazu. To z kolei wywoływało – i nadal wywołuje – sprzeciw środowisk nacjonalistycznych. Jesienią 2023 r. nawet potulny wobec Putina patriarcha moskiewski Cyryl apelował do władz na Kremlu o zatrzymanie napływu migrantów, którzy nie chcą się integrować, przez co stanowią zagrożenie dla prawosławnej kultury i tradycji rosyjskiej.

Przerzutem nielegalnych migrantów, dla których Moskwa nie była szczytem marzeń, tylko przystankiem na drodze do lepszego życia, od lat zajmowały się zorganizowane grupy przestępcze. Teraz najprawdopodobniej ten proceder wzięły pod kontrolę rosyjskie służby. Przemytnicy, żeby nie trafić za kratki, współpracują z Kremlem. Służby zarabiają, Putin zaś realizuje przy tym cele polityczne, tyle że inne niż w 2021 r. Granie na proimigranckich emocjach na Europę już nie działa. Być może więc jest odwrotnie: Putin chciał wzmocnić antyimigranckie nastroje i pomóc skrajnej, prorosyjskiej prawicy w wyborach do Parlamentu Europejskiego?

To dość popularna teza, tyle że Rosja z reguły popiera w krajach Zachodu nie tyle konkretne opcje, ile wewnętrzne podziały. Raczej chodzi o to, aby nadal testować granicę NATO i UE. Już nie pod kątem mas migrantów, ale pod kątem obrony przed małymi, agresywnymi grupkami migrodywersantów. Ponadto, o ile w 2021 r. mogło, ale nie musiało chodzić o odwrócenie uwagi od Ukrainy, o tyle teraz taka hipoteza wydaje się bardzo prawdopodobna.

Zachód jest coraz bardziej zmęczony wojną i samą Ukrainą. Eskalacja konfliktu granicznego Polski z Białorusią może sprawić, że NATO bardziej zajmie się bezpieczeństwem swojej wschodniej flanki niż inwestycją bez większego pokrycia w ukraiński wysiłek zbrojny. To zaś może sprawić, że USA wymusi na Zełenskim ustępstwa i koniec wojny.

## ROSJA ZYSKUJE, BIAŁORUŚ TRACI

Łukaszenka przekonał się, że przy pomocy migranckiej pałki nic na Zachodzie nie wymusi. Szturm granicy Białorusi się nie opłaca. Jeszcze niedawno podlaskie firmy apelowały o otwarcie przejść granicznych ze wschodnim sąsiadem. Na ich zamknięciu Białoruś traci finansowo – a właśnie tego rodzaju zyski dla Łukaszenki liczą się najbardziej. Widać więc, że kryzys opłaca się głównie Rosji w jej geopolitycznej walce z Zachodem i Ukrainą.

Mur na granicy jest na tyle szczelny, aby uniemożliwić masowy napływ migrantów. Nie jest jednak na tyle szczelny, aby zatrzymać pojedyncze grupy specjalnie wyszkolonych migrodywersantów. Nie zwykłych migrantów. Nie białoruskich pograniczników czy żołnierzy, którzy raczej nie zaryzykują otwartej konfrontacji z państwem polskim na jego terenie. Ale właśnie migrodywersantów. Przedzierając się do Polski i na Zachód, mogą szykować groźne akty dywersji. Atakując polskich żołnierzy, mogą sprowokować nerwową reakcję, śmiertelny postrzał czy to „uchodźcy", czy to białoruskiego mundurowego. I wtedy z pewnością na razie uśpiona kremlowska propaganda rozpoczęłaby szeroko zakrojoną ofensywę. Polacy przedstawiani byliby już nie, jak w 2021 r., jako rasiści i faszyści pałujący ciemnoskórych, tylko jak podżegacze wojenni, agresorzy, awanturnicy. A Putin zyskałby potencjalne casus belli. Nie oznacza to bynajmniej, że Rosja szuka pretekstu, by rozpętać wojnę z Zachodem. Oznacza to raczej, że Rosja szuka pretekstu, by w oczach świata uwiarygodnić się jako ofiara agresji Zachodu. Ofiara, która ma prawo do tej czy innej formy rewanżu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Kłopoty z panią Ursulą

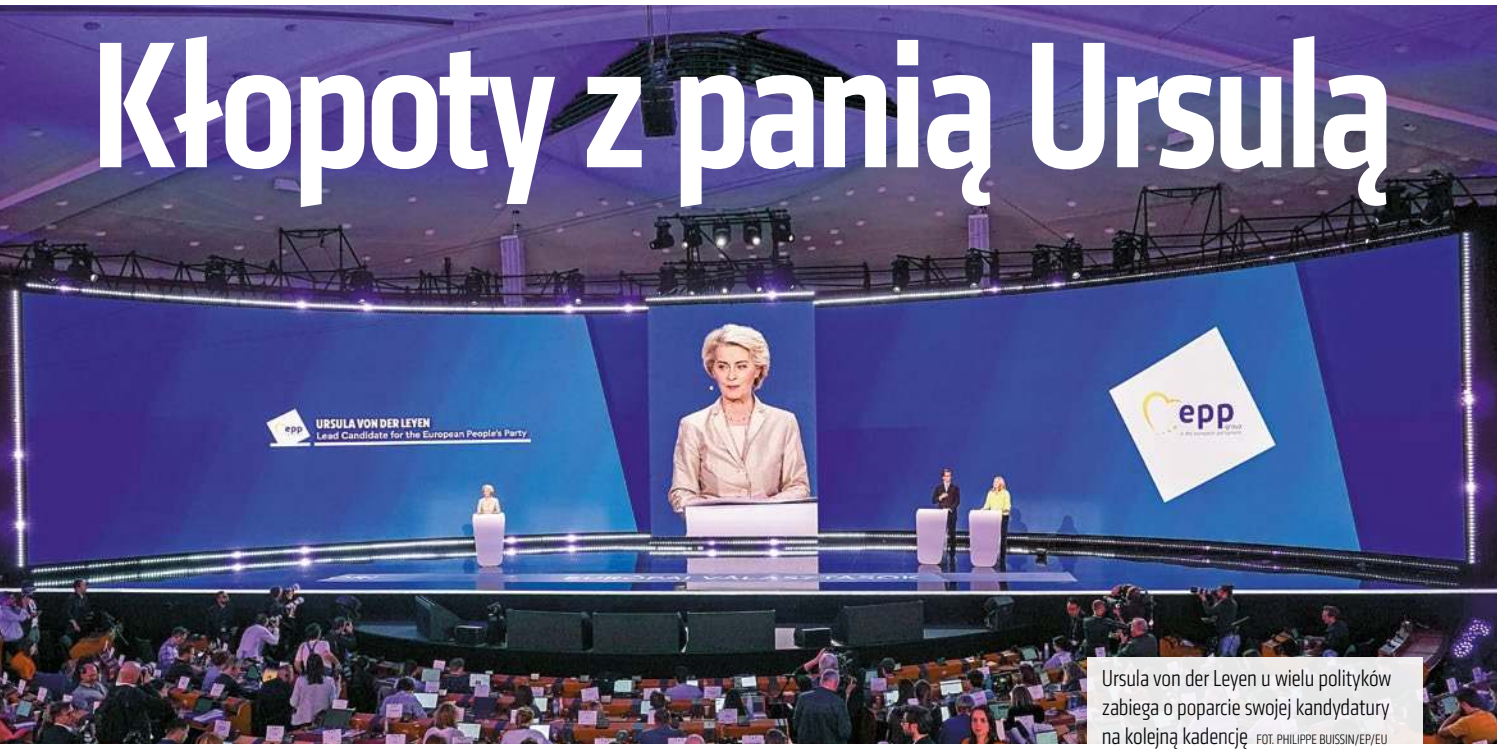


Ursula von der Leyen u wielu polityków zabiega o poparcie swojej kandydatury na kolejną kadencję FOT. PHILIPPE BUISSIN/EP/EU

*Teresa Stylińska*

## Nie tak łatwo będzie Ursuli von der Leyen załatwić sobie reelekcję w Brukseli

Zaledwie cztery dni po wyborach europejskich portal Politico rzucił prawdziwą bombę. Podał, że najważniejsze role na szczytach unijnej władzy już zostały rozdane i pozostaje tylko formalne je zatwierdzić. Mieli to uczynić przywódcy państw Unii, którzy w poniedziałek 17 czerwca wieczorem zebrali się w Brukseli na kilkugodzinnym nieformalnym szczycie

Tak się jednak nie stało. Prezydenci i premierzy w ścisłym gronie, bez doradców i współpracowników (i bez telefonów komórkowych, nie bez znaczenia dla dopływu informacji na bieżąco), dotrwali przy stole obrad prawie do północy. Z dostępnych informacji wynika, że troje eurokratów z czołowej „wielkiej czwórki" nie budziło zastrzeżeń i pewnie uzyska akceptację. Problemem okazała się tylko przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen, intensywnie zabiegająca o drugą kadencję.

Cztery główne unijne stanowiska to przewodniczący Komisji Europejskiej, Rady Europejskiej i Parlamentu Europejskiego oraz szef unijnej dyplomacji. Według Politico na czele Rady ma stanąć Antonio Costa, były premier Portugalii. Unijną dyplomacją pokierowałaby Kaja Kallas, obecna premier Estonii, a europarlamentem jego obecna szefowa, Roberta Metsola, eurodeputowana z Malty. O obsadzeniu tej ostatniej funkcji nie decydują wprawdzie unijni przywódcy, lecz sam parlament, niemniej jest ona brana pod uwagę jako przewidywany element unijnej układanki.

Najistotniejszym jej składnikiem jest najważniejsze ze stanowisk – szefa Komisji. To ono stanowi pierwszy element, punkt wyjścia do dopasowywania kolejnych. Wiele wskazuje na to, że tym razem może to być jednak ostatni element, który wskoczy na swoje miejsce. Bo Ursula von der Leyen budzi emocje i sprzeciw.

### Z WIELKĄ DETERMINACJĄ

Trzeba powiedzieć, że żaden z jej poprzedników na czele Komisji nie zabiegał o ponowny wybór z równą determinacją. Aby osiągnąć cel, von der Leyen uruchomiła cały arsenał środków, poczynając od spotkań z prezydentami i premierami, w których rękach spoczywa decyzja o wyborze czołówki eurokratów, a kończąc na podróżach po krajach Unii i wyciszaniu planów, które wielu odrzuca, takich jak Zielony Ład. Pani Ursula zdobyła się nawet na umizgi do Giorgii Meloni, choć przed dwoma laty, gdy Bracia Włosi, jej partia, obejmowali władzę, nie kryła obaw.

Teraz głos Giorgii Meloni jest cenny podwójnie. Jest ona nie tylko premierem Włoch, lecz także szefową Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, międzynarodówki partii prawicy, ma zatem wpływ na głosowanie deputowanych EKR w europarlamencie. To ważne, bo choć to przywódcy państw uzgadniają, kto stanie na czele Komisji, ich decyzję musi zatwierdzić parlament. A tam liczy się każdy głos, nawet tych, których mainstream odsądza od czci i wiary.

W tych zabiegach mieści się m.in. decyzja o odłożeniu na później publikacji raportu o wolności mediów w państwach Unii. Włochy od chwili, gdy do władzy doszła prawicowa koalicja, są na tym polu pod pręgierzem i krytyczna ocena, według osób dobrze poinformowanych, znalazła się we wspomnianym raporcie. Opublikowanie go na początku lipca, gdy pewnie ważyć się będą losy szefowej Komisji, mogłoby być, z jej punktu widzenia, bardzo nieroztropne, dlatego zostało wstrzymane.

Fundamentalnym elementem strategii Ursuli von der Leyen było zapewnienie so-



eprasa.pl 669016c73d

bie funkcji Spitzenkandidata Europejskiej Partii Ludowej (EPP) w eurowyborach.

To nieudolne – jak dotąd – naśladowanie parlamentów narodowych sprowadza się do tego, że „czołowy kandydat", niby-odpowiednik lidera partii, powinien stanąć na czele Komisji, gdyby jego europejska „partia", de facto zlepek partii narodowych, wybory wygrała. Teoria sobie, a praktyka sobie. Spitzenkandidatów lansuje się w kampanii, a przedstawiciele państw i tak wybierają, kogo chcą. Ursula von der Leyen jest zresztą beneficjentką tych nieskutecznych układów. Pięć lat temu to ją, jako kandydatkę kompromisową, zaakceptowali przywódcy państw Unii. Nie chciano Spitzenkandidatów – ani Manfreda Webera z EPP, ani Fransa Timmermansa z grupy Socjalistów i Demokratów.

Jeszcze całkiem niedawno powszechne było przekonanie, że von der Leyen nie ma szans na drugą kadencję. Była bardzo krytykowana – zarówno za swe działania (np. nie całkiem jasne okoliczności zawarcia kontraktu na zakup szczepionek antycovidowych), jak i autorytarny styl rządzenia i lekceważenie opinii współpracowników. W marcu na kongresie EPP w Bukareszcie została wprawdzie wybrana na Spitzenkandidata, ale 99 delegatów z 499 – prawie 20 proc. – jej nie poparło.

Przeciwny pozostaniu pani von der Leyen na stanowisku jest oczywiście Viktor Orbán i trudno się temu dziwić. Na domiar złego i w unijnej wierchuszce Ursula von der Leyen ma wpływowego wroga w osobie szefa Rady Europejskiej Charles'a Michela. Nawet teraz, za pięć dwunasta, Michel dokłada starań, by nie uzyskała ona reelekcji. Lansuje innych kandydatów, w tym premiera Grecji Kyriakosa Mitsotakisa, na szefa Komisji i domaga się – nie bez racji – by pani von der Leyen nie brała udziału w spotkaniach takich jak szczyt grupy G7, bo w ten sposób pośrednio prowadzi kampanię. Sugerował także, by nie spieszyć się z wybieraniem szefa Komisji. Przyjdzie na to czas.

## KARKOŁOMNA UKŁADANKA

Wrogość Michela zrównoważyła jednak wolta prezydenta Francji Emmanuela Macrona, który niespodziewanie poparł von der Leyen, choć wcześniej na czele Komisji chciał widzieć Maria Draghiego, ekspremiera Włoch. Dlaczego zmienił zdanie? To zapewne skutek sytuacji we Francji. Macron jest zaabsorbowany perspektywą wyborów, spodziewaną klęską jego partii i turbulencjami – pada nawet termin „wojna domowa" – które, zdaniem obserwatorów, niechybnie czekają jego kraj. W tej sytuacji kwestie unijne muszą zejść na drugi plan. Dzięki takiemu poparciu kandydatura pani Ursuli nagle nabrała barw.

Faktem jest, że wybieranie czołówki eurokratów to zajęcie karkołomne. Układanka jest więcej niż skomplikowana. Trzeba pogodzić sprzeczne oczekiwania i interesy, biorąc przy tym pod uwagę wiele aspektów ważnych, mniej ważnych i całkiem nieważnych, tak by między czołowymi unijnymi stanowiskami panowała należyta równowaga. Kompetencje teoretycznie są ważne, można jednak odnieść nie całkiem chyba bezpodstawne wrażenie, że w tej zabawie nie grają głównej roli. Gdyby było inaczej, mało doświadczona Włoszka Federica Mogherini nie zostałaby szefową dyplomacji w kadencji 2014–2019.

O wiele bardziej liczą się rozmaite aspekty formalne, przede wszystkim przynależność do grupy parlamentarnej. Gdyby na czele Komisji miał stanąć ktoś z Europejskiej Partii Ludowej, skupiska ugrupowań centrowych, to nikt z EPP nie powinien kierować Radą ani sferą dyplomacji. Nie inaczej, gdyby szefem Komisji został socjalista czy liberał.

Liczy się też pochodzenie kandydata. Czy reprezentuje kraj mały czy też jeden z wielkich? Czy pochodzi ze wschodu czy z zachodu Unii, z północy czy z południa? Czy jego kraj zalicza się do tzw. starej Unii czy też nowej, państw przyjętych w 2004 r. lub później? Oczywiście wielką wagę ma płeć. Czterech mężczyzn na czterech najważniejszych stanowiskach – taki układ niechybnie wywołałby skandal i oskarżenia o seksizm, choć w drugą stronę to raczej nie działa (zauważmy, że w układzie przedstawionym przez Politico są aż trzy kobiety i tylko jeden mężczyzna). Nie bez znaczenia są też wcześniejsze konfiguracje. Fakt, że Radą Europejską kierowało już dwóch Belgów (Hermann Van Rompuy i obecny Charles Michel) zmniejsza szanse przedstawicieli Belgii.

Nową z kolei tendencją jest sięganie po premierów, aktualnych bądź byłych (w potencjalnej „wielkiej czwórcy" to Kaja Kallas i Antonio Costa). Ma to podnosić prestiż stanowiska, choć prawda jest taka, że sami ekspremierzy szukają dla siebie nowego zajęcia. I nie tylko premierzy. Niektórzy podejrzewają, że prezydent Rumunii Klaus Iohannis, który zgłosił swą kandydaturę na sekretarza generalnego NATO, może rezygnację z tych planów potraktować jako kartę przetargową i ostatecznie otrzymać wysokie stanowisko w Unii.

## CENA AMBICJI

Cały ten teatr polityczny wygląda z pozoru bardzo demokratycznie i można byłoby nawet uwierzyć, że tak naprawdę jest, gdyby nie jeden szczególny aspekt: wszystko rozgrywa się w gronie partii głównego nurtu – centrowej EPP, socjalistów, liberałów z Renew Europe oraz Zielonych. Partie prawicy są z tego wyłączone. Od lat przecież obowiązuje zasada, że populistów – jak mainstream nazywa prawicę – należy trzymać na dystans.

A jednak sama zasada na naszych oczach lekko zaczyna się kruszyć. Ursula von der Leyen może mieć w tym pewien udział, choć z przyczyn wyłącznie taktycznych. Jej ewentualna nominacja musi zostać zatwierdzona przez europarlament. Potrzeba do tego 361 głosów. W nowym parlamencie partie mainstreamu mają ich razem ponad 450, wiadomo jednak, że wielu eurodeputowanych von der Leyen nie poprze. Dla Zielonych solą w oku jest rozwadnianie Zielonego Ładu. Inni, zwłaszcza w EPP, przeciwnie – boją się, że pod jej rządami polityka klimatyczna będzie zbyt restrykcyjna. Pani Ursula musi więc lawirować, bo kusząc jednych – traci innych. I musi dobrze policzyć, ile jest skłonna zapłacić za swe ambicje.

Chyba sporo. Aby przekonać Giorgię Meloni, oferuje ponoć grupie EKR stanowisko wiceprzewodniczącego Komisji! Przydzielanie komisarzom resortów – ważnych, takich jak gospodarcze, i obliczonych na efekt, jak planowana funkcja komisarza do spraw obrony – to jej kompetencja. Trudno sobie wyobrazić, by komisarzem z EKR mógł być kto inny niż przedstawiciel Braci Włochów. Nie przypadkiem dzień po szczycie w Brukseli minister spraw zagranicznych Antonio Tajani podkreślił, że kraj taki jak Włochy ma prawo do tak ważnej funkcji.

Nawet jeśli, dodajmy, dla reszty Unii będzie to rewolucja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

FOT. ODD ANDERSEN/AFP/EAST NEWS

# Kac po wyborach



*Jan Bogatko z Berlina*

**Koalicja kanclerza Olafa Scholza z kretesem przegrała wybory do Parlamentu Europejskiego. Nie oznacza to wcale kompromitacji rządu w Berlinie, bo ten i tak był już wystarczająco skompromitowany. Zwycięzcą w unijnych wyborach okazała się opozycja**

Aż 55 proc. niemieckich wyborców przyznaje, że w podejmowanych przez siebie decyzjach kieruje się przede wszystkim polityką krajową, a nie unijną. Tylko 38 proc. Niemców stawia politykę unijną na pierwszym miejscu. Dlatego dla połowy niemieckich wyborców wybory do Parlamentu Europejskiego stanowiły wyborną okazję do dania siarczystego klapsa rządowi kanclerza Olafa Scholza. Nie przegapili tej okazji. Oczywiście w grupie wyborców Zielonych czy SPD absolutna większość była zdania, że rząd w Berlinie jest świetny i strofowania nie wymaga (odpowiednio 84 i 73 proc., jak podaje instytut badania opinii publicznej Infratest Dimap). Z kolei wyborcy Alternatywy dla Niemiec, jak łatwo się domyślić, są całkowicie przeciwnego zdania. W tej grupie za okazaniem czerwonej kartki drużynie Olafa Scholza jest aż 87 proc. z nich.

## WIELKIE ROZCZAROWANIE

Niewielu Niemców jest zadowolonych z pracy rządu. Tak niskiej wartości nie odnotowano w przypadku urzędującego rządu Niemiec w żadnych wyborach unijnych czy federalnych w okresie ostatnich 11 lat. Choć Niemcy nigdy w okresie minionych 11 lat nie byli przesadnie zadowoleni ze swego rządu. O ile jednak w 2013 r. jeszcze 51 proc. z nich wyrażało zadowolenie z jego pracy, o tyle (po krótkim wzroście liczby zadowolonych w 2014 r.) krzywa popularności rządu w Berlinie spadała w coraz szybszym tempie w dół: w 2019 r. wskazywała na 39 proc., by w 2024 r. wskazać na zaledwie 22 proc.!

Niemiecka lewica, głównie Zieloni, miała nadzieję, że obniżając wiek wyborców Parlamentu Europejskiego, zapewni sobie zwycięstwo. Obniżenie czynnego wieku wyborczego do lat 16 miało zapewnić – zgodnie z oczekiwaniami – Zielonym i ich koalicjantom ponad milion nowych głosów. Przedstawiano to jako „demokratyzację".

Kalkulacja ta spełzła jednak na niczym. Krucjata dziecięca nie tylko się nie udała, lecz także okazała się strzałem w kolano. No chyba że za wzrost demokracji lewica uważa dodatkowe wsparcie dla swego największego przeciwnika politycznego, którym jest AfD. Zieloni, autorzy hasła „Dzieci do urn wyborczych", najbardziej dostali po łapach właśnie od wyborców w grupie wiekowej poniżej 25 lat. A przecież to z tej grupy pochodzą bojówkarze Last Generation przyklejający się do jezdni. Poparcie dla Zielonych (którzy zaczynali w latach 70. m.in. od propagowania legalizacji pedofilii) spadło w porównaniu choćby z rokiem 2019 o dwie trzecie, do 11 proc.

Do Zielonych nie dotarło, że dla dzisiejszych wyborców w Niemczech namolnie rozdymane kwestie klimatyczne zeszły na plan dalszy. O ile jeszcze w 2019 r., jak wynika z badań demoskopów z Infratest Dimap, dla 23 proc. wyborców kwestie klimatu decydowały o postawach wyborczych, o tyle w 2024 r. już tylko 14 proc. przekładało je na krzyżyk przy partii Zielonych. Inne tematy wysunęły się na prowadzenie, jak np. pokój (nieznaczny wzrost o 4 punkty procentowe w porównaniu z rokiem 2019 z uwagi na wojnę na Ukrainie) i kwestia napływu islamskich osadników do Europy (wzrost o 5 p.p. wobec 2019 r. do 17 proc. ogółem, tendencja wzrostu stała).

Zatrzymałem się dłużej przy Zielonych, tymczasem na baczną uwagę zasługuje nie mniej partia szefa rządu w Berlinie, Olafa Scholza, czyli socjaliści z SPD. Także w poprzednich wyborach do Parlamentu Europejskiego, zwanych w Niemczech z propagandową przesadą „wyborami europejskimi", SPD uzyskała historycznie zły wynik, uzyskując poparcie zaledwie 15,8 proc. Teraz socjaliści stracili kolejne 2 proc. wobec tego i tak już złego wyniku; a przecież dumny rezultat 25,7 proc. osiągnięty w wyborach do Bundestagu w 2021 r., tak niedawno, wydaje się dzisiaj niemal nierealny.

Dokąd odpłynęli rozczarowani wyborcy SPD w niedzielę 9 czerwca 2024 r.? Na jakie to partie przelali swe zaufanie? Pytanie to także zadał cytowany przeze mnie instytut badania opinii publicznej Infratest Dimap. Rekordzistką okazała się istniejąca tylko w imaginacji partia niebiorących udziału w wyborach – na nią przelało swe nadzieje ponad 2,6 mln byłych sympatyków czerwonych (nawiasem mówiąc, kiedyś w Niemczech istniała na serio taka kanapowa partia niebiorących udziału w wyborach, założona przez Wernera Petersa, malowniczą postać na niemieckiej scenie politycznej; nie odniosła ona jednak sukcesu w wyborach).

Dalsi beneficjenci: do chadecji (CDU i CSU) powędrowało 1,4 mln marksistów (co nie świadczy raczej dobrze o rzekomo chrześcijańskiej demokracji, która



eprasa.pl 669016c73d

za czasów Angeli Merkel ostro skręciła na lewo, zmieniając nagle katalog wartości). Niesamowitej wolty politycznej dokonało ponad 0,5 mln socjalistów, głosujących na ideologicznego przeciwnika partii towarzysza Scholza (oni naprawdę zwracają się do siebie w SPD per towarzysz, to nie moja złośliwość), mianowicie AfD. Dalsze, ideologiczne słuszne migracje, jak do Zielonych czy stalinowców z Die Linke, nie są warte odnotowania, poza jednym wyjątkiem. Jest nim najnowsza kreacja Sahry Wagenknecht, BSW (Sojusz Sahry Wagenknecht), partia narodowo-komunistyczna. Do niej przepłynęło też ponad 0,5 mln zawiedzionych wyborców SPD (nieco mniej jednak niż do Alternatywy dla Niemiec).

## CO NAM MÓWI TO ZWYCIĘSTWO?

I w tym miejscu przechodzę do obozu zwycięzców. The winner is: CDU/CSU! Siostrzane partie uzyskały w niedzielę 9 czerwca poparcie 30 proc. wyborców. I zdobyły w Parlamencie Europejskim 29 miejsc (bez zmian w porównaniu z poprzednimi wyborami do PE). Ale uwaga: Niemcy wcale nie postrzegają chadecji na politycznym parkiecie w Republice Federalnej (a ta perspektywa jest dla Niemców najważniejsza) jako rzeczywistej alternatywy wobec aktualnego rządu kanclerza Olafa Scholza, i to mimo zwiększenia stanu posiadania, jako niekwestionowany lider. Uważni obserwatorzy niemieckiej sceny politycznej zwracają uwagę na niedostrzegany na ogół fakt – otóż biorąc pod uwagę rzeczywistą niemoc rządzącej pod egidą kanclerza Scholza koalicji w Berlinie, zwycięstwo CDU/CSU wypada blado. Niemcy nie wierzą bowiem, że rząd pod egidą CDU/CSU skuteczniej uzdrowiłby niemieckiego pacjenta niż trójkolorowa koalicja prowadzona przez socjalistę kanclerza Scholza (zaledwie 39 proc. uprawnionych do głosowania obywateli RFN jest tego zdania, prawie połowa Niemców uważa natomiast, że nie). I tu dochodzimy do sedna sprawy. Niemcy mają problem przywództwa. Tylko co piąty Niemiec uważa, że Friedrich Merz byłby dobrym szefem rządu w Berlinie. Innymi słowy, ma on gorszy wynik od kanclerza Scholza, za którym opowiada się w końcu 23 proc. Niemców. Scholz na starcie miał lepsze notowania. Niemcy zachowali widać w pamięci Angelę Merkel.

Sukces Alternatywy dla Niemiec w niedzielnym maratonie wyborczym w Niemczech (Parlament Europejski i wybory komunalne) zaskoczył tylko tych, którzy liczyli na większy sukces antysystemowej AfD. Uzyskała ona w tych wyborach o 5 p.p. wyższe poparcie, i to mimo wielkiej akcji propagandowej przeciwko tej konserwatywnej partii ze strony frontu jedności establishmentu. Alternatywa dla Niemiec zajmuje drugie miejsce w rankingu partii wybranych do Parlamentu Europejskiego w Niemczech, zostawiając w tyle wszystkie partie trójkolorowej koalicji rządzącej w Berlinie: SPD, Zielonych i FDP. Ta konserwatywna partia najlepiej ze wszystkich w Niemczech zidentyfikowała lęki i obawy Niemców. A kto ich pod uwagę nie bierze, ten tutaj przegrywa.

Przed wyborami rozmawiałem z ludźmi na ulicy przed stoiskiem CDU/CSU. Młodzi odpowiadali, że będą głosować na AfD. Rzeczywiście, w grupie wiekowej 16–25 lat – w porównaniu z poprzednimi wyborami do Parlamentu Europejskiego – AfD uzyskała wzrost o 11 p.p. (dla porównania: Zieloni stracili 23). Partia strzeliła w dziesiątkę. Tematy, które porusza na co dzień AfD, odgrywają dziś większą rolę niż pięć lat temu. Aż 53 proc. Niemców boi się napływu obcych do Niemiec. To wzrost o prawie jedną piątą. Niemal trzy czwarte Niemców obawia się wzrostu przestępczości (to o 22 p.p. więcej niż w roku 2019). Lewicowa akcja propagandowa wokół spotkania w knajpie w Poczdamie na temat rzekomej „reemigracji" ani rozdmuchane skandale wokół polityków AfD nie zaszkodziły tej partii. Hasło ograniczenia wpływów islamu w Niemczech popiera niemal połowa Niemców. I nie zmieni chyba tego przyśpieszona przez lewicę naturalizacja islamskich osadników w Republice Federalnej.

## NOWY MAKIJAŻ LEWICY

I jeszcze kilka słów o partii Sahry Wagenknecht, BSW. Przed wyborami w lewicowych mediach w Niemczech (innych tu w zasadzie brak) dyskutowano bez opamiętania o tym, czy „Sojusz Sahry Wagenknecht" odbierze głosy potencjalnych wyborców, którzy z protestu wobec rządzących chcieliby głosować na Alternatywę dla Niemiec, ale nie podoba się im profil ideologiczny tej partii. Liczni „eksperci" niemieckiej sceny politycznej byli tego samego zdania. Okazało się, że nie. Partia reinkarnacji Róży Luksemburg zabrała głosy socjalistom i komunistom. Zadziwia jej zwycięstwo wyborcze z marszu. Nikt przecież tej partii nie zna. Ale zna jej aktywistów. Odpowiedzi na to, dlaczego ona wygrała, należałoby poszukać zarówno w historii niemieckiej lewicy, jak i narodowo-komunistycznej konstrukcji ideologicznej tej partii, wywodzącej się z NRD-owskiej nieboszczki SED.

Wagenknecht powiązała kwestie socjalne z ograniczeniem napływu osadników. A jej nazwisko działa jak magnes na rozczarowanych lewaków. Prawie 80 proc. wyborców BSW wyraźnie mówi, że głosowało na tę partię wyłącznie z uwagi na liderkę. Jej wyborcy mówią: „To dobrze, że się angażuje równocześnie w sprawach socjalnych i na rzecz ograniczenia imigracji" (tak uważa 86 proc.). Mówią też jednak: „Bez Sahry Wagenknecht nie wybrałbym BSW" (78 proc.). Z kolei 74 proc. uważa, że „to dobrze, że opowiada się za wstrzymaniem dalszych dostaw broni dla Ukrainy" (a tego zdania są także neonaziści w Niemczech). Wreszcie mówią też: „Wybieram BSW, bo rozczarowała mnie lewica".

Oczywiście BSW to skrajna lewica, a jakże. Z komunistycznej partii Die Linke, o starannie ukrywanych korzeniach w postaci SED, niemieckiej totalitarnej partii rządzącej w NRD i mającej krew na rękach. Odpowiedniczki PZPR w PRL. Nowy makijaż, nowy program. Na jak długo starczy? Na razie BSW ma sześć miejsc w Parlamencie Europejskim, które postara się wykorzystać dla umocnienia organizacji komunisty Spinellego.

W poniedziałek po wyborach pojawił się w obozie władzy w Berlinie kac. Ale Olaf Scholz szybko zaproponował aspirynę członkom swego gabinetu. Rząd Niemiec odrzucił wołania o przedterminowe wybory z powodu strat wszystkich partii rządzącej koalicji w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Do mikrofonu w Urzędzie Kanclerskim w Berlinie podszedł rzecznik rządu Steffen Hebestreit i oświadczył: „Termin wyborów ustalono na jesień przyszłego roku i planujemy go dotrzymać". Dodał: „W żadnym czasie, w żadnej sekundzie nie pojawiła się myśl o tym, że teraz w Niemczech miałyby się odbyć wybory". Niemcy szykują się na wakacje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

Realme, najszybciej rozwijająca się marka smartfonów na świecie, na miejsce globalnej premiery swoich najnowszych urządzeń wybrała Mediolan

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Jacek Przybylski*

# Europa made in China

**Chińskie firmy coraz śmielej wchodzą na europejskie rynki. I z coraz większymi sukcesami przekonują Europejczyków, że sprzedawane przez nich smartfony czy samochody to nie tania chińszczyzna, ale innowacyjne produkty wysokiej jakości**



eprasa.pl 669016c73d

O tej globalnej premierze w Mediolanie pisali w ubiegłym tygodniu dziennikarze z całego świata. Właśnie w stolicy włoskiej mody – a nie w Dubaju czy Stambule – chińska firma realme zdecydowała się zaprezentować swe najnowsze smartfony GT 6 oraz GT 6T, a także słuchawki Air6 Pro. Dlaczego to takie ważne, że chińską premierę w Mediolanie pilnie śledziły wszystkie najważniejsze portale technologiczne? Otóż chińskie realme znane jest z tego, że chociaż firma została stworzona dopiero w maju 2018 r., to już w 2020 r. przekroczyła próg 50 mln sprzedanych smartfonów, w roku 2021 pokonała poziom 100 mln, a w roku 2023 sprzedała już ponad 200 mln urządzeń, dzięki czemu od kilku lat uznawana jest za najszybciej rozwijającą się markę smartfonów na całym świecie.

Po gwałtownej ekspansji na rynkach Azji i Pacyfiku, Bliskiego Wschodu oraz Afryki Północnej Chińczycy umocnili swoją pozycję wśród globalnych graczy, szturmem wkraczając do takich krajów Europy Zachodniej jak Włochy, Hiszpania, Francja, Wielka Brytania i Szwajcaria, osiągając w IV kwartale 2021 r. wzrost sprzedaży smartfonów 5G na poziomie 165 proc., o którym pomarzyć mogłyby nie tylko Apple, lecz także takie marki jak Samsung, Honor, Vico czy Oppo. W 2022 r. realme weszła to grona pięciu największych globalnych graczy obecnych na 25 rynkach świata.

– W 2018 r. globalny rynek smartfonów miał już 25 lat i liczył 701 marek. Od tego czasu powstało co prawda wiele nowych marek, ale wszystkie pozostały niszowe. Wszystkie poza naszą, która jest jedyną marką, która zdołała wejść do czołówki marek technologicznych – zaznaczył w rozmowie z „Do Rzeczy" Chase Xu, wiceprezes realme oraz szef marketingu tej marki, przekonując, że firma chce być uznawana nie tylko za najszybciej rozwijającą się, lecz także za najbardziej innowacyjną (ten cel realme osiągnęło już w Chinach).

Realme znane początkowo wyłącznie jako producent tanich smartfonów dla masowego odbiorcy w 2022 r. wybrał hiszpańską Barcelonę i najbardziej prestiżowe targi MWC na premierę uzbrojonego w potężny procesor i ekran 2K AMOLED smartfona GT 2 Pro. Ten model pozwolił jej wejść do segmentu produktów premium. Realme w sprytny sposób zabiega też o uwagę mediów, udoskonalając swoje produkty tak, aby chociaż w jednej kategorii były w danym momencie najlepsze na świecie. Na przykład model GT NEO 3 wyposażony był w innowacyjne ładowanie o mocy 150 W.

Z kolei model realme 12 Pro urzekał nie tylko ceną, lecz także wzornictwem (za które odpowiedzialny był francuski projektant Ollivier Savéo, współpracy wcześniej z takimi markami jak Rolex) oraz niezłą jakością fotografii mobilnej (Chińczycy poprosili o pomoc w tej kwestii laureata Oscara za zdjęcia w „Życiu Pi" Claudia Mirandę). Efekt? Według opublikowanego pod koniec maja obecnego roku raportu firmy badawczej Counterpoint Research realme awansowała do grona czterech czołowych marek, oferujących swoje smartfony w Europie, osiągając wzrost w pierwszym kwartale 2024 r. na poziomie 59 proc. (w Polsce wzrost sprzedaży wyniósł w tym czasie 47 proc.). Jedyną z TOP 5 najpopularniejszych marek, która w tym okresie odnotowała spadek, był amerykański Apple (spadek był jednak symboliczny, o 1 proc.).

**Stary Kontynent zarówno dla realme, jak i dla innych chińskich marek to strategiczny rynek**

Smartfon GT 6 – pierwszy model z serii GT zaprezentowany w Mediolanie po dwuletniej przerwie – ma być pogromcą drogich flagowców marek typu Apple i Samsung i m.in. dzięki zaawansowanym technologiom wykorzystującym możliwości sztucznej inteligencji ma pozwolić Chińczykom wykroić większy kawałek tortu na rynku smartfonów premium. Z kolei GT 6T według marketingowców realme ma się wyróżniać „flagową wydajnością w średniej półce cenowej".

Wybór Mediolanu na miejsce światowej premiery nie był przypadkowy. Szefowie chińskiej firmy podkreślają bowiem, że to właśnie Europa jest obecnie dla realme strategicznym rynkiem, a marka zamierza istotnie zwiększyć inwestycje na Starym Kontynencie, dostosowując swoje produkty do gustów i wymagań europejskich klientów.

Już od kilkunastu lat Chiny inwestują w Europie więcej niż Stany Zjednoczone, kupując udziały lub kompletnie przejmując europejskie koncerny motoryzacyjne (dzięki czemu mogą wykorzystywać technologie przejętych zachodnich firm do konstrukcji własnych aut, jak PSA czy Volvo), spółki z sektora zaawansowanych technologii, a nawet lotniska oraz porty. Z raportu firmy Rhodium Group wynika, że Chińczycy wykorzystali do zakupów globalny kryzys gospodarczy sprzed kilkunastu lat. Jeszcze w 2008 r. bezpośrednie chińskie inwestycje w Europie wynosiły średnio mniej niż 1 mld euro. W latach 2009 i 2010 wzrosły do 3 mld euro rocznie. W 2015 r. wynosiły już 20 mld euro rocznie.

I chociaż z najnowszego raportu Rhodium Group i Mercator Institute wynika, że w roku 2023 inwestycje chińskich firm w Europie spadły do 6,8 mld euro i były najmniejsze od 2010 r., to w wybranych krajach Starego Kontynentu nadal są one ogromne (np. od 2003 r. wydatki inwestycyjne firm chińskich na Węgrzech wyniosły ponad 14,7 mld dol., a w Serbii ponad 10,4 mld dol.).

## CHIŃSKIE EURO 2024

Aby zobaczyć na własne oczy ekspansję chińskich firm na Stary Kontynent, nie trzeba wczytywać się w raporty firm badawczych, wystarczy obejrzeć mecze na Euro 2024 i na chwilę oderwać uwagę od piłkarzy i skupić się markach, które reklamują się podczas kluczowych piłkarskich rozgrywek Starego Kontynentu. Aż pięciu z 14 głównych partnerów Euro 2024 to spółki z Chin. Zamiast niemieckiego Volkswagena kibice oglądają więc reklamy chińskiego koncernu BYD, który – wspierany przez konglomerat Berkshire Hathaway Warrena Buffetta – już w 2022 r. zdołał wyprzedzić Teslę w rankingu największych sprzedawców pojazdów elektrycznych na świecie.

Kolejnym chińskim gigantem, który znalazł się w gronie najważniejszych sponsorów Euro 2024, jest producent smartfonów pod marką Vivo. Na rozmieszczonych na stadionach banerach można oglądać rónież reklamy



eprasa.pl 669016c73d

Omoda 5 ma mieć nie tylko niską cenę, lecz także siedmioletnią gwarancję FOT. MATERIAŁY PRASOWE

chińskiej firmy Hisense, która produkuje elektronikę, sprzęt RTV AGD oraz oferuje inteligentne rozwiązania informatyczne. Od 14 czerwca do 14 lipca swój wizerunek wśród europejskich kibiców ocieplać będą również firmy Ant Group oraz AliExpress – ta pierwsza działa w branży technologii finansowych wykorzystywanych przy zakupach on-line, a druga to dobrze znana na Starym Kontynencie platforma zakupowa.

Chińskie zainteresowanie europejskim sportem to również nie przypadek. Widać je zresztą też na polskim boisku. W maju PZPN poinformował, że oficjalnym partnerem reprezentacji Polski została firma TCL, a więc chiński producent elektroniki użytkowej i telewizorów. Kontrakt zawarto do 31 lipca 2026 r., z możliwością przedłużenia.

## „CHIŃCZYKI" W GARAŻU

Już teraz na polskie drogi coraz śmielej wjeżdżają także chińskie samochody. Chińczycy, a dokładniej szefowie koncernu Chery – który w XXI w. stał się współwłaścicielem brytyjskich klejnotów rodowych: Jaguara oraz Land Rovera – planują ekspansję na Włochy, Hiszpanię oraz Polskę.

W kwietniu obecnego roku premier Hiszpanii Pedro Sánchez otworzył już pierwszą europejską fabrykę chińskich samochodów Ebro Factory. Powstała ona w tym samym zakładzie, w którym do 2021 r. auta produkował koncern Nissan. Przejęta przez firmę Chery fabryka ma na razie produkować do 50 tys. samochodów z napędem elektrycznym rocznie. Do 2029 r. zakład w Barcelonie ma zwiększyć produkcję do 150 tys. chińskich pojazdów rocznie. Sánchez podkreślał, że porozumienie między koncernem Chery i hiszpańskim producentem aut Ebro „to symbol ponownego uprzemysłowienia kraju".

W czerwcu swoją premierę nad Wisłą miały chińskie SUV-y OMODA 5 (zarówno w wersji benzynowej, jak i elektrycznej) oraz JAECOO 7 wspomnianego koncernu Chery, który w ciągu dwóch dekad działalności wszedł do ponad 40 krajów świata i tylko w ubiegłym roku sprzedał na całym świecie 1,88 mln egzemplarzy samochodów (ponad połowę więcej niż w roku 2022). Wiadomo, że oferowane nad Wisłą modele mają mieć siedmioletnią gwarancję z limitem 150 tys. km. Oficjalne ceny nie są jeszcze znane. Nieoficjalnie spekuluje się, że Omoda 5 będzie kosztować ok. 110 tys. zł, Omoda 5 – ok. 130 tys. zł, a Jaecoo – ok. 150 tys. zł.

Dlaczego na celowniku chińskiej firmy znalazła się Europa, a zwłaszcza Polska? – Europa to wielki rynek. Ale to nie wszystko. To również najważniejszy rynek na całym świecie. Jeśli coś ci się uda w Europie, to bardzo łatwo będzie ci powtórzyć ten sukces w Ameryce Łacińskiej, Afryce etc. Z kolei Polska to wielomilionowy kraj o wielkim potencjale i błyskawicznie rozwijającej się gospodarce, gdzie klienci nie tylko są skupieni na samochodach elektrycznych, lecz także lubią inne rodzaje napędów, które oferujemy – tłumaczy „Do Rzeczy" Eric Zhang, dyrektor Chery na Polskę. I dodaje, że jego firma rozważa budowę w Polsce nie tylko dużego magazynu z częściami, który powstał już w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego, lecz także nowej fabryki samochodów.

Czy Polacy przekonają się do „Chińczyków" w garażu? Są na to duże szanse. Z najnowszych danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego Samar wynika, że w maju obecnego roku polscy klienci indywidualni zarejestrowali więcej chińskich crossoverów MG HS niż toyot corolli. Samochód z logo chińsko-brytyjskiej marki MG, która znalazła się w rękach inwestorów z Państwa Środka po tym, jak w 2005 r. zbankrutowała brytyjska spółka MG Rover Group, zarządzająca m.in. marką Rover – nie tylko sprzedawał się lepiej od Toyoty Corolli, lecz także było wybierane chętniej niż Kia Xceed, Skoda Fabia czy Hyundai i20. Coraz mocniejsza obecność Chińczyków na polskim rynku może też doprowadzić do zmniejszenia marż zachodnich producentów. Za crossovera MG HS trzeba bowiem zapłacić 103,8 tys. zł, a ceny kompaktowego modelu MG ZS zaczynają się od 79,8 tys. zł. Taniej wyceniony jest jeszcze tylko jeden „Chińczyk" na polskim rynku: crossover BAIC Beijing 3 kosztuje w podstawowej wersji 78,9 tys. zł.

## ZMIANA UKŁADU SIŁ

Jak słusznie zauważył w połowie czerwca obecnego roku brytyjski „Financial Times", wiek XXI to pierwsze od dawna stulecie, w którym to nie Europa będzie wiodła prym na świecie. Ubiegły wiek, choć teoretycznie „amerykański", w wielu obszarach należał i tak do Europejczyków, takich jak choćby Einstein, Keynes, Picasso, Joyce etc., którzy wywierali największy wpływ na naukę, ekonomię, sztukę czy literaturę. Niestety, w XXI w. Europa ma tylko jedną superpotęgę: unijne regulacje, które często stają się światowym standardem. Poza tym Stary Kontynent nie ma żadnych własnych potężnych firm technologicznych i nie może już mieć nadziei na dorównanie poziomowi wsparcia dla rodzimego przemysłu, które oferują rządy Stanów Zjednoczonych czy Chin. Jak zaznaczył Janan Ganesh w tekście „Prawdziwa europejska turystyczna pułapka", Stary Kontynent wciąż przyciąga zbyt dużo uwagi z różnych stron świata, aby zauważyć, jak nieistotny się staje we współczesnym świecie. Tymczasem zamiast inwestować w nowoczesne technologie, kraje Europy cieszą się popularnością i międzynarodowym prestiżem, będącym pozostałością po wiekach dawnej chwały.

Prestiż i popularność wśród turystów sprawiają, że Europejczycy zdają się nawet nie zauważać, że gospodarczo i geostrategicznie XXI w. kształtują już potęgi z innych kontynentów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

# Co lepsze?

Co lepsze – zrealizowanie wszystkich obietnic wyborczych, nawet jeśliby ich spełnienie miało doprowadzić do bankructwa państwa, czy niezrealizowanie niektórych z nich, jeśliby miało to uchronić państwo przed bankructwem?

Rzecz jasna, zostawiając na boku sytuację idealną, to znaczy taką, w której politycy – zwłaszcza z tych poważnych partii, które mają realne szanse na objęcie w państwie władzy – składają w kampanii przedwyborczej wyłącznie obietnice głęboko przemyślane i zbilansowane w ramach budżetu państwa, nie pozwalając sobie – jak u nas Platforma, PiS, Trzecia Droga (czyli PSL i Polska 2050), Lewica, a czasami nawet Konfederacja – na szafowanie tanim politycznie, lecz drogim do sfinansowania dla podatników populizmem.

A wracając do zasadniczego wątku – tego z początku felietonu – to ja oczywiście, i to zdecydowanie, opowiadam się za drugą opcją – za drugim rozwiązaniem, ale doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że jestem w tej (i nie tylko w tej) sprawie w zatrważająco maleńkiej mniejszości.

Tak jak przez lata nie kryłem, że wolałem, żeby PiS (z przystawkami) za swych rządów nie realizował większości z bimbaliona swych rozdawniczych propozycji (a najlepiej, żeby w ogóle ich nie składał) i nie podwajał (niemal) w ten sposób długu publicznego Polski z nieco ponad 900 mld zł na koniec 2015 r. do niemal 1,7 bln zł na koniec 2023 r., tak teraz wolę, żeby dziś również Platforma (z przystawkami) za swych rządów zachowywała się w sprawie wydatków publicznych wstrzemięźliwie.

Tym bardziej że po latach popuszczania pasa przez rządy PiS Polska ma na karku grożące nam przekroczenie konstytucyjnego limitu zadłużenia publicznego na poziomie 60 proc. PKB i niemal pewne wszczęcie unijnej procedury nadmiernego deficytu, a dodatkowo przypadające na nas miliardy do spłaty w ramach dodatkowego długu, radośnie zaciąganego na poczet budżetów (czyli podatników) państw członkowskich UE, a więc także Polski, przez Komisję Europejską, który podobno przekracza już 1 bln euro.

Lecz oczywiście wcale – ani trochę – nie dziwią mnie nie tylko nie milknące, lecz także wzmagające się ze strony polityków PiS wezwania pod adresem rządu Platformy, żeby nie ustawał i czym prędzej zrealizował wszystkie swe obietnice przedwyborcze. Żeby niezwłocznie wprowadził obiecywane 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku rocznie, rozszerzył „babciowe" i niezwłocznie obniżył podatek zdrowotny podniesiony w ramach Polskiego Ładu. Bo niby dlaczego miałoby mnie dziwić niedbanie przez PiS o stan kasy naszego państwa? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

# Prezent pana Mateusza dla pana Donalda

Procedura nadmiernego deficytu spadła Donaldowi Tuskowi z nieba. A właściwie nie z nieba, tylko z rządu PiS. Jeśli bowiem dzisiaj pan Morawiecki pisze, że zostajemy nią objęci „po zaledwie pół roku rządów Koalicji Obywatelskiej", to jakoś zapomina wspomnieć, że procedura dotyczy roku 2023, w którym niemal do końca rządziła Zjednoczona Prawica. I gdyby rządziła nadal, prawdopodobnie Polska też zostałaby objęta tą unijną procedurą, co dałoby hipotetycznemu rządowi PiS asumpt do oburzania się na dyktat Brukseli i paliwo do kolejnego plemiennego sporu.

**Procedura nadmiernego deficytu może być powodem do dokręcenia Polakom śruby fiskalnej**

Nadmierny deficyt (dług publiczny powyżej 60 proc. PKB lub deficyt powyżej 3 proc. PKB) to skutek hojnego obdarowywania wyborców finansowymi prezentami przez poprzednio rządzących. Ale sama procedura jest prezentem dla obecnej władzy. Teoretycznie, gdyby na serio wziąć opowieści pana premiera o tym, jakie to ma wpływy i chody w Brukseli, można by uznać, że nasz kraj się z tej procedury szybko wyplącze. Komisja Europejska ma tutaj bowiem dużą dowolność, gdy idzie o akceptację proponowanych środków zaradczych i zamknięcie procedury w związku z ich zastosowaniem, a i tak wszystko w końcu sprowadza się do woli politycznej. Stawiam jednak, że się tak nie stanie, a polskie zabiegi o zdjęcie z nas tego kagańca będą udawane.

Procedura nadmiernego deficytu z dużym wpływem Brukseli na nasze finanse może być bowiem pretekstem dla poucinania programów – wcale niestety akurat nie socjalnych – które na deficyt wpływają, w tym rozwojowych, a których wygaszenie lub spowolnienie trudno byłoby inaczej uzasadnić. Może to być także powód do dokręcenia Polakom śruby fiskalnej.

A co na to wszystko pan premier? Trudno powiedzieć. W momencie, gdy ogłaszano decyzję KE, on akurat zajmował się wstawianiem na X 1452. wpisu o tym, że PiS to partia prorosyjska. Zgodnie z przyjętym schematem czeka nas teraz dla odmiany seria wpisów o wnusiach pana premiera. I tak w kółko. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

**Z Grzegorzem Lato, jednym z najwybitniejszych piłkarzy w historii polskiego futbolu, zdobywcą trzeciego miejsca na mistrzostwach świata w latach 1974 i 1982, królem strzelców MŚ w 1974 r., mistrzem olimpijskim z 1972 r. i wicemistrzem igrzysk olimpijskich w 1976 r.**

*rozmawia Ryszard Gromadzki*

# Gubimy talenty

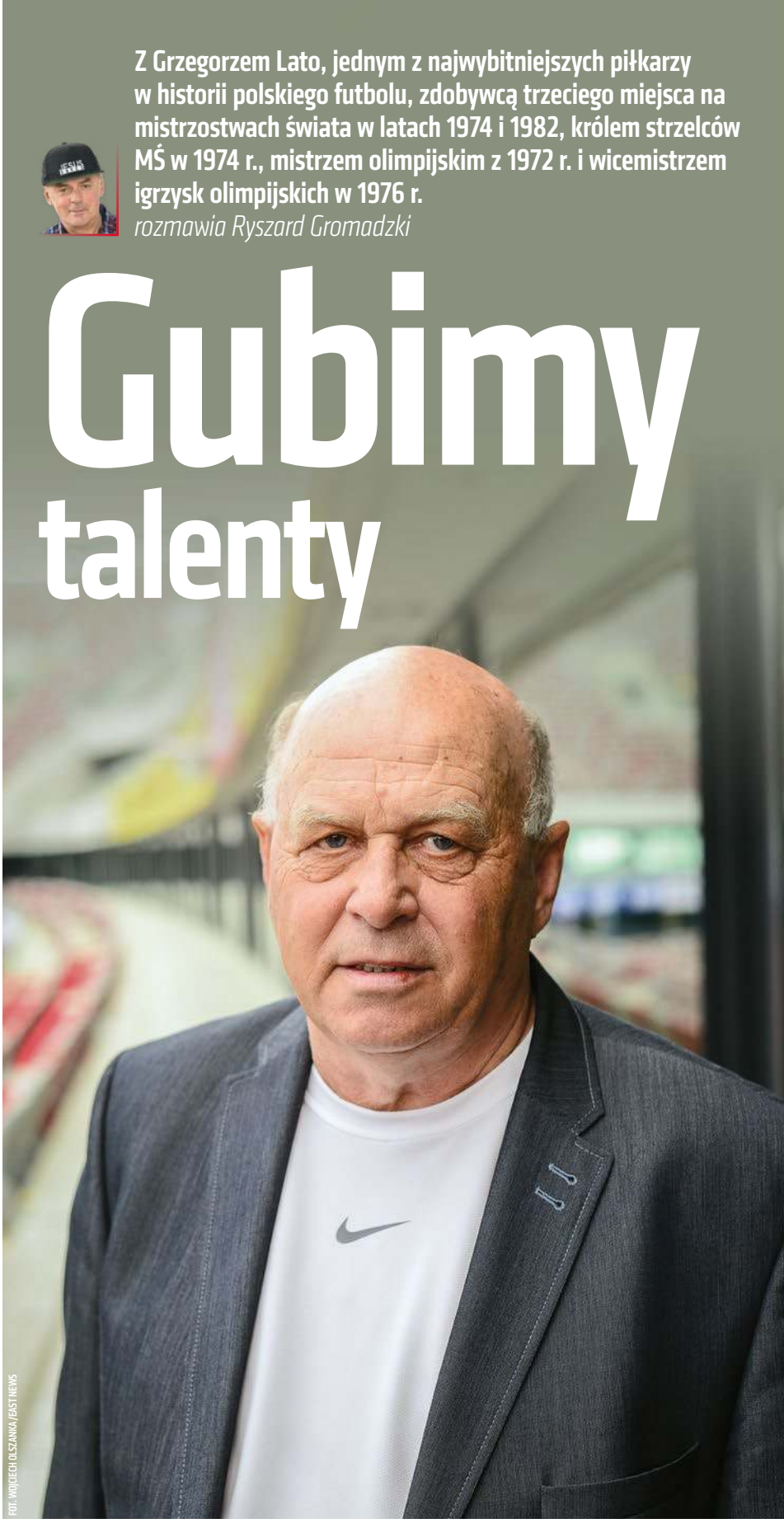

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

**RYSZARD GROMADZKI: Czego zabrakło polskiej reprezentacji, żeby pokonać Holendrów w pierwszym meczu mistrzostw Europy? W tym spotkaniu byliśmy chyba najbliżej od pokonania „Oranje" od 1979 r., kiedy wygraliśmy z nimi ostatni raz.**

GRZEGORZ LATO: Chyba trochę szczęścia. Gol wyrównujący dla Holendrów padł po rykoszecie. Gdyby nie to, Szczęsny pewnie by to wybronił. W końcówce zabrakło koncentracji. Muszę przyznać, że chłopaki rozegrali naprawdę dobry mecz, mimo że w składzie nie było Lewandowskiego. Widać, że z tych młodych graczy, którzy wystąpili w tym meczu, jeszcze będziemy mieli pociechę. Byłem bardzo pozytywnie zaskoczony postawą drużyny trenera Probierza. Walczyli do ostatniej minuty.

**Rozmawiamy po dobrym meczu z faworyzowanymi Niderlandami, a przed trudnym spotkaniem z mocnym zespołem Austrii. Możemy jeszcze coś zwojować w tych mistrzostwach?**

Oglądałem mecz Austriaków z Francją, jedną z najlepszych drużyn świata. To było bardzo wyrównane spotkanie, Austriacy mieli kilka dobrych okazji do strzelenia gola. Sami stracili bramkę po niefortunnej interwencji obrońcy, który źle skierował piłkę po zagraniu asa Francuzów, Mbappé. Austriacy pokazali się z bardzo dobrej strony – to naprawdę mocny, grający twardo, znakomicie zorganizowany rywal.

**Wracając do Polaków... Wyróżniłby pan kogoś po meczu z Holendrami?**

Jak zwykle świetnie bronił Szczęsny, który wyratował nas w paru sytuacjach. Bardzo dobry mecz zagrał młody Urbański, Zieliński udźwignął rolę kapitana. Widać, że ta drużyna tworzy jeden organizm. Nikt nie odpuszczał. Dobrze wyglądaliśmy, jeśli chodzi o przygotowanie fizyczne. Tylko wynik był rozczarowujący.

**W kolejnych meczach drużynę ma wzmocnić Robert Lewandowski. Czy to nie ułatwi zadania naszym przeciwnikom, którzy przecież wiedzą, jak zneutralizować naszego asa, a ofensywa polskiej drużyny opiera się przede wszystkim na nim?**

Lewandowski to wciąż napastnik światowej klasy. Do tego głodny gry. To powinno być naszym atutem. W piłkarskim żargonie mówimy o kimś, kto powinien grać, a nie ma go na boisku



eprasa.pl 669016c73d

„doktor Drzazga". On doskonale wie, że młodzi tylko czekają, żeby zająć jego miejsce.

**Wydaje się, że trener Probierz tchnął nowego ducha w drużynę, która była w rozsypce po niesławnej kadencji portugalskiego trenera Fernanda Santosa. Polacy wreszcie grają „do przodu". Na futbol w wykonaniu reprezentacji dowodzonej przez Czesława Michniewicza, a później Santosa nie dało się patrzeć...**

Nie mam wątpliwości co do tego, że polska reprezentacja powinna być prowadzona przez polskiego trenera. Zawsze optowałem za tym, żeby selekcjonerem kadry był Polak. Beenhakkera dostałem „w prezencie" od Michała Listkiewicza. Była silna presja mediów, żeby go w Polsce zatrzymać. A czego wielkiego dokonał Beenhakker? Owszem, wprowadził drużynę do finałów mistrzostw Europy w 2008 r., ale już występ Polaków na samych mistrzostwach był klęską. Zajęliśmy 16. miejsce na 16 startujących drużyn. Nie powinno się podpisywać definitywnego kontraktu z trenerem przed mistrzostwami, tylko poczekać na to, jak na nich wypadnie drużyna, i wtedy usiąść do rozmów. Taka jest zasada. Niech pan popatrzy, co się dzieje w naszych klubowych zespołach, które hurtowo zatrudniają zagranicznych trenerów. Na przykład Wisłę Kraków prowadził Portugalczyk, który naściągał do drużyny Portugalczyków. Mój przyjaciel związany z Wisłą opowiadał mi, że w szatni większość drużyny rozmawia ze sobą po portugalsku. Zespół nie jest rodziną, a powinien być. W efekcie Wisła, która powinna awansować do Ekstraklasy, jest wciąż poza nią, bo gra „piach". Zagraniczni trenerzy w Polsce się nie sprawdzają. Weźmy Legię Warszawa, która gra w kratkę, poniżej możliwości. Takich przykładów jest więcej.

**Michał Probierz ma 51 lat, prawie dokładnie tyle, ile miał Kazimierz Górski, kiedy w 1971 r. obejmował reprezentację, co zapoczątkowało najlepszy czas dla polskiej piłki. Górski zbudował wielką drużynę. Czy dlatego, że miał szczęście i trafił na pokolenie piłkarzy, takich jak Deyna, Lubański, Lato, Szarmach,Tomaszewski, które zdarza się raz na sto lat? Czy po prostu miał intuicję i potrafił wybrać właściwych graczy, i nie bał się sięgać po młodych?**

Mamy dziś tak samo zdolną młodzież jak 50 lat temu. Tyle że ta zdolna młodzież nie ma warunków, żeby przebić się w klubach, bo prowadzą je zagraniczni trenerzy, którzy ściągają do naszych klubów swoich graczy. Rządzą różne układziki.

Z kolei nasi najbardziej obiecujący juniorzy szybko wyjeżdżają za granicę, bo przylatuje menedżer i obiecuje rodzicom złote góry, a oni już widzą te miliony euro, które zarobi ich syn. Prawie zawsze kończy się to rozczarowaniem. Ci chłopcy po dwóch latach wracają do kraju, bo nie potrafili się przebić. Żeby grać w zagranicznym klubie, trzeba być wybitnie lepszym od konkurencji. Nie trochę lepszym, ale dużo lepszym, inaczej Niemiec, Francuz czy Włoch wstawią do składu swoich. Nasi młodzi piłkarze za wcześnie wyjeżdżają za granicę, zamiast pracować na nazwisko w klubie, wybić się najpierw w polskiej Ekstraklasie.

**Nie mogę słuchać trenerów, którzy nie wstawiają młodych zawodników do składu, tłumacząc: „Ma dopiero 19 lat, może poczekać". Pytam: Na co może poczekać?**

**Tracimy utalentowany narybek...**

Nie mogę słuchać trenerów, którzy nie wstawiają młodych zawodników do składu, tłumacząc, że „on ma dopiero 19 czy 20 lat, może poczekać". Pytam: Na co poczekać? Pan Kazimierz Górski powołał mnie do reprezentacji, kiedy miałem 21 lat. Kiedy miałem 23 lata po meczu z Bułgarią na wyjeździe, w którym strzeliłem dwa gole, grałem już w we wszystkich meczach reprezentacji. A przecież w kadrze grał w tym czasie młodszy ode mnie Antek Szymanowski. Młodego Mirka Bulzackiego pan Kazimierz wymienił na jeszcze młodszego Władka Żmudę, który na mistrzostwach świata w 1974 r. miał 20 lat. Zaledwie rok starszy ode mnie był Jurek Gorgoń. Trener Górski nie bał się stawiać na młodych. Napad tworzyło dwóch młodzieniaszków – Szarmach i Lato – i trochę od nich starszy Robert Gadocha, liderem pomocy był Kazio Deyna, do którego trener Górski dokooptował Henia Kasperczaka i Maszczyka.

**I była ekipa, której wszyscy się bali.**

No tak. Powiedzmy jeszcze o tych, którzy siedzieli na ławce. Wspomnę tylko trzech wiślaków – Kazia Kmiecika, Zdzisia Kapkę i Marka Kustę. Cała trójka była młodsza ode mnie. Ale oni wszyscy regularnie występowali w klubach. Nie powinno być tak, że zagraniczny trener buduje skład zespołu, opierając się na jakichś dziwnych układach, ściągając do Polski graczy, którzy grzeją ławę w drugiej czy trzeciej lidzie niemieckiej, włoskiej albo hiszpańskiej. A są w naszej lidze polscy trenerzy, którzy działają według zupełnie innego klucza. Mam na myśli Waldemara Fornalika z Zagłębia Lubin czy Tomasza Tułacza prowadzącego Puszczę Niepołomice. U nich młodzi polscy gracze mogą się wykazać – i to działa. Drużynę Tomasza Tułacza z góry skazywano na spadek, a jednak utrzymał zespół w Ekstraklasie, a do tego nieraz napsuł krwi faworytom. Niestety, jest w Polsce bariera mentalności; dopóki jej nie przełamiemy, dopóty nie będzie w naszej piłce systemowej zmiany.

**Trener Probierz powinien zostać trenerem reprezentacji bez względu na to, jak potoczy się dla nas turniej mistrzowski w Niemczech?**

Oczywiście. Moim zdaniem trener Probierz zasługuje na kredyt zaufania.

**Polacy przebiją się do drugiej rundy pomimo niezwykle silnej konkurencji w grupie?**

Odpowiem maksymą Kazimierza Górskiego: „Szansa jest zawsze, dopóki piłka jest w grze". Mecz meczowi jest nierówny, wszystkie założenia i prognozy zawsze weryfikuje boisko.

**Kto będzie mistrzem Europy? Francja, Włochy, Niemcy, Anglia? A może objawi się jakiś czarny koń, jak w 1992 r., kiedy sensacyjnie triumfowali Duńczycy, czy w 2004 r., kiedy mistrzostwa wygrali Grecy, na których nikt nie stawiał?**

Gdybym wiedział, która drużyna wygra mistrzostwa Europy, to pewnie bym z panem nie rozmawiał, tylko pojechałbym do Londynu i zastawił cały majątek u bukmacherów (śmiech).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl 669016c73d

# Masowa turystyka

Tłum turystów na placu św. Marka w Wenecji JAROSLAV MORAVCIK/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

*Jacek Pałkiewicz*

**Im coś jest bardziej malownicze i piękne, tym bardziej przypieczętowuje swój przyszły los – miejsca zadeptanego przez turystów, którzy nie chcą niczego poczuć i zrozumieć, a jedynie odznaczyć i udokumentować selfie**

Hordy turystów kolonizują nadmorskie kurorty i perły turystyczne. Ludzkie tsunami opanowuje Positano i Malediwy, Amsterdam i Bali czy też Santorini, Morskie Oko lub Sopot. Zatrważają zatłoczone lotniska i plaże, długie kolejki przed muzeami, mrowie przybyszy przed historycznymi pomnikami, zawsze pełne restauracje czy kotłowaniny na wszelkich atrakcjach i rojne hotele. Barcelona, Dubrownik albo odwiedzana przez 3 mln obcokrajowców 140-tysięczna, pękająca w szwach Ibiza przekształcają się w Disneylandy. Niezliczone miejsca, które nie mają wyjątkowego charakteru Wenecji, zostają skonsumowane, a następnie porzucone jak produkt jednorazowego użytku. Sektor rozwija się tak bardzo, że dusi, zniekształca i degraduje swoje destynacje, zamieniając je w zwykłe tło dla selfie.

Rosnące dochody społeczeństwa, dostępność niedrogich podróży oferowanych przez tanie linie lotnicze, rozwinięta komunikacja, umiarkowane ceny zakwaterowania i większa powszechność miejsc docelowych ułatwiają ludziom podróżowanie i sprowadzają masową turystykę nawet do najbardziej odległych zakątków, tworząc napięcia między odwiedzającymi i środowiskiem czy też lokalną społecznością. Wenecja, której sama nazwa wyzwala w duszy pokłady egzaltacji, gdzie trudno jest się uwolnić od przytłaczającego poczucia, że to nie jest miejsce realne, a pełen sztuki, historii i harmonii teatr na świeżym powietrzu, otrzymała w ubiegłym roku ostrzeżenie ze strony UNESCO. Jej eksperci w obawie o nieodwracalne straty w „nadzwyczajnym, uniwersalnym dziedzictwie” włączyli miasto nad Canal Grande do listy zagrożonego dziedzictwa.

Popularne terytoria buntują się i badają, jak odeprzeć masową turystykę. Decyzja brzmi jak alarm: basta. Nie ma innych słów, jak powiedzieć „dosyć”. Rzym wprowadził środki ograniczające dostęp do Fontanny di Trevi i Piazza di Spagna i nałożył karę w wysokości 250 euro dla osób siedzących na schodach Trinità dei Monti. Od ubiegłego sezonu Florencja zakazała krótkoterminowego wynajmu mieszkań w historycznym centrum oraz uchwaliła zakaz spożywania przekąsek na świeżym powietrzu na czterech centralnych ulicach. W Portofino lokalna administracja zadekretowała grzywnę 275 euro za zwlekanie z robieniem sobie selfie w strefie „zakazu parkowania”.

Takie środki zaradcze nie wystarczą, aby powstrzymać nadmierną turystykę, ale służą podniesieniu świadomości problemu i poszukiwaniu równowagi pomiędzy dochodami z niej a ochroną życia mieszkańców i ich dziedzictwa kulturowego. Potrzebne są działania, które pozwoliłyby zachować urok tych stron, aby mogli



eprasa.pl 669016c73d

cieszyć się nim w przyszłości zarówno turyści, jak i ludność lokalna.

## PODRÓŻ ZA JEDNEGO SZYLINGA

Wszystko zaczęło się w dawno zapomnianej epoce, 5 lipca 1841 r. Owego dnia wyruszyła „Ekskursja Thomasa Cooka z Leicester do Loughborough". W tej 12-milowej podróży wzięło udział 570 osób z mniej zamożnych klas społecznych wiktoriańskiej Anglii. Kosztujący zaledwie jednego szylinga pakiet rozrywkowy obejmował przejazd pociągiem w wagonach trzeciej klasy, całodzienne wyżywienie, „wielki pokaz galowy" i – jak głosiła reklama wydarzenia na drukowanej ulotce – także rozrywkę przy hymnach religijnych, czyli wszystkie elementy hedonistycznego programu dzisiejszych zglobalizowanych przez konsumpcjonizm wakacji all-inclusive.

Pan Cook, prosty angielski drukarz, pokorny baptysta, ze swoim rewolucyjnym pomysłem stał się prekursorem dzisiejszych biur podróży i turystyki w ogóle. Słynny krytyk sztuki John Ruskin argumentował, że organizowane wojaże pozbawiają podróżnych odwiecznego ducha inicjatywy i przygody, które zawsze charakteryzowały człowieka poza domowymi pieleszami. Jednak bodźcem krytyki narodzonego imperium była świadomość liberalizacji peregrynacji dla klasy średniej, a nie – jak dawniej – tylko dla wąskiej elity.

Cook z pewnością nie zdawał sobie sprawy, jak ogromny wpływ na kulturę, społeczeństwo i środowisko wywoła jego wakacyjny wynalazek. Metamorfoza idei podróży all-inclusive nabrała wymiaru przemysłu ciężkiego, bardziej „zanieczyszczającego" niż jakikolwiek inny zakład przemysłowy. Branża w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci odnotowała bezprecedensowy wzrost, bo dla nowoczesnego społeczeństwa podróżowanie stało się symbolem statusu.

Niestety, przyjęło ono formę niszczycielskiego overtourismu, oszczędnego wędrowania polegającego na odwiedzaniu jak największej liczby rejonów w trybie hit and run (uderz i zwiewaj). Takie ekspresowe, często nastawione na wyczyn śmieciowe wakacje, bez przejawienia większego zainteresowania historią, tradycjami, kulturą, bez okazania szacunku dla zbiorowości tam zamieszkałych, a skupione tylko na zaliczeniu wciąż nowych atrakcji, wiążą się zawsze ze zrobieniem sobie selfie i pochwaleniem się on-line: „Ja tu byłem". Podobna filozofia na początku zaćmiła świat eksploratorów, a potem odizolowała magię egzotyki, atmosferę dawnych romantycznych eskapad. Dzisiejsze wojażowanie można porównać do spożywania posiłków w fast food, czyli tanio, szybko, zadawalając się przy tym niezbyt smakowitym produktem.

Powstało błędne koło. Tabuny wędrowców udają się do modnych miejsc w poszukiwaniu domniemanej autentyczności, ale już samą swoją obecnością i zasobem materialnym tłamszą je. Im bardziej coś jest uważane za „autentyczne i malownicze", tym bardziej jego los jest przesądzony i wcześniej czy później, zdominowane przez globalizację, przekształci się w skansen.

## CORAZ MNIEJ AUTENTYCZNOŚCI

Z powodu konsumpcyjnego charakteru masowej turystyki już od dawna światowe sanktuaria przyrody i inne atrakcyjne zabytki cierpią od nadmiaru przyjezdnych, często nawet są wprost zadeptywane. Tak się dzieje na wszystkich kontynentach, począwszy od Angkoru, przez Machu Picchu, Wielki Mur Chiński, Petrę, Wielką Rafę Koralową, Mont Saint-Michel w Normandii, Wyspy Galapagos, Luxor, na rzymskim Koloseum skończywszy. Taka inwazja jest zagrożeniem dla środowiska. Ponadto nadmierny napływ obcych powoduje zanik tradycji przekształcającej się w folklor, przynosi degradację lokalnego dziedzictwa kulturowego, zanieczyszczenie środowiska, zakłócenie spokoju lokalnych mieszkańców, nadmierne zużycie zasobów czy wzrost cen nieruchomości. Powstają dzielnice nastawione wyłącznie na przybyszy, pozbawione tożsamości i witalności. Wystarczy spojrzeć na Trastevere w Rzymie, które wyludnia się, aby zrobić miejsce na krótkoterminowe wynajmy, na bary, restauracje i sklepy z pamiątkami made in China. Dzielnica wprawdzie pozostaje malownicza, ale jest coraz mniej autentyczna.

Francja przyciąga 323 317 turystów na 100 tys. mieszkańców. Taki potop niewątpliwie wzbogaca, głównie hotele, restauracje, sklepy, agencje usługowe, ale przekształca historyczne siedliska w nasycone pamiątkami parki tematyczne. Dużym ciężarem dla mieszkańców znanych metropolii stała się eksplozja sobotnio-niedzielnych najazdów millennialsów, ograniczających swój rozrywkowy pobyt do odwiedzin klimatycznych dzielnic, klubów i knajpek.

Masowa turystyka zagraża nie tylko rezerwatom, dzikim zwierzętom, lecz także cennym zasobom przyrodniczym i zabytkom na całym świecie. Przeciążenie środowiska miejskiego powoduje jego degradację, zakłóca funkcjonowanie lokalnych społeczności, zmienia tradycyjny charakter życia, powodując utratę poczucia wspólnoty mieszkańców. Biorąc pod uwagę drastyczne pogorszenie jakości ich życia, rosnące ceny i zwiększone zanieczyszczenie generowane przez masowy napływ podróżnych, decydują się na przeprowadzkę. Symbolicznym przykładem jest Wenecja, gdzie ze względu na zmasowany najazd zwiedzających w ciągu 60 lat liczba ludności zmniejszyła się o dwie trzecie.

Zjawisko masowej turystyki znajduje się w ogniu krytyki. Aby stawić czoła jej wyzwaniom, wiele ośrodków przyjmuje różne strategie. Władze lokalne najbardziej zatłoczonych aglomeracji wprowadzają restrykcje mające zachować równowagę pomiędzy dobrostanem swoich mieszkańców a możliwością podziwiania ich miasta. Ograniczają liczbę odwiedzających, instalują kołowrotki, nakładają opłaty mające na celu finansowanie projektów związanych z ochroną środowiska i kultury, kładą kres rozprzestrzenianiu się nieautoryzowanych miejsc noclegowych albo promują mniej zatłoczone, a także ciekawe, alternatywne miejsca.

Należałoby jednak pomyśleć o edukacji, bo tylko odpowiednio ukształtowana świadomość może przełożyć się na dobre maniery. Trzeba zadbać o dostosowanie infrastruktury do liczby przyjezdnych, o stworzenie regulacji prawnych zmuszających do rozważnego przebywania na łonie natury. Łatwo jest zniszczyć otoczenie, które przyroda tworzyła przez tysiące lat, dlatego nie wolno zapomnieć o jego zachowaniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Jacek Pałkiewicz*** *– reporter i eksplorator, twórca survivalu w Europie, odkrywca źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Autor kilkudziesięciu książek. Zobacz: www.palkiewicz.com.*



eprasa.pl 669016c73d

# CUPRA FORMENTOR VZ5 BAT

FOT. JAP

Hiszpańska marka znana jest z produkcji aut dla tych, którzy nie chcą się po prostu przemieszczać z punktu A do punktu B, ale chcą trasę pokonywać szybko i w sposób zapewniający dużo sportowych emocji. Jednym z modeli Cupry, który idealnie wpisuje się w tę charakterystykę, jest Formentor, czyli crossover coupé o muskularnej sylwetce i sportowych genach.

Na tych łamach opisywałem już wersję VZ Tribe Edition, w której pod maską ukryty jest dwulitrowy silnik benzynowy o mocy 310 KM, pozwalający rozpędzić to hiszpańskie auto od zera do pierwszej setki w zaledwie 4,9 (więcej w „Do Rzeczy" nr 51/2023). Już ta wersja robiła wrażenie. Cupra wypuściła jednak na rynek jeszcze bardziej drapieżny wariant. Sercem Formentora w limitowanej wersji VZ5 BAT jest pięciocylindrowy 2,5-litrowy silnik TSI o mocy 390 KM, maksymalnym momencie obrotowym 480 Nm i rasowym warkocie, którego nie trzeba wzmacniać z głośników. Formentor w wersji VZ5 BAT ma również napęd na wszystkie cztery łapy. W połączeniu z siedmiobiegową skrzynią DSG przyspieszenie od zera do pierwszej setki zajmuje zaledwie 4,2 s. Na sprint od zera do 160 km/h to auto potrzebuje 10,3 s, a jeśli komuś się bardzo, bardzo spieszy, to od zera do 200 km/h rozpędzi się już w 17 s. Auto mogłoby teoretycznie pędzić nawet 300 km/h, ale maksymalna prędkość została elektronicznie ograniczona do 250 km/h.

Prowadzenie tego auta sprawia dużo radości. Dobrze sprawdzają się tu adaptacyjne zawieszenie i progresywne wspomaganie układu kierowniczego. Średnie spalanie zależy od ciężkości prawej stopy i warunków na drodze. Przy dynamicznej jeździe nie należy się spodziewać średniej niższej niż 10 l/100 km, ale Formentor podczas testu potrafił być w miarę ekonomiczny – przy spokojnym traktowaniu pedału gazu spalał w cyklu mieszanym ok. 8,4 l/100 km.

Flagowy model ma specjalne 20-calowe felgi, osłony lusterek z włókna węglowego, specjalną osłonę chłodnicy i rury wydechowej, a także połyskujące, czarne relingi dachowe. Logotypy zarówno z przodu, jak i z tyłu auta są zaś chromowane na ciemno.

Dla miłośników sportowych emocji za kierownicą zaprojektowano też wnętrze tej wersji Formentora. Wykończenie kabiny spodobałoby się zapewne Batmanowi, bo dominują tu mroczne akcenty. Czarne są zarówno obramowania nawiewów, jak i wykończenie wokół konsoli centralnej. Podczas dynamicznej jazdy po zakrętach ciało kierowcy i pasażera dobrze trzymają wygodne fotele kubełkowe.

Bagażnik ma 420 l pojemności, więc szału nie ma, ale na długi weekend da się wyskoczyć. Lepszy mógłby być też system infotainment i tłumaczenia komunikatów na język polski (np. „zdejmij nogę z pedału/przyspiesz").

Najodważniejszą odmianę Formentora Cupra wyprodukowała tylko w 500 egzemplarzach (z czego 15 trafiło do salonów w Polsce). Cena? 358 tys. zł. ©℗

# SMARTFON REALME GT 6

Rewelacyjny wyświetlacz o bardzo wysokiej jasności maksymalnej, wydajny procesor, wytrzymała bateria, świetny do nocnych zdjęć aparat fotograficzny i przydatne algorytmy sztucznej inteligencji – to największe zalety najnowszego smartfona chińskiej firmy realme, który światową premierę miał w ubiegłym tygodniu.

Ważący 191 g smartfon jest smukły (8,7 mm grubości) i elegancki, choć lustrzane wykończenie okolic wyspy z aparatami to prawdziwy magnes na odciski palców. Na ogromną pochwałę zasługuje za to 6,78-calowy ekran o rozdzielczości 1264 x 2780, częstotliwości odświeżania na poziomie 120 Hz i jasności sięgającej aż 6000 nitów. Dzięki temu wyświetlane na ekranie treści są świetnie widoczne nawet w ostrym słońcu. Kolory są bardzo naturalne, a czerń naprawdę głęboka.

Sercem urządzenia jest wydajny procesor Snapdragon 8s Gen 3 (4 nm), który – w testowanej wersji – współpracuje z 16 GB pamięci RAM. Tak skonfigurowany GT 6 działa płynnie, nawet jeśli musi wykonać wiele różnych działań jednocześnie. Bardzo dobrze sprawdza się też jako smartfon do gier wideo, oferując dużo mocy, a jednocześnie skutecznie odprowadzając ciepło.

Chińczycy wiedzą też, że żaden telefon nie mógłby walczyć o tytuł pogromcy flagowców, gdyby robił kiepskie zdjęcia. Wyposażyli więc GT 6 w aparat Sony LYT-808 50 Mpix z optyczną stabilizacją obrazu i obiektywem o jasności f/1.69. Nad tym, aby użytkownik był zadowolony z finalnego efektu, czuwają dodatkowo algorytmy sztucznej inteligencji (AI). Efekt? Ostre zdjęcia z dużą liczbą detali, a w nocy doświetlone nawet bardzo ciemne kadry. Nieźle radzą sobie też teleobiektyw i aparat szerokokątny.

Bateria o pojemności 5500 mAh obsługuje technologię szybkiego ładowania Suvervooc 120 W, która pozwala w 10 minut naładować telefon od 0 do 50 proc.

Wady? Smartfon nie obsługuje dodatkowej karty pamięci, ale w najwyższej wersji jest 512 GB na dane, więc nie powinno być z tym problemu. Głośniczki brzmią bardziej jak u średniaków niż u flagowców. I w zestawie jest kabelek, ale bez ładowarki. To jednak nie wina producenta, ale UE. Jeśli więc ktoś nie miał jeszcze dotąd szybkiej ładowarki lub ją np. zgubił, to w imię zielonej rewolucji musi ją kupić osobno (lub skorzystać z promocji, bo do 3 lipca realme dorzuca do zestawów jedną ładowarkę).

Ile kosztuje chiński pogromca flagowców? Za wersję z 16 GB/512 GB trzeba zapłacić 3499 zł. Wersja 12 GB/256 GB to koszt 3199 zł, a 8/256 GB 2699 zł. Wszystkie oferowane są z cashbackiem 500 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



eprasa.pl 669016c73d

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# W rękach konfederatów

JACEK KOMUDA

Szczerzec na południowy zachód od Lwowa to typowe kresowe miasteczko – najpierw gród, potem osada, gdzie w 1391 r. wojewoda sandomierski Jan Tarnowski ufundował pierwszą parafię katolicką. Według dokumentu datowanego na 4 stycznia 1397 r. wspomniany Tarnowski, który był też starostą ziem ruskich, pozwolił wójtowi Maciejowi założyć miasto Szczerzec na 100 łanach, z czego dwa przeznaczone zostały na pastwiska, jeden dla plebana.

Mieszkańcy uwolnieni zostali na 10 lat od wszystkich czynszów i powinności. Wiadomo, że w miasteczku były już wówczas jatki rzeźnicze, warsztat szewski, piekarnia i młyn. Osada była bogata, dość powiedzieć, że na wojnę wójt miał stawić się konno, z dwoma pachołkami na wierzchowcach wartych przynajmniej po trzy grzywny, a więc tzw. koniach strzelczych, i z łucznikiem. Według lustracji z 1572 r. w Szczercu było siedmiu szewców, 10 piekarzy i cztery jatki rzeźnicze.

RYS. QBA

Niestety, wkrótce spadły na miasteczko klęski. W 1621 r. zostało kompletnie spalone i spustoszone przez Tatarów. W 1638 r. zniszczył je pożar, później złupili kozacy Chmielnickiego oblegający Lwów. Już jednak po kozackim, moskiewskim i szwedzkim potopie Szczerzec stał się świadkiem kolejnych dramatycznych wydarzeń, które okrutnie zrujnowały i tak podupadające miasteczko. 30 czerwca 1661 r. przybyło tutaj nieopłacone od lat wojsko koronne i założyło obóz. Jeszcze rok wcześniej żołnierze zadali klęskę moskiewskiej wyprawie pod Cudnowem, zmusili kozaków Jurija Chmielnickiego do zawarcia ugody i powrotu pod władzę króla. Teraz ich cierpliwość się wyczerpała. Wojsko zawiązało pod Lubarem konfederację zwaną Związkiem Święconym, na którego czele stanął marszałek Jan Samuel Świderski, a na jego substytut, czyli zastępcę, wybrano Jana Borzęckiego. Żołnierze opuścili Ukrainę i założyli obóz właśnie w Szczercu; kilkuletnia działalność chorągwi konfederackich przyniosła dalsze zniszczenie miasteczka. Dość wspomnieć, że po wojnach kozackich pod miastem znajdowało się jeszcze 16 uprawianych łanów, z których mieszczanie płacili czynsze, konfederaci wyniszczyli ich tak, że prawie żaden nie był uprawiany.

Związek Święcony nie był jedyną konfederacją żołnierską w tym okresie. Już rok wcześniej w Drohiczynie powołana została konfederacja Samuela Kmicica, a we wrześniu 1661 r. – Związek Braterski wojska Wielkiego Księstwa Litewskiego. W odpowiedzi dwór królewski powołał swoją konfederację wojskową – Związek Pobożny, do którego wstąpiły jednak tylko nieliczne chorągwie – głównie oddziały gorliwego poplecznika króla Stefana Czarnieckiego.

Nie da ocenić się jednostronnie działalności konfederatów. Zbuntowane wojska niszczyły i łupiły Litwę oraz Koronę i tak ledwie odbudowującą się po „potopach" połowy stulecia. Jednak i wojsko było przywiedzione na skraj rozpaczy. Lektura pamiętników towarzyszy chorągwi narodowego autoramentu, np. Jana Władysława Poczobuta-Odlanickiego, pokazuje, że w wyniku wojny stracili poczty: konie, rynsztunek, wozy i czeladź, odbudować je mogli tylko z żołdu, który… nie był wypłacany przez wiele lat. Kolejny raz nieudolna machina skarbowa Rzeczypospolitej, a raczej jej brak, doprowadziła do buntu wojska.

Żołnierze od razu zaangażowali się w politykę – wystąpili przeciwko forsowanym przez dwór reformom, przede wszystkim planowanemu wprowadzeniu elekcji vivente rege – wyboru króla za życia poprzednika. Kraj znalazł się na granicy wojny domowej, na sejmie pod koniec lutego 1662 r. omal nie doszło do przelewu krwi, gdyż zarówno król, jak i konfederaci zgromadzili pod Warszawą znaczne siły.

Kres działalności związków wojskowych nastąpił po zamordowaniu przez konfederatów hetmana polnego Aleksandra Gosiewskiego i przywódcy związku – Kazimierza Żeromskiego. Konfederacja litewska została rozbita przez Michała Paca, z koronną zawarto porozumienie w lipcu 1663 r. 6 lipca w kościele Bernardynów we Lwowie jej przywódcy na kolanach przeprosili króla, jednak buntownicze nastroje w wojsku trwały. Kiedy dwór rozpoczął bezpardonową walkę z Jerzym Sebastianem Lubomirskim, hetmanem polnym, przeciwnikiem reform, większość dawnych konfederatów ze Związku Święconego poparła swego dawnego dowódcę.

Szczerzec odbudowywał się powoli po tych zniszczeniach. W 1671 r. król Michał Korybut Wiśniowiecki potwierdził przywileje miasteczka, w którym znajdowały się browary, gorzelnie i co czwartki urządzano targ. Dziś pozostały tam zabytki, które pamiętają czasy I Rzeczypospolitej: obronny kościół gotycki pw. św. Stanisława, z przełomu wieków XIV i XV, cerkiew Trójcy Świętej z XVI w. i odbudowana po 1662 r. cerkiew pw. Narodzenia Bogurodzicy na górze na wschód od Szczerca. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

# Arkadyjski sernik

W pięknym albumie „Malarska opowieść o polskim chlebie" znajduje się znakomita martwa natura Józefa Panfila z chlebem w roli głównej. Dlatego, gdy podczas naszych podróży po Polsce trafiła nam się okazja, by odwiedzić mistrza w jego pracowni w Smardzewicach, skorzystałyśmy z niej skwapliwie. Do Smardzewic trafiłyśmy z kolei po to, by zwiedzić zabytkowe sanktuarium św. Anny oraz miejsce jej objawienia w 1620 r.

Józef Panfil stworzył tu swoją arkadię. Dom, otoczony niewysokim murem z niewielką narożną basztą, przypomina klimatem dawne siedziby szlacheckie. Pracownia mieści się w oddzielnym, niedużym budyneczku zwanym lamusem, który podparty jest pięknymi kolumnami, pochodzącymi z rozebranego dworu. Oglądanie prac zajęło nas na kilka godzin, więc przemiła żona artysty poczęstowała nas kawą i wyśmienitym sernikiem. Był tak dobry, że zjadłyśmy po kilka kawałków mimo naszej ścisłej – zdawałoby się – diety. Było nam głupio, ale nie mogłyśmy się powstrzymać.

Rozmawiałyśmy o sztuce i o życiu, słońce spokojnie złociło ogród i wpadało do saloniku, omiatając swoimi promieniami także znikające kawałki dobrze wypieczonego sernika. Było czarodziejsko i bardzo miło. Na koniec gospodyni podzieliła się przepisem, który był spisany ręcznie na niedużej karteczce.

### Oto on:

• 1 paczka okrągłych biszkoptów • 7 jajek • 1 budyń śmietankowy • 1 cukier waniliowy • 130 g cukru • 200 g miękkiego masła • ser w wiaderku – polecany jest niebieski President • rodzynki, bakalie • 2 jabłka

Żółtka utrzeć z cukrem i cukrem waniliowym. Dodać masło, budyń i ser oraz utarte i odciśnięte z nadmiaru soku jabłka. Ubić białka, dodać do masy i delikatnie wymieszać łyżką. Dodać bakalie. Wyłożyć blachę papierem do pieczenia, ułożyć na nim biszkopty jeden przy drugim, wylać na nie ciasto. Piec 50 min w 180 st. C. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

# Letnie owoce

Gdyby postawić przede mną wiadro czereśni, zjem i nawet tego nie zauważę. Niestety potem – tak. Najpierw najładniejsze, najdojrzalsze, potem średnie, a w końcu nie pogardzę i drobnicą. Aż na dnie zostanie kupka pestek i ogonków.

Mieszkając kilka lat w republikach ananasowo-mangowo-bananowych, gdzie czereśnie sprzedawano w opakowaniach 10-dekagramowych jako największy delikates z Europy, zrozumiałam, czym jest brak ukochanego smaku dzieciństwa. Przez jakiś czas ten apetyt przybrał u mnie postać uśpioną, uzależnienie jakby minęło. Ale wystarczyło przyjechać na wakacje do kraju, żeby namiętność odżyła jak proustowska magdalenka obrośnięta całym bagażem skojarzeń. Lipiec – ogród w Milanówku i szpaki latające nad dwoma starymi czereśniami.

Po wielomiesięcznym obcowaniu z jabłkami, pomarańczami i bananami człowiek marzy o truskawkach. Oczywiście mam na myśli truskawki polskie, bo truskawkopodobny produkt hiszpański, dostępny już w lutym, nie zasługuje na tę nazwę. Po truskawkach następuje krótka chwila przerwy i wchodzą czereśnie. Ale wielbiciele czereśni, do których się zaliczam, wiedzą, że trzeba chwilę wstrzymać się z kupowaniem swoich ulubionych owoców. Dopiero na początku lipca, gdy słońce dobrze przygrzeje, rozwijają pełny garnitur smaków. Ich jedyna w swoim rodzaju słodycz nie da się porównać z żadną słodyczą pochodzenia tropikalnego. Tamta jest jednoznaczna, nudna.

Nasz owoc ciemnoczerwony, prawie czarny, ma pestkę zatopioną w orzeźwiająco słodkawo cierpkim miąższu. Biały, muśnięty na jednym boku lekkim rumieńcem, jest bardziej wytrawny. I tu znowu wyjaśnienie – wchodzą w grę tylko owoce polskie. Kiedyś w Paryżu dałam się zwabić prowansalskim wielkości śliwek – co za zawód! Krasnolice, dorodne, bez żadnych zgniłek, ale smakują wodniście i bezbarwnie. Świństwo. Albo jakieś z Chile, które dojrzały w skrzynce w samolocie. Herezja.

Obok czereśni na piedestale smaków postawiłabym agrest. Cóż za wspaniały owoc! Podobnie jak czereśnie o niejednoznacznym smaku, który tylko język poezji może opisać. Niestety, mistrz Tuwim już nie żyje. Odpowiednikiem pestki w czereśniach jest w agreście ten mały, niewinny, ale kłopotliwy kosmaty ogonek, którego staranny konsument i skrupulatna gospodyni powinni się pozbyć. Ale dojrzały miękki agrest można zjeść w całości razem z ogonkiem; tylko grymaśnikom przeszkadza.

Czekam na wysyp, bo konfitura z agrestu nie ma sobie równych. Ale tylko domowa. Do produktów przetwórstwa owocowego wolę się nie zbliżać. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

# Łapaj Janeczka!

No już widać, że numer z Onetem, który ujawnił zakuwanie i oskarżanie żołnierzy na granicy, to było odpalenie bomby, która miała pogrążyć – i pogrążyła – koalicjanta rządu 15 października. Tylko tak można tłumaczyć czekanie z tą rewelacją ponad dwa miesiące i jej wybuch przy końcówce kampanii, w ostatnim momencie, w którym za późno jest na reakcję.

Pan premier był przygotowany od razu i zrobił dwie rzeczy – pogrążył swego PSL-owskiego koalicjanta, a – co najmniej równie winnego – swego ministra Bodnara wybielił. Wybielił go prostym chwytem, odwróceniem znaków znanym sposobem, kiedy złodziej krzyczy: „Łapaj złodzieja!". Zagrało się na nużącej już nucie niedorżniętych PiS-owców, którzy się rozpełzli po państwie i szkodzą. Tak jak kiedyś kułacy i spekulanci. Teraz podziemni PiS-owcy będą długodystansową wymówką, jako winni niedowożenia przez Tuska 100 konkretów.

Przypomnę, że żołnierzy aresztowano w marcu, o czym obwiniany prokurator Janeczek dowiedział się w ogólnikach w… maju. Najprościej byłoby sprawdzić nie to, co kto komu tam mówił i pisał, tylko czyj podpis widnieje pod nakazem postawienia zarzutów oraz zastosowania środków zapobiegawczych wobec żołnierzy. Co najmniej jeden z tych papierów podpisał podwładny pana Bodnara. No i kto się podpisał pod nakazem zorganizowania w Siedlcach specjalnego oddziału prokuratury mającej ścigać żołnierzy na granicy.

Wszyscy wiedzą, jak jest, tylko walą głupa. Minister Bodnar przecież widowiskowo rozwalił Prokuraturę Krajową, na miejsce m.in. ubezwłasnowolnionego prokuratora krajowego mianował jego p.o. pana Dariusza Korneluka, a zastępców, m.in. pana Janeczka, odciął od śledztw. Dlatego dopiero po dwóch miesiącach Janeczek się o tym dowiedział – w sam raz, by nic nie móc już zrobić, ale by się dało go umoczyć w sprawę.

Dziś słyszę, że minister Bodnar przeprowadzi kontrolę w Prokuraturze Krajowej co do przepływu informacji. Obiecuje, że z szafy wylecą papiery na Janeczka, co daje pewien pogląd co do bezstronności tego „śledztwa". A przecież podstawowym problemem w przepływie informacji w tej instytucji jest zainicjowany przez rząd, nielegalny zamach na prokuraturę, który rozwalił ją na tyle, że wiemy o tym, co się tam dzieje, tylko jak Onet coś, oczywiście bezinteresownie, szepnie. Więc jeśli minister szuka winnych, to mogę pomóc. Wystarczy się tylko popatrzeć w lustro.

A żołnierze wciąż nie wiedzą, czy mogą strzelać. Ruscy zaś wiedzą, że naszym „strzelać nie kazano". A wystarczy tylko dla spokoju wyciąć z pięć wyrazów w ustawie. Ale to przekracza możliwości państwa z dykty. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

# Uwaga! Powraca Grzesiowski

Małpa z brzytwą – to określenie nie oddaje istoty zagrożenia, którym jest nominacja dr. Pawła Grzesiowskiego na funkcję głównego inspektora sanitarnego. Potoczny termin odnosi się do osobnika nieświadomego, który ma narzędzia mogące wyrządzić potężne szkody. Doktor Grzesiowski nie jest osobą o ograniczonej poczytalności. Wprawdzie podczas pandemii usilnie pracował na taką opinię, ale to tylko pozory. Był zwolennikiem najostrzejszych form sanitarnego reżimu, przekonywał o skuteczności i bezpieczeństwie preparatów mRNA, postulował wielokrotność dawek. Szeroki rozgłos przyniósł mu jego projekt instalowania nad stolikami w restauracjach specjalnych wyciągów, które będą odsysały „zakażone powietrze".

Gdyby tylko to miał w swoim dorobku dr Grzesiowski, zagrożeni byliby pewnie właściciele restauracji. Bo kto zagwarantuje, że pomysł z 2021 r. obecnego szefa GIS nie stanie się warunkiem funkcjonowania gastronomii? Niestety, jest gorzej. Dziś ten człowiek może z dnia na dzień zamknąć każde przedsiębiorstwo, szkołę, obiekt kultury, wstrzymać budowę, odwołać zgromadzenie. Może nakazać szczepienia, wycofać produkt spożywczy, postulować zamknięcie granic państwa.

Czy będzie suwerenny w tych decyzjach? Doktor Grzesiowski nigdy nie wytłumaczył się z zarzucanego mu konfliktu interesów. Jak podaje portal Wiley Online Library, na różnych etapach swojej działalności zawodowej brał honoraria za wykłady, warsztaty i spotkania naukowe od firm Baxter, GSK, Novartis, MSD, Aventis Pasteur, Pfizer, Wyeth i Solvay. Grzesiowski należy do tej licznej grupy ekspertów, którzy obrotowo zajmują stanowiska, raz w urzędach systemu ochrony zdrowia, a za chwilę w prywatnych fundacjach finansowanych przez przemysł farmaceutyczny. Przykładem niech będzie Fundacja Zdrowa Planeta założona przez koncern farmaceutyczny Solvey (obecnie Abott), w której radzie zasiadał Paweł Grzesiowski – były sekretarz Pediatrycznego Zespołu Ekspertów do spraw Programu Szczepień Ochronnych przy Ministrze Zdrowia.

Petycja stowarzyszenia STOP NOP pt. „Stop lobbystom koncernów farmaceutycznych w administracji publicznej" spowodowała pozew Grzesiowskiego wobec stowarzyszenia. Po dwóch rozprawach, gdy sąd karny zignorował dowody i świadków obrony, stowarzyszenie złożyło skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który poinformował, że ją rozpatrzy. Choć dotychczasowe wyroki sądu dla Grzesiowskiego okazały się korzystne, to tak się jakoś złożyło, że dr Grzesiowski jednak stracił funkcję w Pediatrycznym Zespole Ekspertów do spraw Programu Szczepień Ochronnych. Dziś wraca do łask. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

# Kto okradł Kubusia?

Trwają poszukiwania sprawcy, który ukradł znanemu 60-letniemu chłopczykowi nazwisko. Stop. Chłopczyk ma na imię Kubuś i głos jak struna (chodzi o grubość), a z całego nazwiska ostało się ino W. Stop. Kubuś w całej Polsce znany jest z tego, że robiąc z siebie błazna, nieźle na tym wychodzi, gdyż to lubi. Stop. W sprawę zamieszany jest Janusz P., który kiedyś też miał nazwisko, karierę polityczną, a nawet gumowe dildo, które naprawdę do niego pasowało (przepraszam). Stop. Otóż Kubuś i Janusz są razem, tzn. chodzi mi wyłącznie o to, że są razem oskarżeni, przecież o nic innego. Stop. Według prokuratury wyżej wymieni chłopcy nielegalnie reklamowali alkohol, ale może się okazać, że to niejedyne kłopoty z prawem, gdyż znaleźli się tacy, którzy zainwestowali w biznes chłopców i teraz niegrzecznie pytają: „Gdzie są pieniądze?". Stop. Będziemy informować.

Nasz były poseł John Godson powiedział w trakcie wywiadu, że „nie jest mądre przyjmowanie imigranta, który nie będzie się uczył języka, nie będzie się adaptował i będzie ciężarem dla państwa". Stop. Siły postępu już, już chciały go oskarżyć o rasizm, ale pojawił się pewien problem. Stop. Otóż John jest z Afryki i jest czarnoskóry. Stop.

Meblarze z IKEA chcą nam mówić, jak mamy mówić. Stop. Normalnie to meblarze robią meble, ale ci, widać, z tych ambitniejszych, choć niestety nie mogę napisać mądrzejszych, żałują. Stop. Meblarze wydali „Leksykon", w którym pouczają na serio, że nie można mówić „homoseksualizm", tylko „homoseksualność", nie ma imigranta, tylko osoba z doświadczeniem imigracji, że płci jest więcej niż dwie i inne podobne wesołe banialuki, tylko że na poważnie. Stop. Bohaterskim i postępowym znawcom mnogości płci internauci przypomnieli, że kiedy IKEA wydawała katalog w Arabii Saudyjskiej, to w katalogu nasi bojownicy postępu pokazywali tylko jedną płeć – męską, bo gdyby pokazali żeńską, to nie byłoby ani katalogu, ani biznesu. Stop. Nie wiem, co jest w IKEA tańsze: odwaga czy klopsiki? Stop. Swoją drogą, jeśli dziś jacyś tani meblarze chcą nas uczyć, jak mamy mówić, to pewnie jutro grabarze będą nas uczyć, jak uprawiać seks...

Ponieważ niemiecka policja podrzuca nam imigrantów jak śmieci (przepraszam, ale to prawda), premier Tusk rozmawiał z kanclerzem Scholzem. Stop. Sekretariat niemieckiego rządu poinformował najpierw, że jednak nie rozmawiał, ale sam Donald Tusk powiedział publicznie, że rozmawiał. Stop. Ja oczywiście wierzę naszemu premierowi. Stop. Benzyna po 5,19 zł, kwota wolna od podatku 60 tys. zł etc. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

# Pałac Łowcy Smoków

Zakończona niedawno konferencja pokojowa w Szwajcarii stała się dla wielu polityków okazją do równie górnolotnych, co enigmatycznych wypowiedzi. Na wszelkie sposoby odmieniano w jej trakcie sentencje o „prawie międzynarodowym. „Jeśli Rosja nie zgodzi się na warunki Ukrainy, to zmusimy ją do kapitulacji" – oznajmiła włoska premier Giorgia Meloni. W komunikacie końcowym konferencji powtórzono wezwania do przestrzegania prawa międzynarodowego oraz poszanowania integralności terytorialnej Ukrainy. Jak podkreśliła prezydent Szwajcarii: „Stosunki międzynarodowe muszą być oparte na zasadach Karty Narodów Zjednoczonych".

Zajęci wypowiadaniem ze wszech miar słusznych frazesów zebrani w Szwajcarii politycy nie zauważyli zapewne rocznicy, która dyskusje o integralności terytorialnej suwerennych państw mogłaby zarówno ożywić, jak i wzbogacić. Mija właśnie 25 lat od interwencji sojuszu północnoatlantyckiego w uznanym międzynarodowo państwie, noszącym miano Federalnej Republiki Jugosławii. W wyniku bombardowań lotniczych, których nie można określić inaczej niż jako agresję wobec niepodległego państwa, życie straciły tysiące cywilnych ofiar. Jak określił to Kenneth Roth, dyrektor organizacji Human Rights Watch: „Nazbyt często wybór bombardowanych przez NATO celów wystawiał cywilną populację na nieakceptowalne ryzyko". W wyniku tych bombardowań granice Jugosławii zostały zmienione siłą. Jak uznała niezależna, powołana przez rząd Szwecji Międzynarodowa Komisja w sprawie Kosowa, działania NATO były „nielegalne, ale legitymizowane". Orzekła ona pokrętnie, że „doświadczenia płynące z interwencji NATO w tej prowincji wskazują, że istnieje potrzeba zamknięcia rozwarcia między legalnością i legitymizacją".

Prezydent Andrzej Duda przed wyruszeniem do Szwajcarii oznajmił: „Rosyjski imperializm musi zostać skarcony. Temu smokowi musi zostać łeb obcięty". Mimo upodobania do refleksji, jak gdyby wprost zaczerpniętych z popularnego zbioru baśni „Klechdy domowe", prezydent nie jest przecież badaczem folkloru bajkowego. Choć sposób jego argumentacji bliski jest miłośnikom opowieści o szewczyku Dratewce i tajemniczych stworach leśnych, to głowa naszego państwa jest doktorem nauk prawnych, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czy nie byłoby pożyteczne, gdyby prezydent oświecił nas raczej w kwestii „rozwarcia pomiędzy legalnością i legitymizacją", cechującego od czasów Kosowa kwestię granic w Europie? Opowieści o obcinaniu głów smokom słuchać będą w przyszłości z wdzięcznością prezydenckie wnuczęta. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Towarzyszka Melania

Wśród najróżniejszych okazów literackiej fauny wyjątkowo groźne były tzw. ciotki rewolucji, obecne zresztą na każdym etapie – żarliwe, zajadłe, fanatyczne komunistki, które tropiły, demaskowały, wykańczały „nieprawomyślnych" pisarzy.

Postrachem numer jeden była towarzyszka Melania Kierczyńska, zwana „krwawą" albo „straszną babunią" (rocznik 1888). Przed wojną publikowała jako Melania Cukier, później spolszczyła swoje nazwisko. Pochodziła z zamożnej, żydowskiej rodziny, mimo to pochłonęła ją budowa komunizmu. W Związku Literatów należała do najstarszych stażem komunistów, czyli mamutów – była jeszcze członkiem SDKPiL, potem Komunistycznej Partii Polski i w czasie wojny, jak większość jej członków, uciekła do Związku Sowieckiego, ojczyzny proletariatu. Szczyciła się znajomością z Różą Luksemburg i Leninem, choć widziała go jedynie – i to z daleka – podczas jego odczytu w Krakowie w 1914 r. Faktycznie natomiast do końca życia przyjaźniła się z Zofią Dzierżyńską, żoną krwawego Feliksa, twórcy sowieckiej Czeka.

W 1946 r. wróciła do Polski. W Związku Literatów została jednym z najbardziej prominentnych członków partii oraz głównym marksistowskim krytykiem i propagatorem socu, socrealizmu. Jej recenzje w marksistowskiej „Kuźnicy", potem w „Nowej Kulturze" były wyrokiem wyrzucającym pisarzy za burtę. W 1947 r. np. sztukę „reakcyjnego" Jerzego Szaniawskiego „Dwa teatry" oskarżyła o „apoteozę" opluwanego wtedy powstania warszawskiego. Zdjęto ją więc z repertuaru wszystkich teatrów. Atakowała też „Popiół i diament" Andrzejewskiego za zbyt pozytywne postacie AK-owców (zwłaszcza Maćka Chełmickiego) i mało pociągające PPR-owców. Przerażony Andrzejewski dokonał więc publicznej samokrytyki, potępił swoją przedwojenną, katolicką twórczość i w kolejnym wydaniu „Popiołu i diamentu" dokonał zmian.

Ostro zwalczała też najrozmaitszych kosmopolitów, „Sartre'ów i Millerów", propagując jedynie słuszną literaturę sowiecką, którą przekładała, głównie Gorkiego i Katajewa – jego „Samotny biały żagiel" przez cały PRL był lekturą polskich szkół, wznawianą niemal co roku w blisko 100-tysięcznych nakładach. Opowiadał o przygodach chłopców, Pieti i Gawrika, w czasach rewolucji roku 1905, bo nic bez rewolucji Kierczyńskiej nie interesowało.

Mówiono, że „ciotki rewolucji" są wyjątkowo szpetne, bo te ładniejsze, zajęte swoimi chłopcami, mężami, dziećmi, nie miały czasu i ochoty na partyjne nasiadówki. To pewnie przesada, ale przypadek Melanii opinię tę potwierdzał. Była mała, przysadzista, w okularach z grubymi szkłami. Według Marii Dąbrowskiej – sędziwa maszkara. „Groźna garbuska o straszliwym zezie, często zabierała głos, który rozbrzmiewał bardzo donośnie, choć towarzyszki Melanii nie było prawie widać zza mównicy" – wspominał Antoni Marianowicz. Z racji swego wyglądu nie grzeszyła miłosnymi doświadczeniami, mimo to, jako przewodnicząca sekcji prozy, pouczała pisarzy, jak mają na ten temat pisać. Jedno z takich zebrań opisał Leopold Tyrmand w swoim „Dzienniku 1954":

„Tadeusz Konwicki, posłuszny i oddany członek partii, napisał opowiadanie o miłości »Godzina smutku«. Ze wszystkimi akcesoriami jak trzeba: szlachetnym oficerem UB, kochankowie pierdolą się niemal pod kontrolą organizacji partyjnej, nigdy przeciw, zawsze za i ze Związkiem Radzieckim, w łóżku nieustanna mowa o proletariacie. A jednak okazało się »nie takie«. Ludzie w wieku przydrożnych kamieni, o powierzchowności karłów i maszkar – Melania Kierczyńska i Adam Ważyk informowali ludzi o normalnym wyglądzie, co to jest spółkowanie dojrzałe klasowo, odpowiedzialne [...]. Kierczyńska, szara eminencja czerwonej literatury, na oko koszmarny zlepek zeschłych kości i brodawek, która w życiu wypełnionym walką o socjalizm, przy swojej urodzie, kutasa widziała chyba w atlasie anatomicznym, pouczała nas, że zdrada jest przeżytkiem kapitalizmu".

Tyrmand się mylił, bo według kanonicznego życiorysu towarzyszki Melanii w 1912 r. poślubiła niewymienionego z nazwiska „partyjnego towarzysza", a w 1913 r. urodziła córkę, która nosiła jej nazwisko, co było w Związku Literatów tematem niewybrednych żartów. Na przykład że ojcem był sam Feliks Dzierżyński, a może nawet Lenin. Dowcipkowali nawet partyjni. Ryszard Matuszewski, autor pochwalnego wstępu do pism krytycznych Melanii, w 2004 r. w swoim „Alfabecie 90-latka" pisał: „Sam fakt, że miała córkę, budził niedowierzanie, przypisywano ją ciemnościom panującym w dniach, a raczej nocach rewolucji październikowej".

Kolejnym tematem anegdot były częste dary Melanii dla biblioteki Związku Literatów, którą zarzucała dziełami Lenina, Stalina, Marksa i Engelsa. Kupowała bowiem wydania najnowsze i stare nie mieściły się już jej w domu. Bibliotekarki bały się odmawiać, a tym bardziej wyrzucić, lubiła bowiem zaglądać do wydań poprzednich. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

# SERCE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

*Wojciech Cejrowski*
*korespondencja z USA*

Mieszkańcy Sewilli (Hiszpania) powstrzymali budowę kolejnego meczetu w swoim mieście – na miejscu planowanej budowy zakopali nieżywą świnię i poinformowali o tym prasę oraz opinię publiczną.

Islamskie prawo zabrania budowy meczetów w miejscach rytualnie nieczystych i definiuje nieczystość precyzyjnie – do nieczystości wystarczy świńskie truchło lub nawet tylko kubeł świńskiej krwi wylany w danym miejscu. A zatem bierzemy świnię z domowego uboju lub z rzeźni, a najlepiej zdechłą, bo wtedy się nic nie marnuje, i zakopujemy ją gdzie trzeba.

Grupa muzułmańska w Sevilli nie miała innego wyjścia, jak odwołać swój projekt, który był już gotowy do realizacji. Dodajmy, że tę ziemię sprzedała muzułmanom hiszpańska agenda rządowa, czego absolutnie nie powinna robić, bo… prawo islamskie mówi, że jeżeli gdzieś stanie meczet, to ta ziemia będzie święta i muzułmańska po wsze czasy, i już nigdy nie wolno na niej postawić niczego innego. Meczet można zburzyć lub może się sam zawalić, pustynia, wichry i trzęsienia ziemi mogą posprzątać resztki do czysta, a i tak islam uznaje, że w tym miejscu nigdy nie wolno postawić niczego innego, bo kiedyś tu stał meczet i ziemia pod nim pozostaje święta do skończenia świata.

Islam ma prawo wyznawać swoje zasady, ale agenda rządowa nie powinna w tej sytuacji sprzedawać ziemi pod meczety ani udzielać zezwoleń budowlanych na stawianie meczetów, gdyż ma świadomość, że w ten sposób zawiera umowę nieodwracalną „po wsze czasy”.

Każda transakcja jest nieważna, gdy zawiera wadę prawną, a sprzedając ziemię pod meczet, mamy do czynienia z taką właśnie sytuacją. Każdy inny kawałek ziemi może podlegać normalnemu wywłaszczeniu za odszkodowaniem, gdyby np. ktoś wpadł na pomysł budowy CPK lub autostrady. Każdy inny kawałek ziemi może podlegać konfiskacie, gdyby właściciel uporczywie nie płacił podatków lub długów i trzeba sądownie przejąć i sprzedać jego posiadłości. Jednak w przypadku ziemi, na której społeczność muzułmańska postawi meczet, te prawa państwowe przestają działać. My sprzedajemy pod pewnymi warunkami (możliwość wywłaszczenie za odszkodowaniem, konfiskaty za długi…), ale oni nabywają zgodnie z prawem islamu, czyli bezwarunkowo na zawsze bez żadnej opcji zmiany przeznaczenia tego kawałka gruntu. I my o tym WIEMY, gdy oni przychodzą kupować ziemię pod meczet. W związku z tym powinniśmy zawsze rutynowo odmawiać wydawania zezwoleń na budowę meczetów.

Dodatkowym kłopotem w przypadku transakcji z muzułmanami jest to, że islam nie ma jednej władzy zwierzchniej. Kościół katolicki ma papieża, więc da się podpisać konkordat regulujący kwestie sporne lub trudne pomiędzy państwem a Kościołem. Z wyznawcami islamu nie da się podpisać konkordatu, bo nie ma z kim.

***

Mieszkańcy Sewilli zadziałali prewencyjnie i skutecznie zapobiegli budowie. To nie był zorganizowany na wielką skalę ruch protestu. To była historia z cyklu „Ile może jeden człowiek” (lub bardzo mała grupka).

A ile mógł jeden prymas polski, kard. Stefan Wyszyński, gdy został przez komunistów pozbawiony możliwości sprawowania władzy i zamknięty bez wyroku w izolacji? Nadal miał urząd prymasa, bo tego mu odebrać nie mogli, ale nie miał jak sprawować władzy, bo go trzymali w odosobnieniu. Mimo to był potężny i… DZIAŁAŁ.

„Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego”, czyli modlitwę w formie ślubowania złożonego Najświętszej Maryi Pannie, Królowej Polski, prymas napisał podczas uwięzienia w Prudniku, a potem w Komańczy (tekst „Ślubów” oprawiony w ramki znajdą państwo w każdym polskim kościele). Ile może jeden człowiek, pokazały uroczystości, które odbyły się 26 sierpnia 1956 r.

Rotę „Ślubów” w zastępstwie nieobecnego prymasa odczytał bp Michał Klepacz. Na pustym tronie przeznaczonym dla prymasa Rzeczypospolitej leżały biało-czerwone kwiaty. Kardynał Stefan Wyszyński złożył śluby 10 minut wcześniej w miejscu, gdzie był uwięziony, a po nim te same słowa powtórzyło ok. miliona Polaków pod Jasną Górą. Milion ludzi ślubujących w Częstochowie i kolejne miliony w kościołach w całym kraju – tyle może jeden człowiek.

***

Czerwiec to miesiąc poświęcony Najświętszemu Sercu Jezusowemu i mam taką książeczkę wydaną w Krakowie w roku 1892, gdzie są pobożne historie i modlitwy na każdy dzień czerwca. Z tej książeczki dowiedziałem się, że Ekwador złożył śluby podobne do naszych Jasnogórskich i odbyło się to także staraniem jednego człowieka. Garcia Moreno był wybrany na prezydenta Ekwadoru trzykrotnie. Dzięki jego osobistym staraniom kraj poświęcono urzędowo Najświętszemu Sercu Jezusowemu w roku 1874 i był to pierwszy taki akt na świecie. Loże masońskie się wściekły. Ogłosiły oficjalnie „przetarg” na zamordowanie prezydenta. Garcia Moreno został zamordowany, gdy wychodził z kościoła.

W marcu bieżącego roku, czyli po 150 latach, odnowiono poświęcenie się Ekwadoru Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Tyle może jeden człowiek.

***

Prezydentem Kolumbii w latach 2002–2010 był Alvaro Uribe. Pod jego rządami po dziesięcioleciach wojen narkotykowych w Kolumbii nastał pokój. Lewicowe partyzantki przestały porywać i zabijać. Uribe kandydował otwarcie jako głęboko wierzący katolik i potem tak sprawował władzę. Dzięki jego zabiegom Kolumbia oficjalnie oddała się w opiekę Najświętszemu Sercu Jezusowemu i to WTEDY nastał pokój.

***

Ile może jeden człowiek na urzędzie? Andrzej Duda twierdzi, że niewiele może, bo go ogranicza konstytucja. Wymówki. Jesteś głową państwa, człowieku. Może i tytularną, ale jednak oficjalną głową. Podobnie jak kard. Stefan Wyszyński, gdy siedział uwięziony – jego władza prymasowska była wtedy tytularna i symboliczna, a mimo to umiał z niej korzystać. ©℗



eprasa.pl 669016c73d

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

**Uwaga: nowe ceny!**

# PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

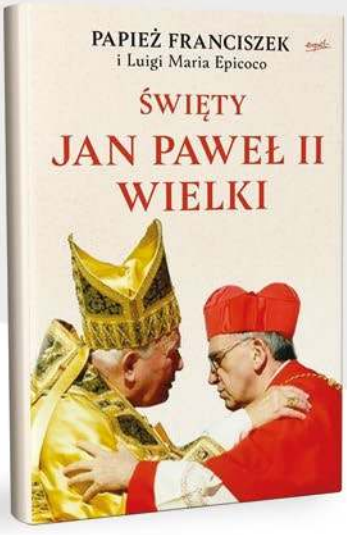


+

**W PREZENCIE**

## KSIĄŻKA

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

489 ZŁ

**234,00 ZŁ**
**OSZCZĘDNOŚĆ 255 ZŁ**

**CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?**

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 669016c73d

**Uwaga: nowe ceny!**

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# PÓŁROCZNA PRENUMERATA

## TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

**W PREZENCIE**

## KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

**ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

~~711 ZŁ~~

**249,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ**

**CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?**

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:**
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
**W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 669016c73d